

**W POSZUKIWANIU
LEPSZEGO ŚWIATA
20 OPOWIEŚCI
O POSTACIACH NAUKI**

W POSZUKIWANIU LEPSZEGO ŚWIATA 20 OPOWIEŚCI O POSTACIACH NAUKI

Polska Akademia Nauk
Warszawa 2021

KOPERNIK HEN HEWELIUSZ CHWIN
DOMEYKO NOWICKI ŁUKASIEWICZ
ORBITOWSKI ZAKRZEWSKA CHUTNIK
BAUDOUIN DE COURTENAY
SIWCZYK JOTEYKO ŁOZIŃSKI
SKŁODOWSKA-CURIE MORSKA
SMOLUCHOWSKI MUSZYŃSKI
ZNANIECKI IWASIÓW WEIGL GOŹLIŃSKI
MALINOWSKI KARPOWICZ HIRSZFELD
MALANOWSKA CZOCHRAŁSKI SIEMION
BANACH MUREK INGARDEN SZOSTAK
TARSKI MIŁKOWSKI ULAM ZAWADA
KIELAN-JAWOROWSKA WOJCIECHOWSKI
KOŁAKOWSKI BATOR

Spis treści

Wstęp	7
Mikołaj Kopernik <i>Narratio ultima</i> , Maciej Hen	12
Jan Heweliusz <i>Astronomia, królewski księżyc i piwo jopejskie</i> , Stefan Chwin	26
Ignacy Domeyko <i>Rysa</i> , Wojciech Nowicki	36
Ignacy Łukasiewicz <i>Ziemia wzięta. Bajka</i> , Łukasz Orbitowski	46
Maria Zakrzewska <i>Chłodny wiatr</i> , Sylwia Chutnik	56
Jan Nieciśław Baudouin de Courtenay <i>Język, który mówi nami</i> , Krzysztof Siwczyk	68
Józefa Joteyko <i>Trzy dni z życia Józefy Joteyko</i> , Mikołaj Łoziński	76
Maria Skłodowska-Curie <i>Maria Skłodowska-Curie, czyli podróż osoby bohaterskiej</i> , Izabela Morska	88
Marian Smoluchowski <i>Geniusz w czas wojny i epidemii</i> , Andrzej Muszyński	100
Florian Znaniecki <i>Przyszłość w archiwum subiektywnych notatek albo co zawdzięczam Florianowi Znanieckiemu</i> , Inga Iwasiów	108
Rudolf Weigl <i>Pstrąg</i> , Paweł Goźliński	118
Bronisław Malinowski <i>Żółwie Yanagihary</i> , Ignacy Karpowicz	128

Ludwik Hirsztfeld	138
<i>Historia pewnej epidemii, Kaja Malanowska</i>	
Jan Czoehrałski	152
<i>Intruzje, Piotr Siemion</i>	
Stefan Banach	164
<i>Kilka liczb, kilka słów, Weronika Murek</i>	
Roman Ingarden	176
<i>Ingarden i czas, Wit Szostak</i>	
Alfred Tarski [Teitelbaum]	186
<i>Prawda, Maciej Miłkowski</i>	
Stanisław Ulam	196
<i>Czerwony przycisk, Łukasz Zawada</i>	
Zofia Kielan-Jaworowska	208
<i>Człowiek dobrego spotkania, Piotr Wojciechowski</i>	
Leszek Kołakowski	218
<i>Sic et non, Joanna Bator</i>	
 Podziękowania	 229
 O nas	 230

Wstęp

W poszukiwaniu lepszego świata. 20 opowieści o postaciach nauki to opowieść o ludziach nauki, o pasji, z jaką poznawali świat, i o trudnościach, z którymi musieli się zmierzyć. Wybraliśmy dwadzieścia związanych z Polską wybitnych postaci, żyjących na przestrzeni wieków i reprezentujących różne dyscypliny naukowe. To, co czyni tę książkę niezwykłą, to zamysł, aby ich losy, nierzadko dramatyczne i silnie uwiłkane w historię, przybliżyli nam współcześni polscy pisarze i pisarki. Ten zbiór to więc nie tylko wyjątkowa, polifoniczna opowieść o nauce i jej historii, ale także spotkanie ze współczesną polską literaturą, z wrażliwością i inwencją autorek i autorów, którzy sformalizowanemu światu naukowych teorii przywrócili uczucia, emocje, pragnienia i wyobrażenia swoich bohaterów, wybitnych naukowców i badaczek.

Dla Czytelników nie będzie pewnie zaskoczeniem, że pierwszy tekst poświęcony jest **Mikołajowi Kopernikowi**. W eseju *Narratio ultima* Macieja Hena spotykamy astronoma w ostatnich dniach jego życia. Leżącego po udarze Kopernika odwiedza jego jedyny uczeń Retyk. Z jego słów oraz z nielicznych reakcji milczącego uczonego Hen utkał przejmującą historię osobistych wyrzeczeń Kopernika, którymi okupiona była jego naukowa pasja. Esej *Astronomia, królewski księżyc i piwo jopejskie*, autorstwa Stefana Chwina, to rozgrywająca się na tle XVII-wiecznego Gdańska historia kolejnego wybitnego i wszechstronnie utalentowanego astronoma **Jana Heweliusza**.

Rysa Wojciecha Nowickiego to opowieść o **Ignacym Domeyce**, wybitnym geologu i inżynierze pracującym w Chile, o jego licznych podróżach i związkach z rozrzuconymi po świecie przyjaciółmi. *Ziemia wzięta*. *Bajka* Łukasza Orbitowskiego to piękny tekst o **Ignacym Łukasiewiczu**, farmaceucie i wynalazcy lampy naftowej, którego poznajemy jako dzielnego Lukę walczącego ze smokiem ciemności. Sylwia Chutnik w tekście *Wiatr od morza* przybliżyła nam mało znaną, lecz fascynującą postać **Marii Zakrzewskiej**, lekarki polskiego pochodzenia, która mimo stawianych kobietom ograniczeń zrewolucjonizowała kształcenie pielęgniarek i lekarek w Stanach Zjednoczonych. Nieprzeciętną postać językoznawcy **Jana Niecisława Baudouina de Courtenay**, wyprzedzającego swoją epokę zarówno intelektualnie, jak i światopoglądowo, przedstawia Krzysztof Siwczyk w tekście *Język, który mówi nami*. Kolejny tekst, *Trzy dni z życia Józefy Joteyko*, to esej Mikołaja Łozińskiego poświęcony tytułowej wybitnej fizjolożce i psycholożce. Autor w trzech migawkach opisuje dziecięcą fascynację **Józefy Joteyko** nauką, jej późniejsze sukcesy naukowe za granicą i w końcu jej powrót do Polski i odrzucenie przez miejscowe skostniałe środowisko naukowe. Esaj *Maria Skłodowska-Curie, czyli podróż osoby bohaterskiej*, autorstwa Izabeli Morskiej, poświęcony jest wybitnej fizyczce i chemiczce, dwukrotnej laureatce Nagrody Nobla. Autorka spogląda na **Marię Skłodowską-Curie** z perspektywy jej codziennych bohaterskich zmagania, najpierw z biedą i wykluczeniem, a następnie z odrzuceniem. Portret **Mariana Smoluchowskiego**, przedwcześnie zmarłego genialnego fizyka i taternika, nakreślony piórem Andrzeja Muszyńskiego, to zarazem opowieść o losach regionu wyniszczonego przez epidemię i I wojnę światową. Jak w obliczu pożogi kontynuować pracę? Zostać czy wyjechać? To pytania wciąż boleśnie aktualne, dotykające wielu badaczy na całym świecie i wielokrotnie powracające

w tej książce. Kolejny tekst, autorki Ingi Iwasiów, to spotkanie z **Florianem Znanieckim**, wybitnym filozofem kultury i socjologiem. Pisarka prowadzi ze swoim bohaterem osobisty dialog, zgodnie z bliską Znanieckiemu metodą autobiograficzną. *Pstrąg* to wzruszająca opowieść Pawła Goźlińskiego o **Rudolfie Weiglu**, wybitnym biologu, twórcy m.in. szczepionki przeciw tyfusowi. Autor oddaje głos synowi Weigla, który podczas milczącego wędkowania z ojcem powraca w myślach do dramatycznych wojennych losów rodziny. Esej Ignacego Karpowicza o światowej klasy antropologu **Bronisławie Malinowskim** to z jednej strony skrzący się dowcipem obraz nietypowego badacza, a z drugiej strony przewrotna refleksja nad przystawalnością dawnych badań do pędzącego współczesnego świata. W *Historii pewnej epidemii* Kai Malanowskiej podążamy śladami **Ludwika Hirszfelda**, wybitnego lekarza i mikrobiologa. Z obszernych i dramatycznych losów badacza, który przeżył dwie wojny światowe, getto, śmierć córki i stalinizm, autorka wybrała zapomniany epizod jego udziału w walce z trawiącą Bałkany śmiertelną epidemią duru plamistego. Kolejny tekst, *Intruzje*, to przejmująca opowieść Piotra Siemiona o **Janie Czochralskim**, chemiku i metaloznawcy, którego metoda otrzymywania monokryształów krzemu stworzyła podwaliny żywiłowego rozwoju elektroniki na całym świecie. W eseju spotykamy starszego już badacza brutalnie przesłuchiwanego przez funkcjonariuszy ludowej ojczyzny. Tekst Weroniki Murek *Kilka liczb, kilka słów* to krótka historia nieprzeciętnego życiorysu genialnego matematyka **Stefana Banacha**. W tekście *Ingarden i czas* inspiracją dla Wita Szostaka stają się dwie oddalone w czasie fotografie krakowskiego filozofa **Romana Ingardena**. Esej Macieja Miłkowskiego o **Alfredzie Tarskim**, wybitnym logiku, filozofie i matematyku, to zapis rodzinnej rozmowy, która staje się punktem wyjścia do rozważań na temat natury prawdy – kluczowego pojęcia

w dorobku Tarskiego. Łukasz Zawada w tekście *Czerwony przycisk* w kilkunastu odsłonach szkicuje postać **Stanisława Ulama** wybitnego fizyka i matematyka, współtwórcy bomby termojądrowej. Luźno powiązanym i pozornie błahym odsłonom z życia badacza towarzyszą elementarne pytania o przyszłość życia na ziemi i moralną odpowiedzialność nauki. *Człowiek dobrego spotkania* Piotra Wojciechowskiego to osobisty hołd oddany przez autora **Zofii Kielan-Jaworowskiej**, paleobiolożce, bohaterkiej sanitariuszce i legendarnej organizatorce wypraw paleontologicznych. Zamykający zbiór tekst Joanny Bator poświęcony **Leszkowi Kołakowskiemu** to zapis doświadczenia, jakim dla autorki było spotkanie z dziełami tego filozofa. Esej wieńczy refleksja nad różnicami między filozoficzną a literacką interpretacją świata.

Ta antologia, przedstawiająca wybrane postaci z długiej listy wielkich osobistości nauki, powstała z okazji 70-lecia Polskiej Akademii Nauk – instytucji złożonej głównie z korporacji uczonych oraz instytutów naukowych PAN. Podobnie jak dobra nauka nie rozwija się bez dialogu i współpracy, tak samo niniejsza książka nie powstałaby bez wsparcia liczного grona życzliwych konsultantów i sponsorów. Podziękowania dla nich znajdują się w odrębnej sekcji, na końcu tego zbioru. Przede wszystkim jednak słowa uznania należą się wspomniałym polskim pisarkom i pisarzom, autorom zamieszczonych tu dwudziestu literackich portretów wybitnych badaczy i badaczek. Dzięki nim możemy zbliżyć się do fascynującego świata nauki i tworzących go ludzi, od wieków niestrudzenie poszukujących prawdy.

Anna Plater-Zyberk
REDAKTOR PROWADZĄCA

Mikołaj KOPERNIK

1473 Toruń — 1543 Frombork

Astronom, lekarz, kanonik warmiński. W 1491 r. podjął studia na Akademii Krakowskiej, gdzie zetknął się z dojrzałą szkołą astronomiczną, znaną w Europie. W 1496 r. wyruszył do Włoch, gdzie studiował prawo (Bolonia, Ferrara) i medycynę (Padwa). W 1497 r. został kanonikiem warmińskim — jego wuj, Łukasz Watzenrode był wówczas biskupem warmińskim. Od powrotu na Warmię w 1503 r. związał się z tymi ziemiami na dobre, mieszkając i pracując w Lidzbarku Warmińskim, Olsztynie i Fromborku. W 1509 r. ukazał się drukiem literacki debiut Kopernika — przekład z greki na łacinę *Teofilakta Symokatty listów obyczajowych, sielskich, anielskich*. Pierwszy szkic astronomii heliocentrycznej powstał przed 1514 r., jako rękopis, znany pod tytułem *Commentariolus*. W l. 1510—1537 Kopernik piastował liczne funkcje administracyjne w kapitule

warmińskiej. W tym okresie sformułował swoje poglądy na reformę monetarną i opracował taryfę chlebową, regulującą ceny i sposób wypieku chleba. Uprawiał praktykę lekarską, na prośbę księcia Albrechta był wzywany nawet do Królewca. Równolegle pracował nad teorią heliocentryczną, której ostateczną wersję zawarł w *De revolutionibus* (1543). Jedynym uczniem Kopernika był Jerzy Joachim Retyk, który przybył do Fromborka z Wittenbergi i w 1540 r., w Gdańsku, wydał *Narratio prima*, pierwszą książkę popularyzującą astronomię Kopernika. Późną jesienią 1542 r. w wyniku udaru Kopernik stracił przytomność i już jej nie odzyskał. Wcześniej zdążył jednak wykonać korektę części swego dzieła, drukowanego w Norimberdze. Zgodnie ze zwyczajem kapituły warmińskiej, ciało astronoma spoczęło pod posadzką fromborskiej katedry.





Maciej Hen

W 1980 roku ukończył wydział operatorski łódzkiej PWSFTviT. Przez lata próbował swoich sił w różnych dziedzinach: bywał między innymi operatorem filmowym, fotografem, reżyserem filmów dokumentalnych, dziennikarzem, tłumaczem z języka angielskiego, muzykiem, a także telewizyjnym realizatorem światła. Ma w dorobku trzy powieści: *Według niej* (2004, DUE), *Solfatara* (2015, W.A.B., Nagroda im. Gombrowicza 2016) oraz *Deutsch dla średnio zaawansowanych* (2019, WL). Wiosną 2021 roku Wydawnictwo Agora opublikowało książkę Macieja Hena *Beatlesi w Polsce*. Obecnie autor pisze dla Wydawnictwa Literackiego powieść *Dni z Kallimachem*.

Narratio ultima

Retyk dyskretnie wycofał się za drzwi, kiedy pacjenta odkrywano, aby go obmyć, zmienić mu koszulę i na nowo nałożyć flak, przez który mocz spływał do gładkiego naczynia z białej glinki. Młody żydowski medyk z Królewca, przysłany przez księcia Albrechta, szybko uporał się z zadaniem i przez uchylone drzwi skłonił się lekko w stronę gościa. Retyk wszedł, stanął pod ścianą i przyciskając do siebie owiniętą w płótno paczkę zadrukowanego papieru, w milczeniu obserwował, jak Żyd starannie okrywa chorego, nakłada mu szarą sukienną czapkę z klapkami i poprawia poduszkę, żeby się nieszczęśnik nie zachłysnął śliną ściekającą z rozchylonych ust. Przyjrzawszy się przez chwilę krytycznie swemu dziełu, doktor Izaak May skierował się do okna i uchylił je, wpuszczając do izby krzyk mew i błady snop marcowego słońca. Retyk przypomniawszy sobie, jak Kopernik mimochodem zwracał mu uwagę na te okna, wykonane według jego pomysłu, które można było dowolnie przechylać na osadzonych w ramie osiach na wzór obręczy astrolabium.

— Lubi świeże powietrze nasz doktor Mikołaj — z porozumiewawczym grymasem zwrócił się do gościa lekarz.

— Tak, zawsze lubił — Retyk niechętnie odwzajemnił uśmiech.

Ten żydowski doktorek był chyba z grubsza jego rówieśnikiem, wyglądał najwyżej na trzydzieści lat albo i mniej, jeśli mu odjąć kędzierzawą brodę przydającą tak potrzebnej w jego zawodzie powagi.

— Doktorze — zagadnął go Retyk — czy on słyszy?

— W tym stanie pewnie nie — królewczanin zakołysał głową — ale któż to może wiedzieć? Czasami się budzi i wtedy patrzy całkiem przytomnie, wodzi oczami za ludźmi, a wydaje mi się, że i za głosami też.

— Jak go leczyć?

— Ściśle według listownych zaleceń doktora Solfy, lekarza królewskiego. Co rano pijawki, raz w tygodniu bańki, ale tylko od karku do łopatek, co drugi dzień nacieranie gorącymi olejami...

— Leczniczymi?

— Ma się rozumieć. Na cedracie, goździkach i imbirze. Poza tym namaczanie stóp w gorącej wodzie z solą i ziołami: lilia, pieprz i świeże kłącza imbiru. Specjalnie je sprowadzamy aż ze Lwowa. Do tego czopki raz dziennie, rumiankowe z gałką muszkatołową, no i proszek do nosa na pobudzenie zmysłów, z zapalniczki, kardamonu i suszonego imbiru. I oczywiście dieta. Doktor Solfa przepisał prosty chleb, buraki i figi.

— Brodacz wskazał wymienione produkty rozłożone w miseczkach na skrzyni przy wezglówiu chorego. — No, próbujemy podawać, ale... — Rozłożył bezradnie ręce. — Przecież nie chcemy, żeby się zadławił, prawda?

Retyk pokiwał głową. „Robią, co mogą” — pomyślał. — „Mój ojciec, świeć Panie nad jego udręczoną duszą, nie inaczej by go kurował.”

Kiedy doktor Izaak wyszedł z izby, zostawiając go sam na sam z pacjentem, Retyk przysunął zydel do posłania chorego. Z bliska dopiero mógł ocenić, jak bardzo zmienił się Kopernik. Włosy jeszcze dwa lata temu spływające ciemną, jedwabiscie połyskującą falą, teraz sterczały spod tej paskudnej czapki jako szare, pozlepiane strzępy

i tylko na ich końcach utrzymywały się resztki rdzawego zabarwienia. Nad wynędzniałą twarzą górował wielki, kościsty nos, przesunięty nieznacznie w stronę lewego ucha.

Retyk, zerknąwszy na nieomknięte drzwi komnaty, zwrócił się cicho do leżącego:

— Słyszysz mnie, mistrzu drogi? To ja, Joachim! Georg Joachim Rheticus, twój pilny uczeń! — Delikatnie ujął dłoń chorego i pochyłając się, podjął jeszcze ciszej: — W wielkim sekrecie wyblagałem u rektora Bornera dwutygodniowy urlop, żeby ci dać możliwość nanieśienia ostatnich poprawek, zanim księga pójdzie w świat, odbita w pięciuset egzemplarzach. Patrz, mam ją tu! O, tu!

Przesunął palcami Kopernika po rysującej się pod płótnem krawędzi grubego pliku papierów, nie doczekał się jednak reakcji. Złożył znów dłoń chorego na posłaniu i zabrał się do rozpakowywania zawiniątka. Wydobywszy wydruk na światło dzienne, spojrzał z ukosa na pierwszą kartę i podnosząc ją pod takim kątem, żeby Kopernik mógł na nią spojrzeć, gdyby tylko zechciał otworzyć oczy, westchnął z zakłopotaniem:

— Nie muszę pytać, co na to powiesz, mistrzu. Ja ze swej strony mogę ci tylko obiecać, że poruszę ziemię i niebo... — uśmiechnął się bezwiednie. — Tak, poruszę ziemię i niebo — powtórzył — żeby przywrócić twój oryginalny tytuł. O, już ja im obu zmyję głowę za te sfery niebieskie, możesz być spokojny! Petrejus jest tu może mniej winny, bo przecież drukarz drukuje, co mu się do druku poda. Ale Ozjander... Och, gdybym miał w swoim czasie choć cień podejrzenia, że będzie sobie tak bezczelnie z twoją księgą poczynął, za nic bym mu nie powierzył nad jej wydaniem opieki!

Młody uczony zamilkł, posapując gniewnie przez nos, i dopiero po dłuższej chwili podjął smętnym tonem:

— Tylko że właściwie nie miałem wyjścia... Ty o tym dobrze wiesz, przecież dla twego potężnego umysłu, zdolnego przeniknąć te zasady ładu wszechrzeczy, z którymi nie mogły się uporać najtęższe głowy dawnych wieków, nasze tu, ziemskie, małostkowe motywacje i dążenia nie mogą kryć w sobie żadnych tajemnic. Więc podobnie jak ty uważałeś, że nie zaszkodzi zwrócić się o opiekę nad dziełem do rzymskiego papieża, tak i ja, żeby móc wypełnić to zadanie postawione sobie dla dobra nauki i całej ludzkości, musiałem znaleźć i w kręgach reformatorów teologiczny autorytet, który by po naszej stanął stronie. Chyba nie masz mi tego za złe, mistrzu mój ukochany?

Z radością spostrzegł nagle, że opadające na górne powieki chorego nawisłe fałdy skóry uchyliły się powoli, nieznacznie odsłaniając zmętniałe oczy.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki! — szepnął Retyk. — Mistrzu, mistrzu Mikołaju, ty mnie widzisz? Albo słyszysz przynajmniej? Jeśli mnie słyszysz, opuść powieki! A teraz podnieś, proszę! Ach, chwała Panu!

Przejęty, znowu spróbował pokazać Kopernikowi próbny wydruk.

— Widzisz księgę, mistrzu Mikołaju? Stoi jak byk, wielkimi literami: *Nicolai Copernici Torinensis De revolutionibus*, widzisz? Tam dalej nie patrz; jak mówiłem, żadnych *orbium coelestium* nie będzie. Tylko mi potwierdź, że widzisz. Jeśli widzisz, przymknij oczy raz; jeśli nie, to dwa razy.

Chory pokazał, że tak, widzi.

— *Mirabile!* — Retyk przeżegnał się i wzniósł oczy ku sklepieniu komnaty. Mistrzu — podjął po chwili, przetarłszy czoło — z tym Ozjandrem jest jeszcze jedna bieda, nie wiem, czy nie gorsza od tej z tytułem. On pisał do mnie do Lipska, czybym nie skrobnął do twej księgi przedmowy, w której miałem tłumaczyć, iż nikt nie twierdzi,

że Ziemia faktycznie się porusza, a jedynie że przyjęcie takiej perspektywy ułatwia obliczenia. Czyli że to tylko taki matematyczny wybieg, owszem, przydatny, ale nie mający nic wspólnego z rzeczywistością. Ozjander twierdzi, że to konieczne, bo inaczej będziemy mieli kłopoty, i to poważne.

Wydało mu się, że wyczytuje w spojrzeniu Kopernika pytanie: „I coś ty mu na to rzekł, Joachimie?”.

— Oczywiście odmówilem — odpowiedział pośpiesznie. — Napisałem, że według mnie za przedmowę całkowicie wystarczy tekst twojej, mistrzu, dedykacji dla rzymskiego papieża, w której, co podkreśliłem, objaśniasz szczegółowo cel i sens swego dzieła. Myślałem, że na tym będzie koniec, ale niestety, w liściku załączonym do tego tu próbnego wydruku wspomniał mi Ozjander mimochodem, iż dojdzie do tego jeszcze jakaś przedmowa. Podejrzewam, że sam myśli ją napisać albo może, nie wiem, namówi na to profesora Reinholda, mojego dobrego kolegę. Ale nie martw się, mistrzu, już ja dopilnuję, żeby nikt nie śmiał skazać twojej książki własnymi wymysłami. Bo żadnej przedmowy nie chcemy, prawda?

Chory przymknął powieki i z widocznym trudem znów je uniósł.

— Mistrzu ukochany, widzę, że to dla ciebie wysiłek — zauważył Retyk z troską. — Może wystarczy, jak będziesz przymykał powieki, a unosił dopiero w odpowiedzi na następne pytanie? Chyba, że będziesz chciał powiedzieć: nie.

Kopernik w odpowiedzi dwukrotnie przymknął i otworzył oczy.

— Masz rację, mistrzu, lepiej zostawmy tak, jak było, bo w końcu nie będę wiedział, czy mówisz „tak” czy „nie” — zaśmiał się nerwowo Retyk. — Mam tu jeszcze dla ciebie, oprócz tego wielkiego, drugiego, mniejszy upominek... — Sięgnął do przywieszzonej u boku kaletki i poszperawszy w niej chwilę, wydobyl arkusz papieru z płataniną linii

starannie wykreślonych na tarczy zodiakalnej. — Drobiazg zupełny — ciągnął z onieśmieleniem — tyle, że moją własną ręką sporządzony. Tak, wiem, wiem, nie jesteś wielkim astrologii miłośnikiem, dawno się tego domyśliłem, ale spodziewam się, że miło ci będzie wysłuchać wysnutego przeze mnie horoskopu, gdyż jest on wcale obiecujący. Pozwól, że ci go odczytam.

Odwrócił kartę pod takim kątem, aby padało na nią jak najwięcej światła, odchrząknął i zaczął czytać:

— „Łagodzący wpływ słońca w znaku Ryb z jednoczesnym przeciwnym działaniem Lwa w ascendencie sprawia, że ktoś urodzony przy takiej konstelacji może być jednocześnie najmiłszym z ludzi, nieskłonny do wdawania się w spory, a zarazem jednostką z gruntu niezależną, nie dającą sobie narzucić niczyjego osądu, a nawet...”

Retyk podniósł wzrok znad tekstu i spostrzegł, że oczy Kopernika umykają gdzieś w bok.

— Znam, mój mistrzu, to spojrzenie — westchnął. — Mówi ono, że głupstwa opowiadam. Dobrze więc, nie będę cię już zanudzał tym, co ci gwiazdy zwiastują. Niech będzie dość na tym, że mówią jasno nie tylko o rozumie twoim, ale i o twojej dobroci niezmiernie, co gdym w nich wyczytał, łzy wzruszenia napłynęły mi do oczu, bo przecież sam tej dobroci doświadczyłem najlepiej. Ty, mistrzu, jesteś mi jak drugi ojciec, wiesz?

Nachylił się, by otrzeć Kopernikowi ślinę z brody i szyi.

— Tak, jak drugi ojciec. Ten mój rodzony, kiedy miałem czternaście lat, oddać musiał głowę katu, fałszywie oskarżony o plądrowanie domów swych pacjentów. Wybacz, że dopiero teraz ci o tym mówię, jakoś nie było okazji, ale przecież ojciec mój padł ofiarą podłych pomówień, nie było w nich ani krzty prawdy, tak mnie zapewniali wszyscy, którzy go znali, i wiem, że szczerze mówili. A nam zabrano nawet

jego nazwisko, Iserin, po to by je na zawsze wymazać z ludzkiej pamięci. Przyjęliśmy więc nazwisko matki, w postaci zmienionej, von Lauchen, jako że rodzicielka moja wywodzi się z włoskiego rodu de Porris. Przewisko Retyk przyłgnęło do mnie dopiero na studiach w Wittenberdze, ktoś bowiem zauważył, że dolina górnego Renu, skąd pochodzę, leży w samym środku starożytnej Recji.

Przez chwilę wydało mu się, że w oczach Kopernika zabłysła iskierka rozbawienia.

— Co, mistrzu? — uśmiechnął się Retyk. — Że Wittenberga? Gniazdo reformatorskiej nauki? Tak, i mnie to jakoś bawi, że ja stamtąd właśnie tu przybyłem, by od ciebie mądrość chłonąć, a teraz chcę ją całemu światu głosić, chociaż moi duchowi przewodnicy szydzą z ciebie niemądrze i wyraźnie ich korci, by rzucić na ciebie anatemę za podważanie Pisma.

Chory kilkakrotnie zamrugał. Retyk nie był pewien, jak ma to rozumieć.

— Tak, pamiętam, coś mi mówił — spróbował zgadnąć — że ty dociekasz bezwzględnej prawdy o budowie świata, zaś rzeczą teologów jest dowodzenie zgodności Biblii z ową prawdą, nie na odwrót. To chcesz powiedzieć, mistrzu?

Kopernik przymknął oczy. Młody matematyk po chwili wahania uznał to za odpowiedź twierdzącą.

— To muszę ci się pochwalić — podjął z ożywieniem — że nawet mam zamiar podrzucić im argument, który im ułatwi wywiązanie się z tego zadania. U świętego Augustyna go znalazłem. Ha, słuchasz mnie! — ucieszył się, widząc, że chory znów podnosi powieki. — Pewnie to znasz: słynna zasada akomodacji! Biblia, powiada Augustyn, dostosowana jest do sposobu myślenia prostych ludzi, gdyż ma na celu powszechne zbawienie, a nie wykład mechanizmów przyrody.

Te bowiem, trzeba to naszym uczonym w Piśmie dać pojąć, nie są dziedziną prawdy objawionej.

„Nie są dziedziną prawdy objawionej” — to zdanie, uświadomił sobie, musiał kiedyś usłyszeć od Kopernika. Chyba to było przed czterema laty, wkrótce po tym, jak zjawił się bez zapowiedzi u niego we Fromborku, on, młody profesor niższej matematyki z Wittenbergi, przemierzywszy w drodze z rodzinnego Feldkirch Bawarię, Czechy, Śląsk i kawał Polski, tylko po to, żeby wypytać doktora Kopernika o jego teorię poruszającej się Ziemi. Spędzili wtedy razem całe lato w gościnie u biskupa chełmińskiego Tiedemanna Giesego na jego zamku w Lubawie. Pamiętał całodniową pieszą wycieczkę na pobliskie lesiste wzgórze, ponoć najwyższe w okolicy, w której towarzyszył im inny jeszcze kanonik fromborski, Aleksander Sculteti, z niejaką panną Suchten, hożą gdańszczanką, którą przedstawiał ze znaczącym uśmiechem jako swoją powinowatą. Retyk nie miał złudzeń co do tego, jak w rzeczywistości wyglądają u papistów te ich sławne śluby czystości, i choć nie miał im za złe naruszania bezsensownego, jego zdaniem, zakazu, nie bardzo też rozumiał popęd, który ich do tego popychał. Zdziwił się trochę, kiedy na wzgórzu dołączyła do nich inna jeszcze kobieta, od panny Suchten dużo starsza — na oko w wieku jego matki — do której wszyscy zwracali się per „pani Schilling”. Pani Schilling rozpałała ogień i upiekła na nim przyniesionego ze sobą świeżo zarżniętego prosiaka, którego potem pokroiła i spożywała razem ze wszystkimi, zagryzając chlebem i popijając winem. Retyk zwrócił uwagę na jej zdrowe, białe zęby, jakie rzadko się spotyka u kobiet po czterdziestce. Siedziała na trawie tuż przy Koperniku i w miarę jak się zmierzchało, coraz częściej wspierała głowę na jego ramieniu, a kiedy już tylko żar z dogasającego ogniska rozpraszał ciemności, bezwstydnie złożyła ją na podołku jego sukni. On zaś

wcale jej nie ofuknął, tylko spoglądając smętnie w ogień, gładził ją leciutko po wysypujących się spod czepca miedzianych, przetykanych srebrem włosach.

Rozmawiali długo w noc, od czasu do czasu dokładając do ognia kawał suchej gałęzi. Sculteti opowiadał, że w tych dniach jedzie z panną Suchten do Dorpatu, gdzie również jest kanonikiem, bo „w naszym Gynopolis” (jak żartobliwie hellenizował oryginalną nazwę Fromborka — Frauenburg) ciężko już oddychać pośród intryg i donosów ze strony najbliższych kolegów, a zresztą grozi mu proces kanoniczny „z powodów wam wiadomych” razem z innym jeszcze z fromborskich kanoników, Leonardem Niederhofem. „Tyś, Mikołaju, na razie umknął katu spod topora” — mówił Sculteti — „zresztą biskup Dantyszek chyba ma do ciebie słabość...”. „Pokornie dziękuję jego przewielebności za taką słabość” — mruknął na to Kopernik. Sculteti, który siedział tuż przy nim, otoczył go ramieniem, mówiąc z żarem, że zdaje sobie sprawę, jaką cenę musiał zapłacić za biskupią łaskę, ale niech nie myśli, że na tym się skończy. Będą go stale śledzić, jego i panią Schilling, i prędzej czy później zdobędą dowody na to, że się nadal widują. Na pewno też każą mu się odżegnać od przyjaźni z nim, Scultetim. „Tego ode mnie wymagać nie mogą” — wtrącił Kopernik stanowczo. „Założmy, że nie” — zgodził się Sculteti bez przekonania. — „Ale czy naprawdę pozwolisz im się rozdzielić z panią Schilling?” — „Cóż” — odrzekł Kopernik — „już pozwoliłem”. — „Możesz to jeszcze cofnąć! Jedźcie ze mną do Dorpatu! Załatwię ci tam kanonikat!”. Kopernik poklepał go przyjaźnie po ramieniu. „Nie, Aleksandrze” — rzekł łagodnie — „nie pójdę na wojnę z Kościołem. Dokładnie to przemyślałem”. Sculteti przechylił się wówczas ku pani Schilling, by ją z kolei zapytać, czy zgadza się w tej sprawie z Mikołajem. „Tak” — odrzekła, siadając prosto. „Są rzeczy ważniejsze niż

bliskość dwojga ludzi.” — „Jakie rzeczy?”. W odpowiedzi wskazała na niebo, iskrzące się od gwiazd. „Te rzeczy” — powiedziała. Retyk nie był pewny, czy miała na myśli dzieło swego ukochanego czy po prostu Opatrzność, ale nie odważył się wtrącić do tej rozmowy. Sculteti po chwili milczenia oznajmił, że dla niego osobiście nie ma nic ważniejszego, po czym zaraz dał temu wyraz, przytulając pannę Suchten.

Rozmawiali potem o jeszcze wielu rzeczach, poświęcając nawet nieco uwagi Retykowi i jego księdze *Narratio prima*, mającej wstępnie zapoznawać świat z Kopernikową nauką, nad którą zawzięcie pracował tamtego lata, by móc ją jesienią zawieźć do drukarni w Gdańsku, aż w końcu zasnęli wszyscy, owinięci w pledy, wdychając woń dogasającego ogniska zmieszaną z wonnym olejkiem, którym się natarli dla ochrony przed komarami.

Rankiem, kiedy Retyk z Kopernikiem, Scultetim i panną Suchten ruszali w drogę powrotną do Lubawy, ku zachodowi, pani Schilling zeszła ze wzgórza na północ, kierując się do Ostródy. Więcej już nigdy jej nie widział, mimo że z krótkimi przerwami pozostawał stale przy Koperniku jeszcze przez dwa lata, zagrzewając go do pracy nad ukończeniem dzieła. Kiedy wreszcie z drogocennym rękopisem przytroczonym do siodła odjeżdżał, mistrz zdawał mu się jeszcze w pełni sił, chociaż w nastroju nieco melancholijnym. „Teraz” — pomyślał Retyk — „to mnie jest smutno, a jemu — kto wie?”. Chory leżał z przymkniętymi oczami, być może spał. Miał spierzchnięte wargi, a w ich kąciку zbierały się białawe bąbelki z gęstej śliny wzdymanej świszczącym oddechem.

Retyk wyjrzał za drzwi i przywołał z korytarza dobrze sobie znanego młodego sługę Hieronima. Poleciał mu wynieść naczynie z moczem i podstawić nowe. Potem podszedł do regału bibliotecznego i sięgnął po księgę *Rosa Medicinae* Jana Anglika. Po krótkim werto-

waniu znalazł w niej to, czego szukał — przepis zanotowany na marginesie ręką Kopernika greckimi literami. Usiadł przy stole, sięgnął do swojej kaletki po przybory do pisania i szybko przepisał recepturę literami łacińskimi. Kiedy Hieronim wrócił z czystym naczyniem, przemówił do niego, starając się nie używać zbyt wyszukanej niemieczyny, bo chłopak był Polakiem:

— Hieronimie, jak przyjdzie doktor Izaak, daj mu tę kartkę. To przepis na farbowanie włosów. Powiedz doktorowi, żeby zamówił tę mieszkankę w aptece i nałożył ją doktorowi Mikołajowi na włosy.

— Retyk sięgnął po sakiewkę i wydobył z niej parę drobnych monet.

— Patrz, to jest dla aptekarza, to dla doktora, a to — dla ciebie. Dopilnujesz tego? Zrobisz to dla swojego pana?

— Tak jest, profesorze Retyk.

— Aha, i wszyscy nie muszą o tym wiedzieć, rozumiesz?

— Rozumiem, profesorze Retyk.

Retyk z aprobatą musnął palcami policzek Hieronima i pozwolił mu odejść. Potem włożył sporządzony przez siebie horoskop Kopernika pomiędzy karty *Rosy Medicinae*, wstawił księgę na miejsce i zabrał się do pakowania próbnego wydruku *O obrotach*.

Jan HEWELIUSZ

1611 Gdańsk — 1687 Gdańsk

Astronom, browarnik, rajca miejski. Był uczniem gdańskiego Gimnazjum Akademickiego. Zainteresowanie naukami ścisłymi i astronomią rozwijał pod wpływem Piotra Krügera, profesora gimnazjum. Obserwatorium astronomiczne wybudował na dachach swoich gdańskich kamienic, wyposażając je w nowoczesne instrumenty. Jego pierwszym dziełem była *Selenographia* (1647) zawierająca doskonałe mapy Księżyca. Rezultaty badań komet zawarł w dziele *Cometographia* (1668). Prezentacji obserwatorium i instrumentów oraz opisom obserwacji poświęcone są *Machina coelestis pars prior* (1673) i *Machina coelestis pars posterior* (1679). W 1664 r. został wybrany członkiem londyńskiego Royal Society. W 1679 r. do Heweliusza przybył Edmond Halley i prowadził z nim wspólne obserwacje astronomiczne. Katalog ponad 1500 gwiazd, z których współ-

rzędne blisko 500 wyznaczył jako pierwszy, oraz atlas nieba przedstawiający 56 konstelacji — *Prodromus astronomiae* i *Firmamentum Sobiescianum, sive Uranographia* — przygotowała do druku i wydała w 1690 r. druga żona, Katarzyna Elżbieta Koopman. W katalogu i atlasie wyodrębnił 9 nowych gwiazdozbiorów, z których 6 — Tarcza (Sobieskiego), Ryś, Sekstans, Jaszczurka, Mały Lew i Lisek (z Gęsią) — pozostaje w użyciu do dziś. Łącznie publikacje naukowe Heweliusza zamykają się w liczbie 21 książek i ponad 30 artykułów. Bardzo dbał o wysoką jakość edytorską swoich dzieł i jest uważany za jednego z najważniejszych twórców wizualnego języka prezentacji treści naukowych w XVII w. Działalność naukową Heweliusza wspierali królowie Polski Jan Kazimierz i Jan III Sobieski, cesarz Leopold I i król Francji Ludwik XIV.





Stefan Chwin

Prozaik, eseista, historyk i krytyk literatury, profesor zwyczajny na Uniwersytecie Gdańskim. Członek zespołu redakcyjnego serii „Transgresje”. Do jego najważniejszych publikacji krytycznych i literaturoznawczych należą m.in. *Bez autorytetu* (ze Stanisławem Rośkiem), *Romantyczna przestrzeń wyobraźni*, *Literatura i zdrada*, *Miłosz. Interpretacje i świadectwa*, *Oddać życie za Polskę*. *Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku*. Jako powieściopisarz wydał m.in. autobiograficzny esej *Krótka historia pewnego żartu*, powieści *Hanemann* i *Esther*, zbiór „historii alternatywnych” *Wspólna kąpiel* (z Krystyną Lars) i wiele innych. W 2015 r. wydał w Niemczech *Ein deutsches Tagebuch*. Tłumaczony na wiele języków.

Astronomia, królewski księżyc i piwo jopejskie

Był niemieckojęzycznym gdańszczaninem wyznania luterńskiego, związanym z Polską, której wiele zawdzięczał. Jego przodkowie przybyli w XV wieku z Dolnego Śląska i w 1526 roku osiedlili się w Gdańsku. Języka polskiego uczył się — m.in. w miejscowości Gondetsch — by skutecznie handlować z kupcami polskimi. Mógł poznać go także w gdańskim Gimnazjum Akademickim, gdzie jego nauczycielem był Piotr Kruger, czołowy kalendarigraf gdański, matematyk i astronom, u którego pobierał także prywatne lekcje astronomii. Sam chętnie mówił o sobie „Hevelius”, wybierając to łacińskie miano, które włączało go w międzynarodową wspólnotę uczonych. Podobno czasem określał siebie z dumą jako *civis Orbis Poloniae*, obywatel świata polskiego, bo Gdańsk, w którym mieszkał i pracował — miasto w XVII wieku niemieckojęzyczne — był częścią Pierwszej Rzeczypospolitej.

Trudno właściwie pojąć, jak łączył w swoim życiu tak ogromną skalę obowiązków i zatrudnień. Był ojcem czworga dzieci, zamożnym właścicielem kilku browarów (warzono tam słynne dubeltowe piwo jopejskie), członkiem cechu piwowarów, aktywnym członkiem rady miasta, ławnikiem, zajmował się szpitalami miejskimi, opieką lekarską, problemami sądownictwa, cechami szklarzy, wiadrovníków, rzeźników i kramarzy.

W młodości sporo wędrował po świecie. Podczas naukowych podróży poznał dużą część Europy, zawierając liczne znajomości w sferach

naukowych, Francji, Anglii i Lejdy, gdzie w 1630 roku studiował prawo i ekonomię. Już w 1630 roku, płynąc morzem do Holandii, przeprowadził pierwsze obserwacje nieba, ale — silnie związany z Gdańskiem, dokąd wrócił w 1634 roku — wolał pracować w swoim domu przy ulicy Korzennej nawet wtedy, gdy brytyjska Royal Society w 1664 roku zaprosiła go do swego grona jako pierwszego w historii zagranicznego członka, a w roku 1668 zaoferowano mu prestiżową posadę kierownika nowego obserwatorium astronomicznego w Paryżu. Wszystkie swoje dzieła napisał i wydał w Gdańsku; Londyńskie Towarzystwo Królewskie informował na bieżąco o wynikach swoich badań.

Miał też szczęście w życiu prywatnym, co nieczęsto się trafia uczonym. Jego druga, młoda żona — dzieliła ich różnica 36 lat — Elżbieta Koopman z szacownego rodu kupców niderlandzkich podzielała jego zainteresowania i chętnie pomagała w badaniach naukowych. Wspólnie dokonywali pomiarów astronomicznych w obserwatorium przy ulicy Korzennej, a kiedy umarł, starannie opracowała i wydała jego prace, dedykując jedną z nich królowi Janowi III Sobieskiemu.

Miał również szczęście do monarchów, którzy go chętnie wspierali, bo na wsparcie ze strony rodzinnego miasta nie mógł niestety liczyć, zaś badania, które prowadził, były bardzo kosztowne. Król Jan Kazimierz nadał mu godność szlachcica polskiego, czego jednak polski sejm nie zechciał uznać. Pomagał mu cesarz Leopold I. Znalazł się Heweliusz na liście 13 uczonych europejskich finansowo wspieranych przez Króla Słońce. Ludwik XIV przyznał mu roczną pensję w wysokości 1200 franków, Sobieski zaś po swojej koronacji pensję w wysokości 1000 florenów i zwolnienie jego browarów od podatku. W uznaniu zasług na polu nauki obaj monarchowie wsparli go hojnie w odbudowie obserwatorium przy ulicy Korzennej, które

spłonęło w 1679 roku. Po bitwie pod Wiedniem, dla upamiętnienia tryumfu polskiego króla nad armią turecką, nazwał jeden z gwiazdozbiorów — w nawiązaniu do herbu królewskiego — Tarczą Sobieskiego. Potrafił też nad zimnym Bałtykiem wyhodować cytryny, którymi obdarował władcę.

Na zamówienie Jana III Sobieskiego wykonał własnoręcznie dwa globusy (nieba i Ziemi), mikroskop, dwie lunety oraz polemoskop — prototyp peryskopu dla łodzi podwodnej, którego rysunki techniczne zamieścił w wydany w Gdańsku w roku 1647 dziele *Selenografia, czyli opisanie Księżyca*. Swoje ostatnie dzieła — przede wszystkim atlas nieba *Firmamentum Sobiescianum* — dedykował Sobieskiemu.

Na rycinie Adreasa Stecha z 1673 roku obserwatorium astronomiczne, które zbudował własnym sumptem na dachach trzech sąsiadujących ze sobą kamienic przy ulicy Korzennej i wyposażył we własnoręcznie sporządzone instrumenty obserwacyjno-pomiarowe, prezentowało się — jak na tamte czasy — imponująco. Odwiedzili je królewscy goście, m.in. Ludwika Maria Gonzaga de Nevers, Jan Kazimierz, Jan III Sobieski.

Karierę naukową rozpoczął od opisania Księżyca, co szybko przyniosło mu międzynarodowe uznanie i sławę. Pierwsze obserwacje teleskopowe poczynił w 1641 roku. W dziele *Selenographia, sive Lunae descriptio* z roku 1647 opisał ruch Księżyca wokół Ziemi, potwierdził też informacje Galileusza o istnieniu gór na Księżycu, wyprzedzając jako pionier księżycowej topografii publikację dokładniejszych map Srebrnego Globu, które opracowano dopiero pod koniec XVIII wieku. Naukową argumentację wspierał rysunkami, które rył własnoręcznie na płytach miedzianych. Jako pierwszy opisał zjawisko libracji Księżyca, dzięki której widzimy nie połowę oświetlonego Srebrnego Globu, lecz 59 procent jego powierzchni. Traktatem *O ruchu*

libracyjnym Księżyca z roku 1654 zainspirował Newtona do badań nad tym zjawiskiem.

Zajął się także fenomenem plam na Słońcu. Prowadził pionierskie obserwacje gwiazd podwójnych. Badał Saturna i Merkurego. Obserwował zmiany blasku gwiazd zmiennych. Księżycowa nomenklatura, którą zaproponował, nie przyjęła się, niemniej do języka astronomii wprowadził na stałe wiele nazw, które funkcjonują do dzisiaj, jak Tarcza Sobieskiego, Mały Lew, Gwiazdozbiór Jaszczurki, Gwiazdozbiór Rysia, a także nazwy obiektów na powierzchni Księżyca. Jego dzieła, w których przedstawiał wyniki swoich badań, były szeroko znane w ówczesnym świecie.

Był zwolennikiem teorii Kopernika, co w tamtej epoce wcale nie było oczywistością. Zachowywał dystans wobec teorii Tychona de Brahe. Pod Gdańskiem zbudował wielki teleskop o długości ogniskowej około 50 metrów, który był wówczas największym teleskopem na świecie.

Fascynowały go komety. Odkrył cztery nowe. *Cometographię*, która była im poświęcona, wydał w roku 1668. We wspianiałej, bogato ilustrowanej — 406 rysunków! — opatrzonej miedziorytem Jermiasza Falcka, dwutomowej edycji *Machina Coelestis* dał szczegółowy opis instrumentów astronomicznych, którymi się posługiwał, a także przedstawił ścisłą relację z obserwacji, jakie prowadził latami. Wbrew opinii Johanna Keplera, że komety poruszają się po torach prostoliniowych, ustalił, że poruszają się one po torach parabolicznych. Chciał stworzyć nowy katalog gwiazd, pełniejszy od katalogu Tychona de Brahe. Udało mu się rozpoznać i opisać pozycje około 2000 gwiazd stałych. Wprowadził do astronomii dziewięć nowych gwiazdozbiorów: Tarcza, Ryś, Psy Gończe, Mały Lew, Sekstans, Lisek (z Gęsią), Jaszczurka. Zastosował wahadło do pomiaru czasu, skon-

struował też śrubę mikrometryczną do mikroskopu, pozwalającą na dowolne przesuwanie tubusa. Umiał budować lunety i własnoręcznie szlifować soczewki, co wymagało znajomości rzemiosła odlewniczego, optyki i kowalstwa. Trudnił się także zegarmistrzostwem. Wedle niektórych historyków jego dziełem jest zegar słoneczny na fasadzie królewskiego pałacu w Wilanowie pod Warszawą.

Wydania książek *Zwiastun astronomii* i *Firmament Sobieskiego*, czyli *uranografia* nie doczekał. Ukazały się one dzięki żonie w 1690 roku. Księga *Prodromus astronomiae*, zadedykowana Sobieskiemu, zawierała w trzeciej części barokowy atlas nieba widzianego z obu półkul globu ziemskiego.

To, czego może mu pozazdrościć każdy uczony, to zbioru ponad 300 tomów z dziedziny astronomii i nauk ścisłych oraz własnego wydawnictwa, w którym publikował na znakomitym poziomie swoje naukowe dzieła, czuwając nad ich opracowaniem edytorskim jako autor wielu ilustracji i prekursor wizualnego języka prezentacji treści naukowych. Nie wszystkie jego odkrycia były trafne, na przykład błędnie wyjaśniał kształt Saturna czy mylnie sądził, że komety mają formę dysku, ale sam zakres jego pracy badawczej był imponujący.

Aż trudno sobie wyobrazić, że znalazł jeszcze czas na napisanie ponad 3000 listów do luminarzy nauki europejskiej, które zresztą sam przygotował do druku. Opublikował 21 książek i 30 artykułów naukowych, między innymi w „Acta Eruditorum” i „Philosophical Transactions”.

Był — jak wyglądał na rycinach — pełnym wyobraźni wizjonerem astronomii, posługującym się własnoręcznie wykonanymi kwadrantami, sekstantami, oktantami, kwadrantami horyzontalnymi oraz azymutowymi o wspinających kształtach, już wtedy nieco staroświeckimi. Korzystał z teleskopów i lunet, ale wiele pomiarów wolał dokonywać

gołym okiem przy pomocy urządzeń z przeziernicą, co — jak zarzucili mu angielscy uczeni, John Flamsteed i Robert Hooke — dawało mało precyzyjne wyniki. Po jego stronie w sporze z Flamsteedem i Hookiem stanął zdecydowanie Edmund Halley, znakomity angielski matematyk i astronom, który odkrył ruchy własne gwiazd i na podstawie hipotezy eliptycznych orbit kometarnych przewidział pojawienie się w 1758 roku komety nazywanej dzisiaj kometa Halleya, a trafność obliczeń gdańskiego astronoma osobiście potwierdził w jego obserwatorium przy pomocy własnego kwadrantu z lunetami.

Pożar w roku 1679 zniszczył obserwatorium na Korzennej doszczętnie. Spłonęły instrumenty astronomiczne, domy Heweliusza, pracownia, browar, biblioteka, drukarnia i nakład świeżo wydanego właśnie dzieła *Machina coelestis pars posterior*. Ocalały na szczęście rękopisy badań i korespondencja, które trafiły później do biblioteki Obserwatorium w Paryżu i francuskiej Biblioteki Narodowej.

Pomoc Jana III i Ludwika XIV pomogła odbudować zniszczenia. Heweliusz zmarł 28 stycznia 1687 roku, dokładnie w dniu swoich 76 urodzin. Do grobu złożono go w kościele św. Katarzyny. Mimo, że był najwybitniejszym po Mikołaju Koperniku astronomem działającym na ziemiach Rzeczypospolitej, spadkobiercy nie interesowali się zbyt podtrzymywaniem pamięci o nim w świadomości następnych pokoleń. Z jednej z płyt drukarskich sławnego dzieła o Księżycu zrobiono tacę, resztę przetopiono. Pozostały po nim głównie wspańnięte edycje dzieł astronomicznych, cyrkiel proporcjonalny, dyplom przyjęcia do Royal Society, grafika *Pejzaż wiejski*, zapisy w księgach miejskich, metryka urodzenia, akt ślubu i portret olejny wykonany przez Daniela Schulza, przechowywane dzisiaj w Gdańskiej Bibliotece Polskiej Akademii Nauk, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i we wrocławskim Ossolineum.

Miasto uczciło go po śmierci dwoma pamiątkowymi medalami, publikacją mowy pogrzebowej pastora Andreasa Bartha i kamiennym epitafium w kościele św. Katarzyny. Pod koniec wieku XVIII na polecenie króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego popiersie Heweliusza z brązu wykonał André le Brun.

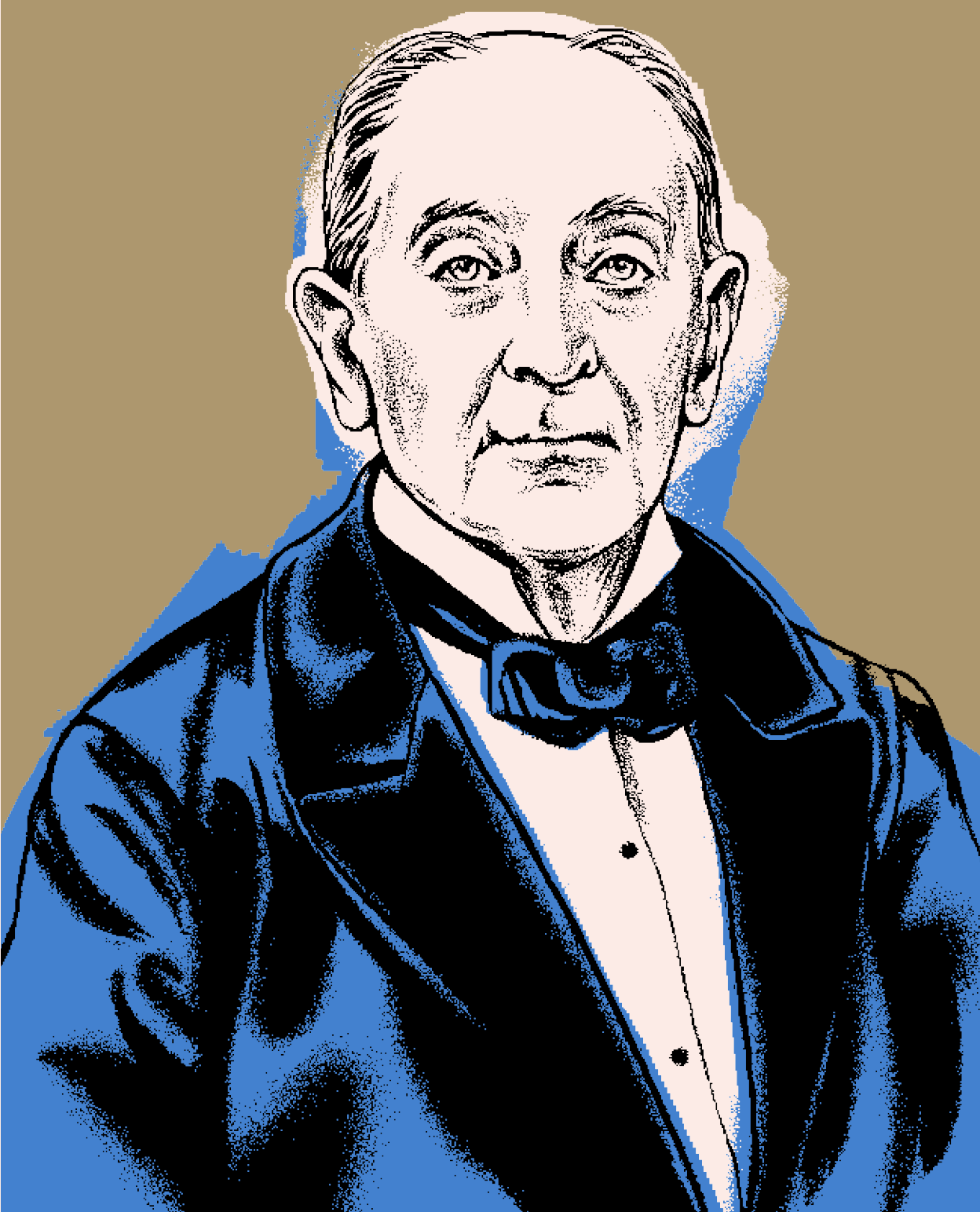
Dzisiaj Heweliusz ma w Gdańsku pomniki, a na pamiątkę jego wspaniałej żony Elżbiety, która tak pięknie i mądrze towarzyszyła mu w poznawaniu nieba, po gdańskich ulicach jeździ tramwaj jej imienia, PESA Swing nr 1022. Nagrodą zaś Naukową Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza, ustanowioną w 1987 roku, honoruje się wybitnych uczonych różnych dziedzin co roku 28 stycznia, w dniu urodzin sławnego astronoma.

Ignacy DOMEYKO

1802 Niedźwiadka — 1889 Santiago de Chile

Inżynier górnik, geolog, mineralog, organizator nauki, honorowy obywatel Chile. Studiował na wydziale fizyko-matematycznym Uniwersytetu Wileńskiego. Od 1818 r. był związany z tajnymi organizacjami młodzieży (filomatów i filaretów). Po ich wykryciu i śledztwie przebywał pod nadzorem policji rosyjskiej. Był adiutantem gen. Dezyderego Chłapowskiego podczas powstania listopadowego na Litwie (1831). Emigrował do Paryża, gdzie studiował na Sorbonie i w École nationale supérieure des mines, gdzie uzyskał dyplom inżyniera górnika. Krótko pracował jako chemik w Alzacji. W 1837 r. podpisał sześcioletni kontrakt z rządem Chile i został nauczycielem w Escuela de Minas w Coquimbo (La Serena). Opracowywał nowy system kształcenia górników. Wszedł w skład Komisji Kolonizacyjnej, pracującej nad włączeniem do Chile

części kontynentu zamieszkaną przez Indian Araukanów. Był profesorem chemii i mineralogii w Instituto Nacional w Santiago, nadzorował reformę szkolnictwa wyższego, pełnił funkcję rektora Universidad de Chile (1867—1883). Jednocześnie był sędzią górniczym, kierownikiem urzędu miar i wag. Wyniki swoich prac zamieścił w podręczniku mineralogii *Elementos de mineralogia*. Pisał także podręczniki poświęcone metalurgii, fizyce i meteorologii. Prowadził szerokie badania terenowe od Pacyfiku po Andy i opracował pierwszą przeglądową mapę geologiczną Chile. Próbki skał i minerałów przekazywał uczelniom Paryża i Krakowa. Odkrył nieznany związek arsenku miedzi, nazwany później domeykitem. W latach 1884—1888 przebywał w Europie i Azji, odwiedził Litwę oraz Kraków, Warszawę, Paryż, Rzym i Jerozolimę.





Wojciech Nowicki

Pisarz, recenzent kulinarny, kurator wystaw fotograficznych, tłumacz. Jego książka *Dno oka. Eseje o fotografii* znalazła się w finale Nagrody Literackiej „Nike”. Za *Salki* otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia. Publikował monografie fotograficzne, choćby *Jerzy Lewczyński. Pamięć obrazu czy Zofia Rydet. Zapis socjologiczny*. Książkę *Tuż obok* nominowano do Nagrody Pióro Fredry. Za *Cieśniny* otrzymał nominację do Nagrody im. Jana Michalskiego i do Nagrody Literackiej Gdynia. Nowicki był dwukrotnie nominowany za całokształt twórczości do Nagrody Literackiej im. Juliana Tuwima (otrzymał ją w 2020 roku). Mieszka w Krakowie.

Rysa

Odebrałem twój list, donoszący o małżeństwie twoim, w Havre. Zdawało mi się w Havre, że jestem bliższy ciebie, bo tylko Ocean nas rozdzielał. Owóż myśląc o tobie jako o graniczącym ze mną przez Ocean, odebrałem tę twoją stanowczą [wiadomość] o twoim losie, pisze Adam do Ignacego. Życzenia moje przyjmij, tak tę część kończy, bo jakimś cudem tym razem list doszedł, poeta nie wyrzeka jak się zdarzało innymi razy, przez całe lata, że srogi los rwie ich korespondencje, tak się wyrażał. Nasza stara Europa uczciwsza, dodawał niby dowcipnie, wasi kapitanowie widno, że lotry, listy gubią albo kradną; bo prawda też, że ta ich cała korespondencja to wielka dziura, po pół roku czekają, całymi latami, aż wreszcie dojdzie list, a najczęściej na próżno. Za każdym razem zaczynają od nowa litanią wydarzeń minionych, w streszczeniu coraz bledszym i nijakim jak bryk z nudnej powieści; a że się przyjaźnią od szczeniństwa właściwie, razem przecierpieli swoje za spiski, to są po imieniu i nie szczędzą dowcipów, choć Adam grzybieje, a przyjaciel jego Ignacy też od zawsze narzeka, choć ruchliwy przy tym i diablo pracowity, w robotach nie ustaje. Ta ich bliskość była dziwna jak dalekie echo: więź silna, ale z innego życia.

W Hawrze mu się zdawało, że bliski Ignacego: w tym zdaniu cały Adam, poeta, odcisnięty jak amonit w wapieniu, co by się akurat Ignacemu spodobało, bo lubił kamienie, czasem się wydaje, że ponad wszystko. Nie pomyślał jakoś, że droga z Francji do domu, jakim stało się dla Ignacego Chile i którego wtedy był już obywatelem,

to męka i to jak długa. Domeyko podróżował statkiem razem z owcami i kurami, całym tym żywym inwentarzem, który służył za lodówkę, z baryłkami wzmacnianego wina, bo angielscy marynarze pili tylko takie, a często. A po morskiej podróży przebyć musiał jeszcze Brazylię, Boliwię i Kordyliery, tak wysokie, że ludzie mdleją czasem z wysiłku i braku tlenu, choć jemu nic nie było, twardy był. A kiedy wyruszali z przewodnikiem mularzem, to śnieg był taki, mówili ci, co przyszli z chilijskiej strony, że koniom sięgał po uszy, o mułach nie wspominając, i trzeba było nocować po ciasnych chatkach, *casuchas* czy *kasuczas*, jak sam pisze, bo hiszpańskiego nie znał wtedy ni w ząb, on, który właśnie przyjechał na wieloletni kontrakt rządowy do kraju, w którym trudno bez tego języka, a miał być nauczycielem. (Nauczył się podstaw w trzy miesiące). Cała ta przeprawa z Francji do miejsca przeznaczenia, Coquimbo, trwała cztery miesiące, trzecią część roku.

Po latach tam, w Ameryce, i przeprowadzce z Coquimbo do Santiago de Chile Ignacy donosi Mickiewiczowi szczegółowo, jak to nasywające się lata (trudno nie lubić tej ich polszczyzny z wileńskim sznytem) skłoniły go do szukania ustroni; i znalazłszy miejsce, co mi się spodobało, pisze, umyśliłem żyć na osobności, cicho, daleko od ludzi. Urządziłem dla siebie domek jakby klasztor jaki, powiada, zapowiadając przejście do klauzurowego życia, przez cały dzień zamknięty, że ani sąsiedzi wiedzieli, co się w nim dzieje. Sprowadziłem do niego całą kolekcję pisarzy ascetycznych, zawartą w *Demonstracyach* Ludwika z Grenady, i zdawało się, żem silniejszy i pewniejszy siebie niż kiedykolwiek. Gdzie indziej zaś dodaje, że ten klasztor jednak wyposażył, bo, pisze, w sadzie pełnym drzew i pomarańczy mam również prawie wszystkie litewskie ogrodowiny: porzeczki, szczaw, ogórki, kapustę, maliny, szparagi, rzodkiew, a nawet poziomki. I już się cieszył: znowu będę pisać po polsku i będę żył na pół w Polsce;

ale że trzeba poznać sąsiadów, to ich poznawał. W pobliżu, donosi znów Adamowi, był duży dom z ogrodem, liczna familia, mnóstwo dzieci swawolnych od rana do wieczora między pomarańczowymi i brzoskwiniowymi drzewami, choć po co te opisy, sam chyba nie wie. Nie o tym chciał pisać; przechodzi w końcu do rzeczy: najstarsze dziecko, piętnastoletnia dziewczyna, miała już wychodzić za mąż za bogatego sąsiada, bo tu kobiety prędzej rosną niż u nas i nie mnie wdać się w opisy, co to jest owa siła i namiętność w dziecinny oku i dziecinnej twarzy — tego rodzaju piękności nie obaczysz może, chyba pod niebem, co prawie zawsze pogodne, i tu pora go powstrzymać, bo w poezje się zapuszcza. Dosyć, powiada, że mi się podobała, a może więcej niż podobała. Gdzie indziej decyduje się na więcej: i w tym momencie wyszła ze szpaleru piękna, piętnastoletnia pаниenka, powiada, rosła, skromna, nieśmiała, czarnych dużych oczu i światlejszych nieco, w pukle zebranych włosów. Zarumieniała się, a ja zbladłem, słowem daleki błysk i nagły grom powalił geologa i niedoszłego ascetę. I jak na ascetę przystało, pisze, że sam za dobrze nie wie, jak potem było: muszę ukrócić historią, powiada, aby nie kaleczyć języka i myśli — dosyć, że kiedy przyszła godzina, jak to mówią, opamiętania się — nie, nie zamyka się na powrót z Ojcami Pustyni, przeciwnie, kiedy przyszła godzina opamiętania się, donosi, Enriqueta z domu Sotomayor, a z matki Guzmán, została moją narzeczoną, za dwa tygodnie będzie ślub i wesele.

Widzieli się po raz ostatni, ostatni w ogóle, we Francji. Domeyko świadcował Mickiewiczowi na ślubie z Celiną. Do Francji przyjechał przegrany: młodość litewska, studia w Wilnie, filomaci i filareci, a potem, po procesie, pięć lat na wsi za karę. Mickiewicz musiał do Rosji. Potem powstanie, klęska i zaraz emigracja, przeszedł granicę i znalazł się w Prusach. Obudziłem się z twarzą zroszoną

łzami, takie to wtedy wypisuje zdania, słowem przeżyć nie mógł tej hańby: mieć broń i ją porzucić. Z Drezna jedzie do Paryża pełen nadziei, coś z tego, kiedy, jak wspomina po latach, 1 sierpnia 1832 r. o trzeciej godzinie rano swąd paryski, swąd węglowego gazu, jakby ze wszystkimi swądami całego świata zmieszany, obudził mię ze snu; i może to pierwsze wrażenie przykre i niespodziewane wpłynęło na jakieś złe przeczucie, które w tym momencie mię ogarnęło, że w tym mieście, do którego od najrańszej młodości mojej tak tęskniłem, nic dobrego się nie przydarzy i może stąd nigdy żyw nie wyjadę. Z tym nastawieniem zwiedza, Adam mu przewodnikiem. Ignacemu wszystko zdaje się nudne i nijakie, niechby i piękne, ale z całego zwiedzania najlepiej przyjmuje wielkie gmaszysko Inwalidów, ni to szpital, ni przytułek dla żołnierzy. A on w tony wysokie: może być co godniejszego widzenia w tym czasie w Paryżu jak Hotel Inwalidów, gdzie żyją jeszcze żołnierze z najwojenniejszej epoki wojennego narodu!, tak pisze, choć Francja po chwili sama się zohydza, kiedy w katakumbach Panteonu, jemu, człowiekowi odurzonemu myślami o narodowej wolności, choć nade wszystko wyznawcy rozumu, ukazuje się, notuje po latach, duża drewniana truna, nieco nadpleśniała, z formy raczej do skrzyni jakiej niż do zwyczajnych trun podobna; owoż cała wartość Rozumu! To pochówek Woltera.

Od tej pory nie zwiedza, chodzi na wykłady. Sorbona ani Collège de France go nie zadowalają, a akademia sławna na cały świat to starcy w mundurach, na galeriach wybuchają śmiechy podczas przemów: gdzież tu powaga, jaka towarzyszyła uniwersyteckiemu senatowi w Wilnie, i w ogóle, gdzież tu Paryżowi do Wilna, do Litwy. Tej Litwy już na zawsze mu brakuje. W swoją koleinę wstępuje dopiero na uczelni górniczej, École des Mines. Wtedy jest już jak najdalej rodaków. Ledwie skończył studia górnicze, wysyłają go na kontrakt

do Alzacji, ma szukać rud żelaza, dobrze mu idzie; ale rzuca robotę bez żalu, bo w Chile czeka praca: pieniądze dobre, no i, pisze, odżyłem! Odżył we mnie mój od dzieciństwa zapal do dalekich wojażów. Jest rok 1837, on kończy trzydziesty piąty rok życia i zaczyna życie na nowo. Po tym roku następuje, jak tytułuje ostatni tom swoich wspomnień: *Czterdzieście sześć lat mego zawodu nauczycielskiego i naukowego w Chile*; a towarzyszy im, taki daje podtytuł, *Powielokrotny zamysł powrotu do kraju do zawiedziony*.

Początek był trudny, chyba się trochę obawiał tego kraju: niebezpieczna pustynia, nie ujrzeć na niej ptasząt, motyliów ni żadnych owadów, nic tam żywego, tylko miraż i sępy na końskim ścierwie. Górnicy niewykształceni. A jednak to nie całkiem tak, bo leczy go praca, jakoś tak po drodze zreformował szkolnictwo górnicze, zreformował uniwersytet i nie gołębił sercem, ale wyklócając się i bijąc o własne racje. Nie wziął za to grosza, rząd sfinansował tylko wydanie jego podręcznika mineralogii i podróże po okręgu przemysłowym, a dla uczniów szkoły górniczej – stypendia na tej paryskiej uczelni, którą sam ukończył. To mu wystarczyło.

Kiedy tak w 1850 roku opowiadał o ostatnich wydarzeniach, o piorunie ciemnym, co go uderzył w cyprysowej alei i o tym, jak powiadał, niewysłowionym żarze i tęsknocie, co nim tak późno zawładnęły (bo choć ona miała lat piętnaście, to on, wstyd powiedzieć, już czterdzieści osiem), to zapominał przy okazji wspomnieć, że pozostał na tyle przytomny, by napisać projekt uniwersyteckiego nauczania astronomii i go przedstawić, i tak dalej, wydział po wydziale, aż osiągnął swoje: nowoczesny uniwersytet z europejskimi kontaktami i kadrą. Wykładał na nim, na koniec został rektorem na długie lata. A wcześniej przecież zdążył być wykładowcą w szkole, sędzią górniczym, do czego, jak uważał, zupełnie się nie nadawał; rozsądzał jednak skutecznie.

Żeby właściciele kopalni srebra nie wchodzili w szkodę sąsiadom, wymyślił nowe oznaczenia, ochrzczone „kopcami Domeyki”. O tych kopalniach pisał zresztą w osłupieniu czytelnym po latach, bo na spisanie pamiętników czas miał dopiero pod koniec życia, że choć cała góra rodzi tylko srebro, to przecież cała podziurawiona, sucha; dookoła jak okiem rzucić pustynia i skały; mnóstwo ludzi jakoby w miasteczku, ale ni jednej kobiety, ni dziecka; zaś w nędznych domkach wymęczonych nędzarzy szampan i xeres leją się jakoby woda, która, powiada, tu drożej kosztuje niż u nas piwo; a ludzie, którzy się na nędznych i cichych górników najbardziej skarżą i o nich najgorzej mówią, są właśnie ci bogacze, właściciele kopalni, którzy z ich pracy i mozołu całkowity zysk ciągną i się panoszą. Doprowadził do polepszenia sytuacji Mapuczów, indiańskiego plemienia, które nie poddało się konkwistom. Coś mi podpowiada, że miał w sobie żarliwy upór Litwina: Mickiewicz, żartowniś przyjaciel, upamiętnił go w *Panu Tadeuszu*: Ignacy to ten od sporu Domeyki z Doweyką. U nas Ignacy Domeyko z Niedźwiadki to delikatna rysa w podręcznikach, filomata, filareta, przyjaciel Adama. Tam pozostawił po sobie dużo więcej: pasmo andyjskich Kordylierów dostało po nim imię i góra, i miejscowość, szkoły, biblioteki i place, i odkryty przez niego związek chemiczny; nawet szkielet tyranozaura z pustyni Atakama jest nazywany *Domeykosaurus chilensis*. I astrowaty kwiatek, i asteroida, są tego całe lawiny. Tyle po sobie zostawił Ignacio Domeyko Ancuta, jak go w Chile nazywają.

Ignacy ŁUKASIEWICZ

1822 Zaduszniki — 1882 Chorkówka

Chemik wynalazca, farmaceuta, przemysłowiec, filantrop. Wobec trudnych warunków materialnych, po czterech klasach gimnazjum podjął pracę pomocnika aptecznego w Łańcucie i Rzeszowie. Działał w konspiracyjnych organizacjach patriotycznych, w związku z czym był aresztowany i więziony. Po uwolnieniu zatrudnił się w aptece Piotra Mikolascha we Lwowie. Od 1848 r. studiował farmację w Krakowie i Wiedniu. Po uzyskaniu dyplomu magistra farmacji w 1852 r. powrócił do pracy w aptece Mikolascha. W laboratorium aptecznym wraz z Janem Zehem przeprowadził destylację surowej ropy naftowej — zwanej wówczas olejem skalnym — uzyskując naftę (1852—1853). Szukając dla niej zastosowań, w 1853 r. zaprojektował prototyp lampy, która

w tym samym roku została wykorzystana do oświetlenia sali operacyjnej szpitala we Lwowie (31 VII 1853 r.) i trafiła do produkcji. Po przeniesieniu się do Gorlic objął w dzierżawę aptekę, gdzie ulepszał metody rafinacji ropy. Zakładał pierwsze spółki górnicze i kopalnie ropy oraz rafinerie na Podkarpaciu. Dbał o dobrą i sprawiedliwą organizację pracy w kopalniach. Był zaangażowany we władzach samorządowych i jako poseł (od 1876 r.) w Sejmie Krajowym Galicji, gdzie pracował na rzecz organizacji wyższego szkolnictwa zawodowego. W 1873 r. za działalność charytatywną nadano mu tytuł szambelana papieskiego i odznaczono Orderem Św. Grzegorza. W 1877 r. zorganizował kongres naftowy oraz utworzył Krajowe Towarzystwo Naftowe.





Łukasz Orbitowski

Pisarz, autor powieści *Święty Wrocław*, *Inna dusza*, *Kult*. Kiedyś pisywał horrory, dziś tworzy literaturę obyczajową. Nagrodzony Zajdlem i Paszportem „Polityki”; nominowany do Nagrody Literackiej „Nike” i Nagrody Literackiej Gdynia. Przez kilka lat współpracował z TVP Kultura jako autor i gospodarz programów telewizyjnych („Dezerterzy”, „One-kobiety kultury”). Żył w Warszawie, Danii i Stanach Zjednoczonych. Obecnie mieszka z rodziną w Krakowie. Podnosi ciężary. Zbiera nosorożce. Gra na konsoli i słucha metalu.

Ziemia wzięła. Bajka

1.

Nasza historia zaczyna się dawno temu, kiedy żyliśmy w strachu przed ciemnością.

2.

Za dnia nasi ludzie polowali, łowili ryby, zbierali zboże i ucztowali, okazując w ten sposób radość życia. Nocą jednak spod ziemi wypęłzał Smok lub — jak chcieli mędrcy — ziemia była Smokiem.

Nikt nigdy nie widział nawet kawałka żadnej z jego głów, a w nozdrzach każde — dymiły wulkany. Niezliczone ogony mieszkwały w jarach, jeziorach, grotach i rozpadlinach. Topiły podróżnych i wywlekały dzieci z kołysek. Wracały pod ziemię dopiero o świcie. Obawiały się bowiem światła.

Uciąłeś jeden ogon, powracały kolejne. Zawsze cicho i pod osłoną nocy. Jak walczyć z takim potworem?

Byli i tacy, którzy wyprawiali się na smoka. Jednym z nich był ojciec małego Luksy, naszego przyszłego króla i wybawiciela. Luksa słusznie uważał go za najdzielniejszego męża na świecie. Z zapartym tchem obserwował, jak ojciec ostrzy swój miecz, zakłada skórzaną zbroję i rozpala pochodnię. Nie ulegało wątpliwości, że rozprawi się ze smokiem.

Młody Luksa poprosił ojca, aby zabrał go ze sobą, ale ojciec odmówił. Nakazał synowi opiekować się siostrą, wyściskał go i poszedł

z mieczem w jednej i pochodnią w drugiej dłoni. Nie wiedział, że Luksa podążył za nim.

Wydarzenia przebiegły inaczej niż chłopiec sobie życzył. Ojciec zszedł głęboko do podziemi i tam stanął do walki. Zadał tylko jeden cios i smok zmiażdżył mu kości. Ale pochodnia musnęła ciało potwora. Ten cofnął się kurczowo, a z rany buchnął niebieski płomyk. Młody Luksa widział to wszystko i dobrze zapamiętał.

3.

Nastały dlań trudne lata. Bez ojca nie mógł uczyć się, jak planował, na rycerza i żeby wyżywić siebie i siostrę, poszedł na służbę do alchemików. Alchemicy, jak wiadomo, to ludzie wyniośli, kłótlivi i skryci. Chętnie gromadzą wiedzę i zazdrośnie jej strzegą. Minęły lata, nim Luksa dorósł i został dopuszczony do ich tajemnic.

Trawiły go dwa pragnienia, spalały dwa sekrety. Przysięgał, że pomści kiedyś ojca i opowiadał o tym każdemu, kto tylko chciał słuchać. Puszczano to jednak koło uszu jako młodzieńcze bajanie, bo i Luksa nie wyglądał na syna rycerza — drobny, pogarbiony, z brodą, która dodawała mu lat.

— Czym zabijesz potwora, chochlą? — pytali niektórzy.

— Nakryjesz go kotłem i będzie po kłopotcie! — dodawali inni. Luksa odpowiadał, że jeszcze zobaczą. Tak właśnie biegło życie.

Luksa bardzo kochał swoją siostrę i od maleńkości przysięgał, że się z nią ożeni. Wszyscy uważali to marzenie za fantazję dzieci. Luksa jednak rósł, przestał być chłopcem, stał się młodzieńcem i dalej gadał o ślubie. W końcu alchemik, u którego praktykował, wziął go na stronę i wyjaśnił, że brat nigdy nie może poślubić siostry. Byłoby to bluźnierstwem wobec bogów i ludzi. Młody Luksa z wielkim trudem przyjął, że tak głosi prawo.

Wkrótce siostra znalazła bogatego narzeczonego i wyszła za mąż. Wesele, jak każde, odbyło się za dnia, żeby smok nie wciągnął pod ziemię pijanych biesiadników. Jednym z nich byłby z pewnością młody Luksa, który pił najwięcej. Obiecał siostrze:

— Z tobą nie mogę się ożenić. Ale ożenię się z twoją córką!

4.

Luksa dorastał i męźniał samotnie. Z czasem zyskał przyjaciela w osobie starego alchemika i dostęp do jego tajemnic. Razem zaglądali w gwiazdy, zmieniali błoto w złoto i zastanawiali się, czy można zapleść warkocz komecie. Ludzie przychodzili do nich po radę i zdrowie. Pracownia alchemiczna zasłynęła w całej prowincji królestwa. Luksa mógłby się ożenić i wieść spokojne życie. Ale nie.

Ukończył lat trzydzieści i nagle ogłosił, że wybiera się na smoka. Ludzie już się nie śmiali. Próbowano raczej odwieść Lukse od tego zamierzenia. Nie nadawał się przecież na rycerza. Próba pomszczenia ojca wydawała się szaleństwem. Sam mistrz, stary alchemik, tak rzekł swojemu uczniowi:

— Smok jest z nami od dawna. Przywykliśmy, że porywa wędrowców i dzieci, by zjadać je w swych ukochanych ciemnościach. Zabijesz go i co wtedy? Może z jego truchła wylezie jeszcze gorsze diabelstwo?

Prawdziwy lament podniósł się, gdy Luksa pokazał rynsztunek, z którym wybierał się na potwora. Nie wziął zbroi ani miecza, tylko nóż i słoik. Ależ arsenał! — mówiono. Nawet siostra przyszła do Luksy, błagając, by nie szedł na pewną śmierć. Przy piersi miała córeczkę.

Luksa pozostał głuchy na błagania. Zjadł dobrą kolację, świadom, że tylko głupiec staje do walki o pustym żołądku. Włożył sandały i najciszej jak mógł zstąpił do jaskini, gdzie przed laty poległ jego

ojciec. Pamiętał chwilę jego śmierci i ogień, który trysnął z rany potwora, smagniętej pochodnią.

Nie miał zbroi, która mogłaby zadzwonić. Żaden miecz nie uderzył o skalną ścianę. Luksa zastał potwora w półśnie. Podeszedł, przebił nożem czarną skórę, nabrał krwi do słoja i umknął spod szponów. Następnej nocy smok odwiedził Lukę podczas snu. Rzekł mu: — Zabrałeś coś, co należy do mnie, więc ja kiedyś wezmę coś, co jest twoje. Nie szykuj się i nie zbrój. Nawet nie będziesz się spodziewał.

5.

Po walce rzadko kiedy widywano Lukę, a ci, którzy go spotkali, wspominali, że postarzał się, pobrał i tylko jego oczy nabrały niesamowitego blasku. Całymi dniami przesiadywał w alchemicznym laboratorium, kazał tam sobie przynosić jedzenie i listy wysyłał przez pachółka. Mówiono, że oszalał tam na dole, w ciemnościach, podczas walki ze smokiem. Kto wie, może częśćkę mroku zabrał ze sobą na powierzchnię, do słońca? Nigdy nie wiadomo, jak to bywa z tymi alchemikami.

Odosobnienie Luksy trwało równo rok. Po tym czasie pojawił się o zmierzchu na głównej ulicy miasta. Niósł przed sobą lampę, jakiej nikt nie widział, wykonaną ze stali i szkła. W środku tańczył niezwykle jasny ogień, który nie chciał zgasnąć. Ludzie poprzyklejali twarze do szyb, żeby móc go obserwować. Nikt jednak nie odważył się opuścić domu. Zapadła już ciemność. Obawiano się smoka.

Luksa spacerował całą noc i nie doświadczył żadnej krzywdy. Rano odkrył swój sekret. W lampie płonęła smocza krew, wyszarpnięta spod ziemi. Luksa znalazł wreszcie sposób, aby ją wydestylować. Do wieczora noszono go na rękach, a nocą, zbrojny w swoją lampę, poszedł do jaskiń po więcej krwi. Potwór cofał się przed światłem, w którym rozpoznawał część siebie. Kolejnej nocy pod ziemię zeszło

trzech innych śmiałków, każdy uzbrojony w lampę i nóż. Następnej jeszcze — siedmiu. Kolejnej — osiemnastu.

Noce pojaśniały, a role uległy odwróceniu. Smok, niedawny oprawca, wycofywał się przed śmiałymi prześladowcami coraz głębiej w podziemia. Ścigano go niestrudzenie, poszerzając korytarze jaskiń, drążąc szyby i tunele. Miał wiele ogonów, czekających wypalenia, i bezmiar krwi do utoczenia. Jego tysiąc imion przestało budzić grozę. Stał się niczym więcej, jak tylko cieniem — wspomnieniem szepczącym w ciemności.

6.

Dzięki sprzedaży lamp i smoczej krwi Luksa wkrótce stał się najbogatszym człowiekiem w prowincji i nie musiał już pracować u alchemika. Ponieważ nie wiedział, co zrobić z pieniędzmi, postanowił spożytkować je na czynienie dobra. Budował sierocińce, szpitale i domy opieki dla starców, opłacał też leczenie każdemu, kto dla niego pracował, i uległ wypadkowi. Dowiedział się w ten sposób, że życie przepełnione miłością i szacunkiem staje się jakby bardziej znośne. Czegoś mu jednak brakowało.

Córka jego siostry wyrosła na piękną dziewczynę, Luksa poprosił ją o rękę i został przyjęty. Wielu ludzi powitało ten pomysł ze zgrozą. Kto to widział, aby starzejący się mężczyzna, choćby i bohater, żenił się z własną siostrzenicą? Pamięć ludzka prędko ginie i o najdzielniejszych z ludzi. Luksa poszedł więc do proboszcza, a odprawiony, do biskupa i kardynała, a gdy odmówili, napisał do samego Ojca Świętego. W liście stwierdził, że w tym jego kraju łatwiej zgładzić smoka, niż ożenić się z ukochaną.

Papież zapytał, dlaczego tak zależy mu właśnie na siostrzenicy i czemu zapragnął jej jeszcze przed narodzeniem. Przecież tyle kobiet

chciałoby z nim związać. Odpowiedział, że każdy człowiek musi mieć coś, co sobie przysięgnie, co trzyma go przy życiu. Tylko wówczas zdoła okiełznać potwory w jaskini i we własnym sercu także. Wkrótce otrzymał zgodę na skromne wesele. Potem państwo młodzi wyjechali na wieś, do świeżo nabytej posiadłości, gdzie żona Luksy powiła córeczkę. Chciałoby się skończyć tutaj tę opowieść.

Niestety, biegnie ona dalej.

7.

Luksa nigdy nie zapomniał usłyszanych we śnie słów smoka i zadbał, by jego dom pozostawał należycie oświetlony. Codziennie wieczorem robił obchód i samodzielnie rozpałał przy łóżku córki dwie lampki.

Tak minął rok. Rodzice otoczyli córeczkę wszelką możliwą opieką, lecz ta nigdy nie jest wystarczająca. Starzejący się alchemik lubił spędzać czas na werandzie, z dzieckiem w ramionach. Bywały wieczory, kiedy przysypiali sobie razem, ona i on, opromienieni czerwonym słońcem.

Pewnego wieczoru Luksa ocknął się bez dziecka na rękach. Tymczasem słońce znikło. Nad wysoką trawę nadpłynęła mgła i właśnie ku tej trawie, poza krąg światła, raczkowała zawzięcie mała dziewczynka. Co ją tam wołało? Co zobaczyła? Tego możemy się tylko domyślać. Wiadomo jedynie, że przerażony alchemik rzucił się na ratunek córki. Ale było już za późno. Dziewczynka znalazła się w ciemności. Ponoć zatrzymała się, jakby wątpliwość zasiała ziarno w jej maleńkim sercu. Mignął czarny kształt i polana przed domem opustoszała.

Luksa nakazał poszukiwanie córki, lecz mając w pamięci straszną obietnicę smoka, dobrze wiedział, że to próżny trud. Pozostał w swoim pięknym domu. Mówiono, że szykuje zemstę i zbroi się

potajemnie, chcąc wypalić potwora spod ziemi. Do niczego takiego nie doszło. Widywano go też, jak błądzi wśród traw, usiłując posłyszeć wołanie córki.

8.

Bez lampy wkraczał w ciemność, lecz ta go nie wzięła, więc spokojnie czekał na śmierć, wiedząc, że nie wypada jej przywołać ani odegnąć. Zachorował w sile wieku i przyjął swój los bez słowa skargi. Pogrzeb ściągnął tłumy, a każdy przybył z lampą. Ciągnęło się po horyzont — morze falującego światła.

Maria ZAKRZEWSKA

1829 Berlin — 1902 Boston

Lekarka, pionierka kobiecej służby zdrowia, edukatorka medyczna, emancypantka. Pochodziła z polskiej rodziny, której posiadłości znalazły się pod zaborem rosyjskim. Od dzieciństwa interesowała się medycyną i towarzyszyła matce — położnej w szpitalu w Berlinie. Po kilku latach ubiegania się o przyjęcie w wieku 20 lat rozpoczęła naukę w Szkole dla Położnych w Berlinie. Po śmierci swojego promotora jako 23-letnia dziewczyna na kilka miesięcy przejęła obowiązki głównej położnej i profesora położnictwa. Zmuszona do ustąpienia przez męską część personelu medycznego, w 1851 r. wyjechała do Stanów Zjednoczonych, gdzie kobiety mogły już zdobywać dyplom lekarza. W 1856 r. ukończyła studia. Przez dwa lata pracowała w Nowym Jorku, gdzie wspólnie z dr Elizabeth Blackwell, pierwszą kobietą z tytułem lekarskim w Stanach Zjednoczonych, otworzyła Nowojorską Izbę Lekarską dla Kobiet

i Dzieci. Następnie otrzymała stanowisko profesor położnictwa w ramach Żeńskiego Kolegium Medycznego w Bostonie. W przededniu wojny secesyjnej zezwolono jej utworzyć Nowoangielski Szpital dla Kobiet i Dzieci (1862). Był to drugi w Ameryce szpital z całkowicie kobiecym personelem lekarzy i chirurgów. Wprowadziła szereg nowatorskich metod leczniczych oraz zasady aseptyki. W 1872 r. Zakrzewska otworzyła pierwszy profesjonalny program nauczania pielęgniarek w Stanach Zjednoczonych. Ukończyły go m.in. pierwsze afroamerykańskie pielęgniarki, w tym Mary Eliza Mahoney. W 1890 r. znakomite ówczesne wyniki szpitala umożliwiły otwarcie oddziału chirurgii, gdzie również, co stanowiło światowy ewenement, operowały kobiety. Maria Zakrzewska wychowała całą generację lekarek, położnych i administratorok szpitali. Całe życie walczyła ze stereotypami. Nigdy nie założyła rodziny.





Sylwia Chutnik

Doktor nauk humanistycznych, kulturoznawczyni, absolwentka Gender Studies (UW). Pisarka, publicystka, działaczka społeczna. Członkini Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Unia Literacka. Felietonistka m.in. „Polityki”, „Wysokich Obcasów” i wielu portali internetowych. Współprowadziła programy „Cappuccino z książką” i „Zapomniani – odzyskani” w TVP Kultura oraz „Barłóg literacki”. Jej teksty naukowe znalazły się w ponad 20 opracowaniach i książkach zbiorowych. Stypendystka Homines Urbani, programu Books from Lithuania Litewskiego Instytutu Kultury, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Miasta Stołecznego Warszawy, Instytutu Goethego. Laureatka nagród literackich i społecznych. Autorka podcastu Radio Sylwia.

Chłodny wiatr

Kiedy tylko otwieram oczy po przebudzeniu, podchodzę do okna, aby powdychać zachłannie zapach morza i cieszyć się, że mieszkam w Bostonie. Mówiąc szczerze, zamieszkałabym wszędzie, gdzie mogłabym tylko prowadzić własną praktykę lekarską. Są ludzie, którzy twierdzą, że Bóg wybiera nam miejsce na ziemi: tam, gdzie się urodziliśmy, powinniśmy i umrzeć. A jeśli losy rzuciły nas w objęcia innych krajów, to przynajmniej na starość powinniśmy ruszyć do ojczyzny niczym w ostatnią pielgrzymkę. A mi jest dobrze w mieście, w którym jestem. Patrzę na portowe uliczki i dobrze mi z tym, że właśnie tu kończy się ta podróż.

Ile to już razy słyszałam od współpracowniczek pytanie, czy tęsknię za Polską? To ciekawe, ponieważ urodziłam się przecież w Niemczech. Przyznam jednak, że zawsze określałam się jako Polka. Moja rodzina utraciła majątek pod zaborem rosyjskim i wyemigrowała do Berlina. Ojciec, oficer pruskiej armii z arystokratycznymi korzeniami, zawsze twierdził, że wolny człowiek może mieszkać gdziekolwiek. Ważne tylko, aby znał swoją wartość i wiedział, co chce robić w życiu. Przywiązanie do kwestii materialnych, w tym ziemi, traktował jako przejaw słabego charakteru. Wierzył w naukę i logikę oraz własny rozum. Wiele razy w chwilach zwątpienia wracałam do powiedzenia, które ojciec powtarzał za Heglem: „Co jest rozumne, jest rzeczywiste; a co jest rzeczywiste, jest rozumne”. Moją rzeczywistością

była wiara, że jeśli jestem do czegoś mocno przekonana, powinnam zrobić wszystko, aby to osiągnąć. Tak, uważano mnie za upartą. Nic sobie z tego nie robiłam.

Miałam jeszcze piątkę rodzeństwa i nie pamiętam, aby ktokolwiek z nas nawet jako dzieci próbował negować słowa ojca. Oczywiście, nie znaczy to, że je rozumieliśmy. Tak już zwykle jest: rodzinny obiad, przy którym rodzice wymieniają się poglądami, podczas kiedy dzieciaki kopią się pod stołem i planują zabawy. Ale coś nam musiało wpadać do uszu mimochodem, ponieważ nigdy — również w dorosłym życiu — nie kierowaliśmy się pokusami materialnymi czy rozbudowanym ego. Byliśmy za to ambitni. Ktoś pewnie z przekąsem powiedziałby, że nazbyt.

Z perspektywy przeżytych lat, a mam ich ponad 70, widzę, jak często musiałam płacić cenę za wartości, w których wzrastałam. Nie chcę przez to powiedzieć, że żałuję moich decyzji. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że gdybym podchodziła mniej surowo do samej siebie, za to bardziej wyrozumiale do otaczających mnie ludzi, być może wiodłabym spokojny żywot pani doktor. A może zupełnie odwrotnie — zanudziłabym się stagnacją. Dlatego nie lubię takiego roztrząsania, patrzenia wstecz. Coraz częściej jednak przypominają mi się okruchy dzieciństwa: babcia, która leczyła zwierzęta, niewidomy kuzyn, który leżał w szpitalu okulistycznym. I to pierwsze ukłucie w sercu, kiedy jako dziewczynka widziałam niedociągnięcia w pracy i system, który zamiast leczyć, poniżał. Dziwne uczucie, jakbym przeglądała album ze zdjęciami, chaotycznie włożonymi w ramki. Po latach na pozór nieistotne szczegóły stają się najważniejszymi punktami zwrotnymi: wybieranie sukienki na egzamin w kolegium Medycznym w Nowym Jorku (czarna, ale z granatową wstążką wpiętą między koronką pod szyją) czy robótki na drutach (myślałam,

że oślepnę od tego ślęczenia), aby utrzymać się w czasie studiów w Pensylwanii.

Stojąc u progu życia widzi się, jak wiele szans zostało zmarnowanych. To smutne, zdać sobie sprawę z własnych niedociągnięć i mieć świadomość, że jest już za późno. Nie umiem być pobłażliwa względem siebie, nauczyła mnie tego kariera medyczna. Czasem chciałabym poklepać się sama po plecach i powiedzieć: „Maryśka, zrobiłaś wiele dobrego — stworzyłaś pierwszą instytucję lekarską dla kobiet i nie dałaś się zastraszyć, kiedy rasiści grozili spalaniem domu”. A jednak zaraz potem pojawia się wahanie, że może gdybym się bardziej postarała, gdybym więcej pracowała...

Nie próżnowałam. Nigdy. Mając niespełna trzydzieści lat, założyłam pierwszy w kraju szpital dla kobiet i dzieci, obsługiwany przez same kobiety. Byłam wtedy doświadczoną położną, mogłam więc dzielić się wiedzą z innymi. Moje współpracownice odbywały w szpitalu praktyki i szkolenia. Kierowałam placówką ponad czterdzieści lat, dając zatrudnienie setkom kobiet. Przypominam sobie czasem ich twarze. Niektóre z nich uznawały swój zawód i karierę za priorytet, poświęcając życie osobiste. Miały podobne do mojego podejście, że czasem należy zdecydować się na jeden życiowy projekt i wprowadzać go tak, aby na koniec można było powiedzieć: „wypełniłam swoje zadanie”. A kto mi je przydzielił? Cóż, ja sama.

Jednak w przypadku kobiet lekarek to nie takie proste. Nie chcę zliczać, ile razy ryzykowałam nie tylko zawodowo, ale także życiowo, walcząc o pozycję kobiet w świecie medycznym. O pozycję osób nie białych, których przecież w państwie, w którym przyszło mi pracować, jest tak wiele. Wielokrotnie musiałam stosować sztuczki, podchody i niemal polityczne gry. Wszystko po to, aby osiągnąć cel i tworzyć nowe miejsca pracy dla tych, które chciały spełniać się zawodowo,

a nie tylko rodzinnie. Prowadziłam niezliczone, kuriozalne wręcz dyskusje, uciekając się do argumentacji dla wielu osób nie do przyjęcia, dla mnie zaś naturalnej niczym oddychanie. Wypowiadając je głośno, czułam się wręcz zawstydzona, że w ogóle muszę o tym wspominać. Błędy w logicznym myśleniu przeciwników doprowadzały mnie na skraj irytacji. Wiedziałam jednak, że muszę zachowywać się rozważnie i skupić na tym, co najważniejsze. W artykułach dla prasy przekonywałam, że tylko kobiety powinny asystować przy porodach. Skoro to one mają doświadczenie zachodzenia w ciążę i porodu, najlepiej pojmą inną kobietę. Dowodziłam, że jeśli — jak chcą niektórzy — biologia determinuje nasze zachowania, to ubranie jej w naukę i praktykę medyczną zwiększy bezpieczeństwo rodzących, a tym, które będą porody odbierać, da możliwość spełnienia zawodowego i poczucia sprawczości. Zupełnie nie rozumiałam, czemu większość moich kolegów przeciwna jest pracy kobiet w szpitalach. Podejrzywałam, że są zwyczajnie zazdrośni o ich dokonania oraz pracowitość. A jako że kobieta ma dar przekazywania życia — to czy dla mężczyzny starczy miejsca w tym cudzie narodzin? Podobnie było z kwestią koloru skóry. Moi przyjaciele, którzy działali na rzecz zniesienia niewolnictwa, powtarzali zawsze, że przynależność do ruchu abolicyjnego przypomina czasem rozmowę z dziećmi, które dopiero co uczą się zależności społecznych i tego, jak uporządkowany jest świat. To właśnie w taki sposób rozmawiałam z niektórymi adwersarzami. Kierowałam swoje słowa jak do nierozumnych istot, co z jednej strony było dla mnie samej nieznośne — nigdy nie lubiłam być mentorką — z drugiej zaś pozwalało szybko wcielić się w rolę wyrozumiałej matki. I tu bardzo pomagało mi doświadczenie pielęgniarki. Troska, cierpliwość, a nade wszystko rola służebna: wydawało mi się, że przez wiele lat mam wobec ludzkości

dług polegający na niesieniu oświeceniowych idei, ale niesieniu ich w taki sposób, aby szybko stały się praktyką, a nie tylko hasłem. Nie satysfakcjonowały mnie burzliwe dyskusje salonowe o prawie wyborczym kobiet czy dominacji białego człowieka. Chciałam zmiany i chciałam wiedzieć, jak wprowadzona w życie idea radzi sobie w praktyce. Może czasem byłam w gorącej wodzie kąpana i nie słuchałam tych, którzy chcieli po prostu pomóc, a niekoniecznie robić rewolucję? Kiedy jednak jest się młodą lekarką, trudno czekać, aż zmiany dokonają się same.

Zresztą działanie i odwagę wyniosłam z domu rodzinnego. Matka nie zaakceptowała mojej decyzji, abym została położną. To zresztą moja wielka tragedia życiowa: kiedy studiowałam w Cleveland, miała mnie odwiedzić. Zginęła w czasie katastrofy statku. Cały czas mam wyrzuty sumienia, że to przeze mnie.

W każdym razie postawiłam na swoim. Najpierw długo starałam się o przyjęcie do szkoły w Berlinie (pierwszeństwo miały zwykle żony lub wdowy po urzędnikach państwowych). Potem stałam się nawet ulubioną uczennicą dr. Schmidta i jego zastępczynią. Musiałam nie tylko ciężko pracować, ale także walczyć z tymi, dla których kobieta na kierowniczym stanowisku była czymś nie do pomyślenia. Poniosłam porażkę — stanowisko udało mi się utrzymać tylko przez pół roku. Stąd pomysł wyjazdu do Ameryki, gdzie lekarki miały nieco więcej możliwości. Nie wybrałam tego kraju dobrowolnie. To było raczej podążanie za, nie bójmy się tego słowa, powołaniem. Wiedziałam bowiem, że w życiu chcę stać się najlepszą lekarką, jaką tylko mogę być.

Skąd mi się to wzięło? To pewnie wpływ matki, z którą jeździłam czasem na odbieranie porodów. Prześcieradła, miska z wodą, przecinanie pępowiny nożem kuchennym. Gdy ma się naście lat i widzi

małego człowieka, który — cały zmarszczony i czerwony — właśnie przyszedł na ten świat, to nabiera się przeświadczenia, że nasza biologia potrzebuje czasem asysty. Bez nas poradzi sobie również, ale być może z większą szkodą dla człowieka. To uczy pokory.

Szybko poznałam swoje miejsce jako lekarka. Nie walczyłam z organizmem, ale go wspierałam. Dzięki temu nie myślałam o lekarzu jako o Bogu, w którego rękach znajduje się człowiek. Wielu moich kolegów widziało się w roli nowych stwórców, ale prowadziło to do rozczarowań, zwłaszcza jeśli pacjentka umierała. Ja w takich chwilach starałam się nie załamywać: jeśli tylko robiłam wszystko, co w mojej mocy, by ratować życie i zdrowie, przyjmowałam to, co przynosił los. Następnym razem po prostu lepiej poznawałam nowe możliwości medycyny. Szukałam innych rozwiązań.

Czemu to robiłam, czemu ciągle chciałam więcej i więcej? Założyłam szpital, wyklócałam się o stricte kobiecy personel, wreszcie wspierałam ruch kobiecy i domagałam się praw obywatelskich dla każdej z płci? Być może bliska jest mi koncepcja przeznaczenia. Wiem, nie brzmi to zbyt poważnie, a ja jestem przecież nobliwą i znaną panią doktorką. Ale od kiedy pamiętam, chciałam pomagać ludziom i chyba ani razu w moim życiu nie pojawił się inny scenariusz.

Pamiętam taką scenę: rodzice wyszli gdzieś na proszoną kolację, a my z rodzeństwem zostaliśmy pod opieką pani, która przychodziła do nas czasami pomagać w sprzątanii. Miałam może sześć lat. Zniosłam do kuchni wszystkie lalki, miśki i zabawki, które były w domu i ułożyłam je obok siebie. To był szpital. Za łóżka służyły wzięte z szafy chustki do nosa i bielizna, która pełniła rolę kołdry. Byłam tak pochłonięta robieniem operacji, mierzeniem temperatury, osłuchiowaniem czy pielęgnowaniem, że nie zauważyłam, kiedy wrócili moi rodzice. Stali oparci o futrynę drzwi i patrzyli na mnie z przerażeniem,

ale i uśmiechem. Podobno używałam lekarskiego żargonu z takim przekonaniem, jakbym całe życie wykonywała ten zawód.

Kiedy byłam starsza odstawałam nieco od reszty rówieśników. Dobrze się uczyłam, ale nie byłam zbyt lubiana. Jeśli coś mi się nie podobało, mówiłam to wprost. Nie miałam czasu na te wszystkie gierki, sztuczne uśmiechy, gesty przyjaźni wobec osób, które zupełnie mnie nie interesowały. Zostało mi to na całe życie: brak cierpliwości wobec spraw nieistotnych. Czasami irytowało to moje pracownice. Uważały, że jestem grubiańska i nie można się do mnie zbliżyć ani zaprzyjaźnić. Chyba miały rację, bo niewiele miałam w moim życiu przyjaciół lub partnerów. Byłam jednak bardzo skupiona na pracy i dość szybko stałam się samodzielna. Widziałam wiele zła i krzywdy ludzkiej, kiedy poznawałam przytułki dla kobiet i dzieci. Widziałam podłość w pałacach i szlachetność w norach. Nauczyłam się, że życie wśród pozorów jest wręcz szkodliwe i odeszła mnie ochota na bale charytatywne czy kwesty. Może za mało w życiu tańczyłam? Tak, tego chyba żałuję najbardziej. Teraz, nawet gdyby ktoś zaprosił mnie na bal, nie miałabym sił dobrze się bawić.

Trudno mi wyobrazić sobie przyszłość. Moja jest raczej do przewidzenia. Coraz gorsze samopoczucie nie pozostawia lekarce złudzeń. Całe życie pracowałam ponad siły. Często dyżury trwały całą dobę. Za wszelką cenę chciałam pokazać niedowiarkom, że kobieta może fizycznie pracować tyle samo, co mężczyzna. Zbyt często bowiem słyszałam, że nie nadaję się na dyrektorkę szpitala, bo nie podołam ciężkiej pracy. Po latach jednak wszystkie te schylenia się, niedospania, bieganina odbiły się na moim zdrowiu. Kto niebawem zajmie się tą, która całe życie zajmowała się innymi?

Nie jestem zgorzkniała. Nigdy nie lubiłam tych zaciętych starszek, które wiecznie mają pretensje. Wiem, że wychowałam rzesze

dzielnych kobiet, które kontynuować będą moje działania. Zastanawiam się tylko czasem, czy coś po mnie zostanie. Nie mówię tu o sławie i nie sądzę, aby moje trudne nazwisko zostało zapamiętane. Ale idee, dla których pracowałam, nasiona, które tu i ówdzie starałam się zasiać, muszą przetrwać, rozprzestrzenić się i wydać owoce. Inaczej cóż warto byłyby te wszystkie starania i wyrzeczenia?

Zamknę okno, strasznie dziś wieje. Wspominanie wyczerpuje, wrócę więc do łóżka, bo zaraz muszę przyjąć kolejne leki.

Jan Nieciśław BAUDOUIN DE COURTENAY

1845 Radzymin — 1929 Warszawa

Językoznawca, społecznik, wolnomysliciel, publicysta. Urodzony w polskiej rodzinie arystokratycznej, która od strony ojca miała pochodzenie francuskie. Absolwent warszawskiej Szkoły Głównej, językoznawstwo studiował kolejno w Pradze, Wiedniu, Berlinie, Jenie i Petersburgu; doktorat obronił w Lipsku (1870). Jako Polak nie mógł liczyć na pracę w Warszawie, dlatego pracę naukową kontynuował na Uniwersytecie Petersburskim, a następnie na Uniwersytecie Kazańskim. Wraz z kręgiem uczniów podjął tam prace nad naturą języka (odróżnienie języka od mowy, odkrycia fonologiczne, jak definicje fonemu i morfemu, badania nad źródłami praindoeuropejskimi języków słowiańskich oraz dialektologiczne), które zyskały miano Kazańskiej Szkoły Lingwistycznej. W latach 1883—1893 nauczał gramatyki porównawczej języków słowiańskich

w Dorpacie (Tartu), następnie w Krakowie (1894—1899) i znów, aż do rewolucji, w Petersburgu. Wśród jego tamtejszych uczniów wymienić trzeba L. W. Szczerbę, J. D. Poliwanowa, N. S. Trubieckoję, a zwłaszcza R. O. Jakobsona, dzięki któremu wpływ Baudouina objął Praską Szkołę Lingwistyczną. Zasłynął także z radykalnych przekonań: zwalczał wszelki nacjonalizm i antysemityzm, opowiadał się za równouprawnieniem kobiet, był ateistą (*Mój stosunek do Kościoła*, 1927) i pacyfistą. Za liberalne poglądy odsiedział w 1914 roku trzy miesiące w carskim więzieniu. Pisał w ośmiu językach, nie licząc klasycznych i sanskrytu. W 1918 roku w czasie odzyskania przez Polskę niepodległości wrócił do kraju. W odrodzonej Polsce wykładał jako profesor honorowy na Uniwersytecie Warszawskim i został wysunięty jako kandydat na urząd prezydenta (1922).





Krzysztof Siwczyk

Poeta, eseista, recenzent. Studiował kulturoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim. Autor szesnastu tomów wierszy (m.in. *Dzике dzieci*, *Wiersze dla palących*, *W państwie środka*, *Gody*, *Jasnopis*, *Mediany*). Za tomik *Dzике dzieci* otrzymał m.in. nagrodę miesięcznika „Czas Kultury”. Opublikował także książki krytyczno-literackie, eseistyczne i prozatorskie (*Ulotne obiekty ataku*, *Kinkiety w piekle*, *Koło miejsca/Elementarz*, *Bezdech*). Zagrał również główne role w dwóch filmach fabularnych: *Wojaczek* (reż. Lech Majewski, 1999 r.) oraz *Wydalony* (reż. Adam Sikora, 2010 r.). Otrzymał m.in. Nagrodę Fundacji im. Kościelskich i Nagrodę Literacką Gdynia. Mieszka w Gliwicach.

Język, który mówi nami

Wedle Friedricha Hölderlina „co się ostaje, ustanawiają poeci”. Otóż nie. To, co się ostaje, ustanawiają filolodzy i językoznawcy. Friedrich Nietzsche boleśnie to wiedział, stając się prekursorem dwudziestowiecznego przewrotu językowego.

Jeśli chodzi o nasze, rodzime podwórko, trudno uchwycić moment uzyskania świadomości języka, jakim u progu XX wieku zaczynamy mówić. W sytuacji utraty państwa, w porzecznej degrengoladzie, w okresie rewolucji przemysłowej, wreszcie w zgiełku nacjonalizmów są wszak osoby organizujące sens przez duże „S”. Kimś takim był Jan Nieciśław Ignacy Baudouin de Courtenay. Równieśnik Nietzschego, któremu historia zgótowała mniej eksponowane miejsce, a tułaczy los wykładowcy uniwersytetów niemieckich, rosyjskich i polskich uczynił go wielkim twórcą przynajmniej trzech obszarów kulturowych. Trudno byłoby wskazać umysł trzeźwiejszy, intelekt równie niepodległy i nietuzinkowy, wypracowujący — w wielojęzycznym wysłowieniu na przełomie XIX i XX wieku — strategię rozumienia języka jako organizmu, którego złożoność każe raz na zawsze pożegnać naiwną wiarę we władztwo, jakie nad nim jako użytkownicy sprawujemy. Zaiste, zagadką pozostać musi fenomen badacza, który w języku zobaczył immanencję, a nie transcendencję, skrzynkę z narzędziami, a nie sakrament. Ten podstawowy impuls poznawczy doceniono, o czym świadczy tonaż bibliografii i długi łańcuszek

powinowatych, dwudziestowiecznych badaczy języka, którzy w Ignacym Baudouinie de Courtenay widzą wspólny prekursorski mianownik. Odnoszę wrażenie, że z dzisiejszej XXI-wiecznej perspektywy to nie taksonomia języka dokonana w słynnej rozprawie *Próba teorii alternacji fonetycznych* jest najważniejsza, a właśnie próba rekonstrukcji mentalnego zaplecza, z jakiego wydobył on na światło dzienne ideę narzecza, jakim moglibyśmy porozumiewać się wzajemnie w wielkiej Wieży Babel świata. O ile wspomniany na początku tych uwag Hölderlin — mieszkaniec wieży szaleństwa i solipsyzmu z pięknym widokiem na Neckar — dał potomnym słownik metafory obłądu, o tyle de Courtenay położył podwaliny pod równie fantasmagoryczne esperanto. Przy czym fantasmagoria językoznawcy okazała się dużo bardziej brzemienna w skutki epistemologiczne niż poetycka spekulacja. Po pierwsze de Courtenay — niemal równolegle z pomysłami Ferdinanda de Saussure’a — rozróżnia pojęcie języka i mowy. Uchwycenie tej diametralnej różnicy wydaje się przewrotem kopernikańskim tak w samym językoznawstwie, jak i literaturze. Generalnie nie widzę innych źródeł strukturalizmu i poststrukturalizmu niż to pierwotne, skądinąd zatrute, źródło dychotomii. To pęknięcie powoduje, że tradycja romantycznego aktu twórczego wychylonego w kierunku zaświatów koroduje w sposób błyskawiczny, uwalniając potężną intelektualną energię, która skupiać się będzie odtąd na nowym przykazaniu: nieważne co, ale jak piszemy! Odtąd święte księgi ludzkości, które de Courtenay studiował z wnikliwością średniowiecznego kopisty, stają się po prostu literaturą człowieka, a nie boskimi dyktandami. Wiemy już i nie możemy się tej wiedzy wyprzeć, że język to wieloelementowa abstrakcja produkująca lokalne znaczenia, ulegające skądinąd ciekawym zabiegom manipulacyjnym w użyciu mowy — tego wspólnotowego poligonu negocjacji, w którym zgadzamy się lub nie na

wyprodukowane przez język znaczenia. Ta różnicująca i odkrywczą perspektywa oglądu języka i mowy wywłaszcza nas z dziecinnej wiary w obecność stabilnego *arché* świata. Zadekretowane w filozofii presokratyków rozejście się porządku słów i rzeczy uzyskuje nowoczesne miano i dowodliwą siatkę naukowego wywodu.

De Courtenay stronił oczywiście od systematycznej teorii języka na rzecz poetyki fragmentu, w czym tak bardzo przypomina Nietzschego. Doskonale pasuje do niego spostrzeżenie Emila Ciorana: „Hegel był mordercą. Wymyślił system”. De Courtenay był zaś antysystemowy w każdym z możliwych wcieleń. Zapłacił za to odsiadką w rosyjskiej twierdzy. Zaprowadził go do niej nie oblęd, lecz nieprzejednana postawa moralna, czyniąca zeń promotora — jakbyśmy dziś powiedzieli — praw człowieka w świecie, który z praw tych nie potrafił sobie zdać sprawy i które się politycznie nie opłacały. Prawo do bycia człowiekiem to nade wszystko prawo do idiomatyczności i poszczególności, do lokalności i różnorodności, wreszcie do wolności od unifikującej jedyności i poszczególności ideologii „politycznej jedni”. Jakże aktualny to program nowej wolności w naszych czasach powrotu ideologii wykluczającej egzystencjalny wyjątek! Sam uczony był nie tylko znakomitością świata nauki, ale nade wszystko dawcą pojęcia „narodowości”, które zupełnie nie przyjęło się w polskiej historii. I to drugi punkt jego wybitności. De Courtenay był bowiem podzielony niczym język i mowa. Był uosobieniem wielu żywiołów kulturowych i językowych. Mówił i pisał w ośmiu językach, kształcił się między Wschodem a Zachodem, intelektualnie podróżował między metaforycznymi Rzymem a Jerozolimą. Aktualizował swój duchowy i intelektualny potencjał na pograniczu wielkich tradycji kulturowych. To umysł pracujący na przecięciu, w społeczno-politycznej międzysferze, gdzie zamieszkują mniejszości i wykluczeni,

bezaństwowcy i buntownicy. Znamiennym epizodem tej biografii jest więc wystawienie w roku 1922 jego kandydatury na urząd prezydenta. W głębokim sensie był obywatelem świata, co czyniło go w dwudziestoleciu międzywojennym personą podejrzaną, a choć nie dożył pełnego rozkwitu antysemityzmu w Polsce, wyczuwał go doskonale. Postulował jednoczesne nauczanie w szkołach II Rzeczypospolitej jidysz i języka polskiego. Widzę w tym postulatcie uczciwość względem pamięci historycznej i nawiązanie do najlepszych tradycji otwartości polskiej kultury, zapładnianej i współtworzonej przez różne źródła. Z coraz bardziej zatartej i odległej perspektywy współistnienia języków i kultur wydobywa się de Courtenay jako figura gościnności, o jakiej w XX wieku najpełniej napisze Jacques Derrida. Być może to nieco oddalony, intelektualny adres, niemniej dobrze rezonuje z francuskimi korzeniami polskiego językoznawcy. Gdyby chcieć zastosować historycznie pojęcie dekonstrukcji, tedy de Courtenay wydaje się dekonstruktorem najpierwszym. Swoją działalnością naukową dekonstruuje zaufanie, jakim darzy język dziewiętnastowieczny, polski intelektualista, zawierając mu prawdę opisu świata. Jako aktywny wolnomyśliciel staje w poprzek ciężącym i petryfikującym polskie życie społeczne presjom klerykalnym i ksenofobicznym. Bada słowiańskie idiolekty. Być może jego wiara w pansławizm wyraża pragnienie wyższego porządku, organizującego większe, historyczne zbiorowości. Dekonstrukcyjne z ducha są jego poglądy pacyfistyczne i feministyczne. Czytając jego dzieła i wypowiedzi publicystyczne odnosi się wrażenie, jakby chciał doprowadzić do gramatologicznego przewrotu w kulturze słowa, a feminatyw przychodził mu naturalnie. Umarł w roku 1929.

Gdzieś między rokiem 1889, kiedy Nietzsche popada w obłąd, a datą śmierci polskiego językoznawcy dokonuje się paradygmatyczna

zmiana organizacji życia społeczeństw europejskich. Te cztery dekady stanowią węzłowe lata wykluwania się nowoczesności. Świata, z którego dopiero za chwilę wyłoni się technika masowego ludobójstwa i równie masowy język jego uzasadnień. Język przestanie być zbiorem abstrakcyjnych elementów, a stanie się konkretnym narzędziem wskazującym „wroga”, Innego, Obcego. Dziesięć lat po śmierci de Courtenay rozpocznie się proces utraty języka i mowy wspólnej, w której negocjuje się idiomatykę indywidualnego życia. Nie będzie już mowy o negocjacjach. Po doświadczeniu II wojny światowej i Holokaustu świat rozpozna się jako niema nicość. Odtąd „poetyckie esperanto”, tworzone przez Paula Celana i Tadeusza Różewicza, zmagać się będzie z opinią Theodora Adorna: „Nach Auschwitz ein Gedicht zu schreiben, ist barbarisch.” Poszukiwania języka porozumienia między ludźmi staną się domeną poezji, a nie filologii i językoznawstwa. Nowe tablice przymierza będą ryte w wersach najśłynniejszych wierszy powojennych.

Intencje, które mogły powodować Janem Nieciśławem Ignacym Baudouinem de Courtenay, kiedy 150 lat temu rozpoczynał swoją podróż do źródeł języka i mowy w poszukiwaniu sensu, w którym jako ludzie będziemy mogli się rozgościć jak w domu, wydają się z dzisiejszej perspektywy niezmiernie radykalne. Tkanka naukowa nakłada się tu idealnie na kręgosłup moralny, przekonania obywatelskie idą w sukurs działalności społecznej, opowiedzenie się w obliczu kultur dominujących po stronie kultur pomniejszych zdaje się heroiczne. Siła tej integralnej osobowości bierze się z całkowitego, poliglotycznego rozproszenia.

Józefa JOTEYKO

1866 Poczujki pod Kijowem — 1928 Warszawa

Fizjolożka i psycholożka, pionierka ergonomiki pracy, pedagogka dziecięca, emancypantka. Naukę rozpoczęła w Warszawie (1884), licencjat z fizjologii eksperymentalnej uzyskała w Genewie (1888), dyplom lekarski zdobyła w Paryżu (1896). W 1896 r. została zatrudniona jako asystentka w nowo założonym (1894) Solvayowskim Instytucie Fizjologii w Brukseli, prowadząc zarazem badania w laboratorium psychologii eksperymentalnej Wydziału Lekarskiego Université Libre. Opracowała w tym czasie technikę badań przemiany materii w mięśniach, ustalając kryteria fizycznej wydolności i zmęczenia. Powoływali się na nie po 1907 r. przeciwnicy podbijającego przemysł tzw. systemu Taylora. Od 1906 r. nauczwała w akademickich ośrodkach w Mons i Charleroi, rozszerzając zainteresowania na psychofizjologię bólu. Po inwazji niemieckiej

w 1914 r. znalazła schronienie w Paryżu, gdzie wykładała psychologię fizjologiczną i rozwojową na Sorbonie i w Collège de France, a od 1918 r. w Lyonie. W latach paryskich związała się ze starszą od siebie badaczką o podobnych zainteresowaniach naukowych, Michaliną Stefanowską. Między innymi z powodu tego związku po powrocie do Polski w 1919 r. odmówiono jej katedry na Uniwersytecie Warszawskim, a Państwowy Instytut Pedagogiczny, który współtworzyła, po pięciu latach zlikwidowano. Odtąd nauczwała w Wolnej Wszechnicy Polskiej i Instytucie Pedagogiki Specjalnej, organizując też ruch instytucjonalny i wydawniczy praktyków psychologii wychowawczej. W ostatnim roku życia powołana została do nowatorskiej w światowej skali Rady Ochrony Pracy przy Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej.





Mikołaj Łoziński

Pisarz, scenarzysta, fotograf. Ukończył studia socjologiczne w Paryżu. Autor tłumaczonych na wiele języków powieści wyróżnionych m.in. Nagrodą Fundacji im. Kościelskich (*Reisefieber*) oraz Paszportem „Polityki” (*Książka*). Powieść *Reisefieber* nominowana była do Nagrody Literackiej „Nike”. Ostatnio wydał powieść *Stramer*, którą pismo „Książki. Magazyn do Czytania” oraz Tygodnik „Polityka” uznały za książkę roku 2019 (*Stramer* nominowany był również do Nagrody Literackiej „Nike” i znalazł się w finale Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus). Ojciec bliźniaków. Mieszka w Warszawie.

Trzy dni z życia Józefy Joteyko

1.

Kret na Smolnej

Co robi dziewczynka, która w bramie swojego domu przy Smolnej 23 znajduje martwego kreta?

Jest 1877 rok, wiosna.

Rok temu przyjechała z Poczujek pod Kijowem do Warszawy. Mama uważała, że Józefie i jej trójce rodzeństwa trzeba zapewnić porządne wykształcenie. Józefa też marzyła, żeby się wyrwać z rodzinnego majątku do miasta.

W Poczujkach podsłuchiwała z łóżka wieczorną rozmowę rodziców.

— Minęły czasy, kiedy wystarczyło zapewnić dzieciom ogłędę towarzyską, znajomość języków i edukację muzyczną — powiedziała mama.

— Nie ruszę się z ojcowizny! Nie ma mowy — odpowiedział ojciec. — Wiesz, że jestem już zmęczony.

Potem Józefa zasnęła, ale rozmowa musiała trwać dalej, bo dwa miesiące później ojciec wydzierżawił część majątku (plantację buraków cukrowych) i przenieśli się całą rodziną, razem z francuską guwernantką, panią Perosette, do Warszawy.

Znaleźli przestronne mieszkanie w Śródmieściu, zatrudnili służących, a na wakacje jeździli, jak ich sąsiedzi, do Szwajcarii.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko mama nie była rozczarowana szkołą Józefa. „Niski poziom i do tego teraz nawet polski wykładają po rosyjsku. Nie po to przenieśliśmy się do Warszawy”. Wpadła na pomysł, żeby urządzić u nich w domu komplety po polsku. Na Smolną zaczęli przychodzić najlepsi warszawscy nauczyciele historii naturalnej, historii Polski, historii powszechnej, matematyki i rysunku.

Józefa najbardziej lubi, kiedy opowiadają jej o uniwersytecie. To wielki, tajemniczy gmach. Kwadrans piechotą ze Smolnej. Poważni profesorowie i studenci, którzy wchodzi i wychodzi przez wysoką ozdobną bramę, też mają w sobie coś tajemniczego. Józefa wyobraża sobie, że to dlatego, że wnoszą i wynoszą stamtąd pod cylindrami wiedzę o świecie. I stąd te miny.

Józefie podobają się też proste, praktyczne mundury studentów. Ale dlaczego nie ma wśród nich kobiet?

Często specjalnie wraca do domu okrężną drogą, żeby tylko przejść obok uniwersytetu. A w domu ćwiczy przed lustrem poważne miny.

Raz podsłuchiwała rozmowę studentów. Jeden przyłożył cwikiery do oczu i powiedział głośno:

— Pragnę zbadać wszystko, co jest, a potem odkrywać nowe...

I głośno zaklął, bo wlażł w kałużę, co rozbawiło nie tylko jego kolegów i guwernantkę, panią Perosette, ale nawet palących papierosy pod bramą carskich oficerów.

Od tego dnia Józefa sama powtarzała, „że pragnie zbadać wszystko, co jest, a potem odkrywać nowe”, ale zapamiętała też, żeby omijać kałuże.

Niedawno ojciec zapytał, co chciałaby dostać na jedenaste urodziny. Był zdziwiony. Za banknot (Józefa nie zobaczyła, ilurublowy), który dyskretnie wsunął do ręki strażnikowi, wpuszczono ich do bocznego skrzydła uniwersytetu, do pracowni zoologicznej, w której akurat nie było zajęć.

Trzymała ojca za rękę i oglądała zwierzęta — za szkłem, w formalinie, przybite szpilkami do drewnianych tablic. Przyglądała się szkieletom na półkach i tablicom, na których było narysowane, co ludzie i zwierzęta mają pod spodem, w środku, pod skórą. Każdy narząd był opisany cyrylicą.

Teraz w bramie na Smolnej przypominają jej się te szkielety z pracowni zoologicznej. Patrzy, czy nie ma stróża, i ostrożnie przenosi martwego kreta na podwórko. Kładzie go pod kasztanowcem, żeby był jak najmniej widoczny. Zaraz tu wróci. Musi tylko pobiec na górę i wziąć od służącej ostry kuchenny nóż, zanim zrobi pierwszą w życiu sekcję zwłok.

2.

Tłum w Collège de France

21 stycznia 1916 roku w Collège de France nie ma wolnych miejsc. Sala i kuluary są tak przepełnione, że ciężko się oddycha. Ktoś mówi, że ostatni raz takie tłumy widział na Henrim Bergsonie.

Józefa ma jeszcze pięć minut. Wychodzi na papierosa. Po drodze macha do Marii Skłodowskiej-Curie, która siedzi w trzecim rzędzie obok najwybitniejszych francuskich feministek. Dwa pierwsze rzędy, jak za czasów Mickiewicza, zajęła „kolonia polska”.

W tej słynnej paryskiej uczelni, po raz pierwszy w jej prawie czterystuletniej historii, wykład wygłosi kobieta.

Józefa przeczytała o tym pogrubioną czcionką przynajmniej w czterech gazetach, które Michalina Stefanowska przyniosła jej rano do łóżka.

— Patrz, nie przekręcili nawet tytułu twojego wykładu. „La Fatigue dans la fonction motrice”. Zmęczenie w czynnościach ruchowych.

Józefa pociągnęła Michalinę za rękę i jeszcze położyły się razem na chwilę. Tylko za bardzo się nie zmęczmy — śmiały się.

Potem Michalina przyniosła Józefie kawę do łóżka. To od lat ich rytuał. Najpierw w Paryżu, potem w Brukseli, a teraz znowu w Paryżu.

Poznały się w 1886 roku, równo trzydzieści lat temu, na studiach przyrodniczych w Genewie. Michalina zwróciła uwagę na dwudziestoletnią smukłą studentkę już na pierwszym wykładzie profesora Vogta.

Profesor opowiadał, że zjawiska psychiczne powstają wyłącznie na podstawie fizycznej i że są w stosunku do zjawisk fizycznych pochodne, a Michalina patrząc na piękną, lekko zaróżowioną cerę tej jasnej blondynki, nie mogła się z nim nie zgodzić.

Słuchały o tym, że myśl i uczucia stanowią emanację mózgu i są zależne od składników komórek nerwowych.

Tak zresztą potem przez lata widziały swój związek.

— Nie ma myśli bez fosforu! — Vogt zakończył swój wykład, po którym Michalina odważyła się podejść do Józefy i poprosić ją o zapalki.

Józefa kokieteryjnie paliła papierosa. Nosila binokle i prostą obcisłą suknię. To zresztą do teraz się nie zmieniło. Nie uznaje mody, nienawidzi chodzenia po magazynach, ma swoje własne gusta: suknie z solidnych materiałów, pełne prostoty, bez żadnych ozdób. Często ubolewa, że nie wolno jej nosić się jak mężczyźni.

Dziś w Collège de France ma na sobie szary kostium angielskiego kroju, biały wykładany kołnierz i krawat-wstążkę.

Po dwóch latach w Genewie i krótkim pobycie w Warszawie (załatwianie spraw po śmierci ojca Józefy) Michalina i Józefa przeniosły się na dalsze studia do Paryża. Wynajęły już wspólnie skromny pokój w Dzielnicy Łacińskiej na rue Glacière. Michalina, bardziej praktyczna, prowadziła dom. Józefa nie próbowała nawet nauczyć się

gotować. Nocami pisała po francusku prace teoretyczne o zmęczeniu mięśni, a w dzień studiowała medycynę.

Po studiach w École de Médecine pracowała przez kilka miesięcy jako lekarz. Ale nie mogła słuchać, kiedy w czasie konsylium starsi koledzy kolejny raz zgodnie uznawali, że trzeba przedłużyć okres leczenia, bo bogaty pacjent zapewni przez pewien czas źródło dochodu.

Tęskniła do Michaliny („Mam przez Ciebie rozstrój humoru” — pisała w listach), która dostała pracę jako fizjolog w Brukseli, w Instytucie Solvaya.

W końcu pewnego dnia bez uprzedzenia przyjechała do niej z dwiema walizkami. Postanowiła też wrócić do pracy naukowej. Michalinie udało się znaleźć pracę dla Józefy w instytucie Solvaya.

Zaczął się ich najlepszy okres. Całymi dniami byli razem. Oprócz przestronnego mieszkania dzielili w Instytucie wspólne laboratorium i pracownię z wielkimi oknami z widokiem na piękny staw w parku Leopolda. Badały zmęczenie mięśni, nerwów i ośrodków nerwowych.

To wszystko też opisano w porannych gazetach, ale w inny sposób:

Ta najwybitniejsza, obok Skłodowskiej-Curie, polska uczona w ciągu 7 lat (1900–1907) ogłosiła 88 artykułów, doniesień i sprawozdań z prac wykonywanych przez nią samą lub też wspólnie z M. Stefanowską, V. Kipiani¹ i Ch. Henrym. Niemal wszystkie prace dotyczyły badań z dziedziny fizjologii. Natomiast po 1907 ukazywało się coraz więcej jej prac z zakresu psychofizjologii, psychologii i wreszcie pedagogiki. Dodatkowo od 1901 przez 14 lat wykładała psychologię eksperymentalną w Instytucie Solvaya i prowadziła badania w tej dziedzinie, a od 1906 wykłada też psychologię pedagogiczną w seminariach nauczycielskich.

1 „To niewiasta!”, zaznacza redaktor gazety.

Artykuł kończył się wypowiedzią ulubionej uczennicy Józefy, czyli Marii Grzegorzewskiej, o którą już z Michaliną nieraz się pokłóciły:

Joteyko interesuje zawsze przede wszystkim człowiek. To umysł wybitnie filozoficzny, z głębokim przygotowaniem przyrodniczym, w pracach i badaniach fizjologicznych i psychologicznych szuka rozwiązania dla podstawowych zagadnień zmęczenia, pracy ludzkiej, bólu, potem przesuwając swe zainteresowania na prawa rozwojowe człowieka i jego psychiki — staje na czele ruchu pedagogicznego i staje się jego pionierem. Zdaje sobie sprawę, że nauka powinna przekraczać ciasne ramy laboratorium i służyć życiu.

Józefa z plikiem kartek podchodzi do pulpitu. Na sali robi się cicho. Stara się nie stresować, nie myśleć o tym, że przed nią z Polaków w Collège de France wykladał tylko Mickiewicz.

3.

Pokój sublokatorski przy Wilczej 47

1928 rok, Warszawa. Józefa z trudem wchodzi na piąte piętro. Musi zatrzymywać się na każdym półpiętrze. Ma 62 lata i rzadko już wychodzi z domu. Teraz poszła kupić bułki na cały tydzień.

Wróciła do kraju rok po tym, jak Polska odzyskała niepodległość. Dała się ponieść niepodległościowej atmosferze. Cieszyła się, że przeniesie tu swój dorobek naukowy (ostatnio zajmowała się problemami psychologii, w szczególności zagadnieniami inteligencji i metod badań poziomu intelektualnego dzieci), warsztat i przede wszystkim przekonała do powrotu do kraju najwybitniejszych polskich uchodźców, z którymi współpracowała we Francji i w Belgii. Dlatego założyła w 1918 w Paryżu Polską Ligę Nauczania i Wychowania.

Była pewna, że dostanie katedrę psychologii na Uniwersytecie Warszawskim. Po sukcesach, jakie miały jej wykłady w Collège de France i na Sorbonie. Wiedziała oczywiście, że to nie będzie już ten poziom uczelni, ale przecież w młodości marzyła, żeby studiować na Uniwersytecie Warszawskim. Przełakła nawet kilka nocy przez to, że kobietom nie było wolno studiować i że będzie musiała wyjechać za granicę. A teraz wróci i będzie tam wykładała — było w tej myśli coś symbolicznego, jakaś sprawiedliwość losowa.

Nie mogła uwierzyć, kiedy okazało się, że profesorowie UW zagłosowali przeciw jej kandydaturze.

Dlaczego? Słyszała różne wersje. „Niechęć do profesora kobiety”. „Antagonizm między konserwatyzmem decydujących kół uniwersyteckich a postępowością przejawiającą się w poglądach, metodzie i całej pani działalności oświatowej i twórczości naukowej”. Ktoś powiedział, że poszło o jej „przyjaźń” z Marią Grzegorzewską.

Sama też próbowała to sobie jakoś wytłumaczyć. Franciszce Baumgarten, przyjaciółce i uczzonej, która wahała się, czy wrócić do kraju ze Szwajcarii, powiedziała:

— Ciężkim jest samodzielne stawianie kroków w życiu jednostki i narodu. Zdarzają się błędy i niesprawiedliwości, nawet wielkie. Należy przebaczać. Przecież to swoi.

W końcu wylądowała w Państwowym Instytucie Pedagogicznym w Warszawie. Wykładała przyszłym nauczycielom psychologię ogólną i pedagogiczną.

Ale potem zamknięto instytut i przez chwilę była bez pracy.

Na szczęście Maria Grzegorzewska została dyrektorką Instytutu Pedagogiki Specjalnej i zatrudniła Józefę. Józefa ostatni wykład, między innymi o konieczności wprowadzenia do szkół instytucji

psychologa szkolnego, wygłosiła trzy miesiące temu, 3 listopada 1927 r.

Jest opuchnięta, ma kłopoty z chodzeniem i oddychaniem. Wilcza 47 jest całkiem niedaleko Smolnej, gdzie mieszkała z rodzicami i rodzeństwem. Dość blisko też Uniwersytetu Warszawskiego, do którego również nie dałaby rady już dojść.

Mieszka w skromnym pokoju sublokatorskim przy rodzinie Zylbergów. Udaje, że nie widzi, jak niechętnie na nią patrzą — starą, osłabioną, niezaradną. Jak służący opryskliwie traktuje ją i jej gości.

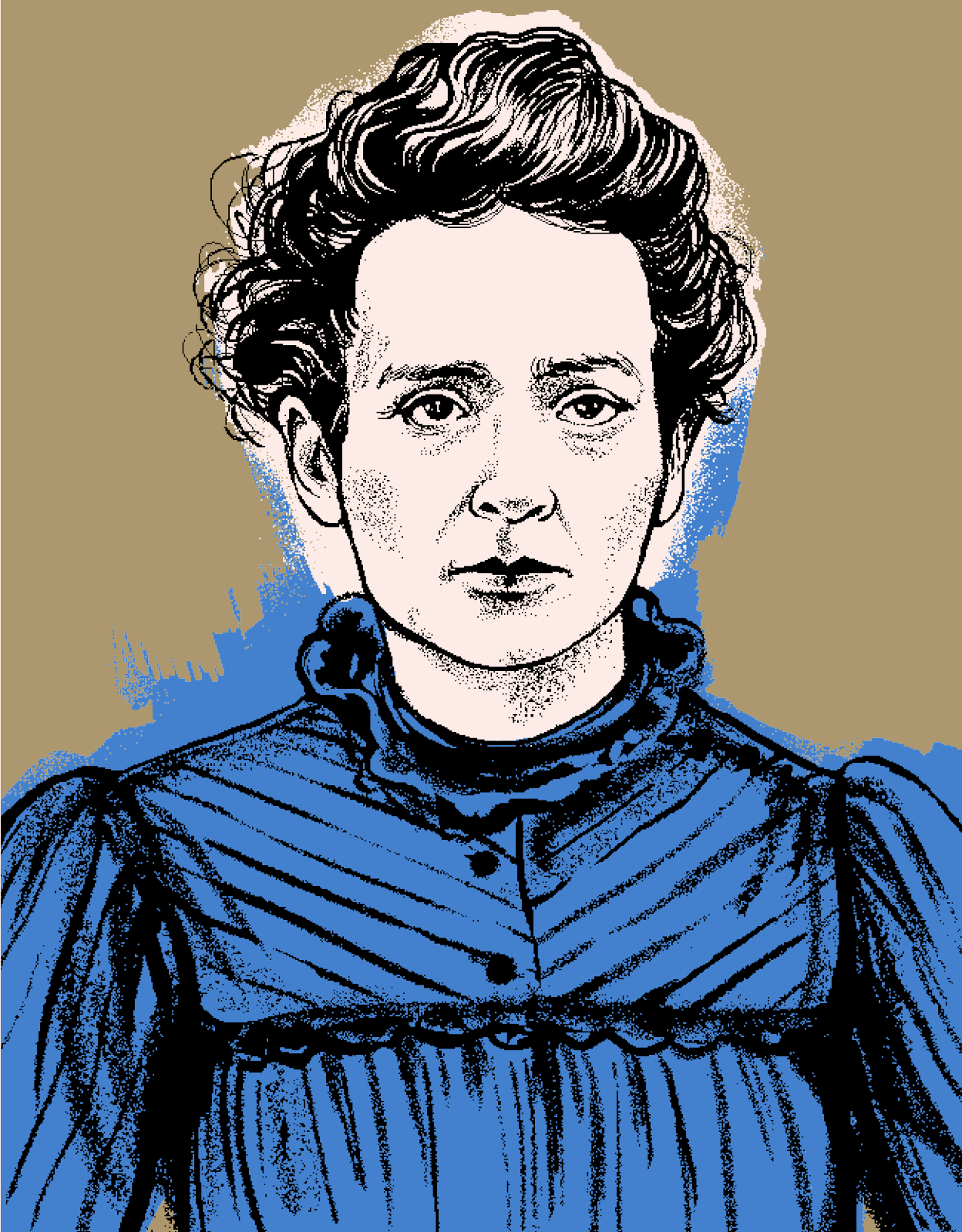
Józefa Joteyko tyle lat teoretycznie badała ból i zmęczenie, a teraz je czuje.

Maria SKŁODOWSKA- CURIE

1867 Warszawa — 1934 Sancellemoz

Fizyczka i chemiczka, odkrywczyni pierwiastków polonu i radu oraz badaczka zjawiska radioaktywności, współtwórczyni rewolucji naukowej XX w. Edukację rozpoczęła, po części nielegalnie, w zrusyfikowanej Warszawie. Od wczesnych lat miała poglądy laickie i demokratyczne. Pracując w Polsce jako guwernantka, utrzymywała na studiach we Francji siostrę. Następnie, w 1891 r. sama wyjechała do Paryża, gdzie po dwóch latach na Sorbonie otrzymała licencjat z nauk fizycznych, a rok później z matematyki. Związała się z wybitnym fizykiem, badaczem krystalografii i odkrywcą piezoelektryczności, późniejszym mężem, Piotrem Curie, z którym pracowała do jego śmierci w 1906 r. Za wyniki tych badań oboje uczeni, a także współtwórca nauki o promieniotwórczości — Henri Becquerel — uhonorowani zostali Nagrodą Nobla w 1903 r. Po śmierci męża

przyznano jej, jako pierwszej kobiecie na Sorbonie, wakującą katedrę fizyki. Za uzyskanie radu w postaci metalicznej, a także za inne prace otrzymała w 1911 r. drugą — co stanowi ewenement — Nagrodę Nobla. W tym okresie zajmowała się głównie teorią rozpadu promieniotwórczego i wykorzystaniem radioaktywności w medycynie. Podczas I wojny światowej zorganizowała zespół ruchomych aparatów rentgenowskich, które także osobiście obsługiwała. Po wojnie kontynuowała badania radiologiczne w na nowo zorganizowanym Instytucie Radowym (1921), którego odpowiednik powołała też w Polsce (1932). Zmarła na białaczkę będącą skutkiem długotrwałego narażenia na promieniowanie. Jej córka Irène, także fizyczka, uzyskała wraz z mężem, F. Joliot, Nagrodę Nobla za odkrycie sztucznej promieniotwórczości (1935).





Izabela Morska

Autorka około dziesięciu książek, na które składają się zbiory poezji, fragmenty teatralne, proza i eseistyka, w tym rozprawy *Glorious Outlaws* (*Wspaniali wygnańcy*). W 2018 roku otrzymała Nagrodę Literacką imienia Juliana Tuwima za całokształt twórczości. W 2020 roku jej książka — dziennik z choroby *Znikanie* — otrzymała Pomorską Nagrodę Literacką „Wiatr od morza”. Obszary jej zainteresowań to literatura postkolonialna, świecka i religijna tradycja żydowska, gender i queer studies, posthumanistyka i ekologia, kultura niezależna i nieposłuszeństwo obywatelskie. Przejawiając aktywność w rozmaitych obszarach kultury, stara się łączyć ścieżkę badawczą i naukową ze ścieżką twórczą, literacką.

Maria Skłodowska-Curie, czyli podróż osoby bohaterskiej

Życie Marii Skłodowskiej-Curie ma już ustaloną, niejako oczywistą trajektorię: córka nauczycieli, najmłodsza z pięciorga dzieci, wczesna utrata matki. Wyjazd do Francji, studia, małżeństwo z pokrewnym jej duchowo badaczem, Piotrem Curie, współodkrycie zjawiska radioaktywności, wyodrębnienie dwóch nowych pierwiastków, radu i polonu. Wytrwałość, praca i miłość, które miały przezwyciężyć żalobę i śmierć. Patriotyzm rozumiany jako doraźna pomoc rannym na froncie. Otwarcie Instytutu Radowego w Warszawie.

Dorastanie bohaterki do własnego przeznaczenia daje się półzartem nałożyć na kolistę schemat podróży bohatera według Josepha Campbella. Tu czyny heroiczne liczą się tak samo, jak droga do nich. Przyjęcie zaproszenia na drogę własnego przeznaczenia to oczywiście wyjazd na Sorbonę i kulminacja pierwszego aktu. Lecz oto, aby zdobyć fundusze na tę podróż, młoda dziewczyna podejmuje pracę jako guwernantka. Tam poznaje studenta, syna właścicieli majątku, i celem staje się dążenie do miłości, a ona — bohaterką narracji romansowej. Ostatecznie wyjeżdża do Paryża, a tam zadziwia ją atmosfera wolności, gdyż studia są bezpłatne, więc może sama decydować o tempie nauki. Jest to czas samodzielności (niebawem wyprowadza się od siostry i przyjaznego szwagra, żeby zamieszkać bliżej uniwersytetu), testowania własnych możliwości, a wreszcie fascynujących odkryć, kiedy to w 1898 roku małżonkowie Curie odkryli wspólnie

nowe pierwiastki — polon i rad. Ich badania dotyczą nieznanego wcześniej zjawiska promieniotwórczości, za co w 1903 roku Maria i Piotr Curie wspólnie z francuskim fizykiem Henri Becquerелеm otrzymują Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Piotr Curie ginie w wypadku w 1906 roku, zanim zdiagnozowano u niego chorobę popromienną. To jest próba, wejście w świat antagonisty, jaskinia mroku. Kolejna próba, koniec trzeciego aktu, to wymuszony finał jej roman-su z Paulem Langevinem, wnikliwie opisanego przez Irène Frain, kiedy to skandal prasowy zbiega się z odebraniem przez badaczkę drugiego Nobla, tym razem z chemii, w 1911 roku. Na okoliczność obrony Marii tworzy się nowa sieć wsparcia, choć jej upadek został zaplanowany jako nowa „sprawa Dreyfusa”, a ona napiętnowana jako obca, cudzoziemka, imigrantka. To kulminacja aktu trzeciego i całej opowieści, choć zapewne otwarcie Laboratorium Curie w 1919 roku, a następnie gala w Operze Paryskiej, gdzie Sarah Bernhardt odczytała *Odę do Madame Curie*, po czym Maria w towarzystwie córek Ireny i Ewy popłynęła do Nowego Jorku, aby odebrać jeden gram radu — dar od amerykańskich kobiet, też mogłyby podzielać na wyobraźnię jako zakończenie.

Zatem dzieciństwo, pochodzenie z niebogatej rodziny. Ale za to jakiej! Ojciec jest chodzącą encyklopedią, biegle posługuje się czterema językami (francuski, rosyjski, niezły niemiecki, angielski). Matka, Bronisława, jest przełożoną pensji przy ulicy Freta. Musiała być zdolna, jeśli została nią w wieku lat dwudziestu. W ciągu siedmiu lat przychodzi na świat pięcioro dzieci (Zofia ur. 1862, Józefa 1863, Bronisława 1865, Helena 1866, Maria 1867), lecz ten okres w życiu rodziny kojarzy się ze względnym dobrobytem. Bronisława rezygnuje z pracy, gdy mąż Władysław zostanie w 1868 roku podinspektorem gimnazjum. Jednak szybko traci posadę, a wtedy matka, żeby zaosz-

czędzić na domowych wydatkach, uczy się szewstwa, aby szyć dzieciom buty. Wiadomo, buty dla pięciorga dzieci zdzierają się szybko albo się z nich wyrasta. Ale ta rodzina jest nie do zdarcia.

W opowieściach o postaciach bohaterskich wychowanie jest przygotowaniem do wielkich czynów. Nawet zabawy w domu Skłodowskich mają charakter edukacyjny. Do nauki historii służy loteryjka, a klocki przydają się do nauki geografii. Co wieczór przed pójściem spać ojciec robi dzieciom gimnastykę. To wcielanie w życie idei *mens sana in corpore sano* musiało być postrzegane jako ryzykowne i nowatorskie. W sobotnie wieczory ojciec czyta dzieciom literaturę, zaszczerpia im miłość do poezji. Jednakże koniec jego kariery w szkolnej administracji rosyjskiej oznacza zarazem, że edukacyjna idylla rodzinna się kończy, bo mieszkanie zostaje zmienione w stancję. Później któreś z przyjezdnych dzieci przywiezie im tyfus. W ten sposób Skłodowsky stracą najstarszą córkę.

W domu żyje się biednie, ale wzniośle, a życie opiera się na trzech filarach: wspólnota myśli i marzeń, edukacja oraz patriotyczna atmosfera. Ta postawa ściera się z ostrym kursem rusyfikacji, który przyjmuje administracja rosyjska po upadku powstania styczniowego. W mieście obowiązują dwujęzyczne szyldy, przez dobrych kilka lat panuje atmosfera pogrzebowa, wiele Polek nosi się na czarno. Rodzina Skłodowskich wciela niejako ideały i rozczarowania zdeklasowanej, zubożałej szlachty, której udało się przekształcić w inteligencję, ale już nie w klasę średnią. Niestabilność zawodowa Władysława bierze się stąd, iż polscy nauczyciele nie mogą wykładać chemii i fizyki. Być może dlatego, iż była to wiedza, którą można było wykorzystać do akcji terrorystycznych. Takie niebezpieczne zajęcia mogły się więc odbywać tylko pod nadzorem nauczycieli zaufanych z punktu widzenia władzy.

Mit patriotyczny w wersji wzniosłej, bitewnej, bankrutuje. Powstania kończą się tragicznie, a giną w nich najlepsi. Patriotom zostaje uczucie wyczerpania i bezsilności. Tracą przyjaciół, którzy giną, trafiają na zesłanie albo emigrują. Z pokolenia na pokolenie dziedziczy się straty. Na miejscu pozostają kobiety. Straciły mężów w powstaniu lub na skutek represji, więc uczą się, jak prowadzić rodzinne majątki i kierować rodzinnymi finansami. Młodsze uzyskują wykształcenie w szkołach prywatnych. Maria Skłodowska w wieku 15 lat kończy ze złotym medalem, prowadzone w języku rosyjskim Żeńskie Gimnazjum Rządowe w Warszawie, ale wewnętrzną wolność nosi w sobie. Ma wiele zainteresowań: literatura i socjologia, matematyka i fizyka. Píše wiersze i szkicuje (w biografii Marii Curie pióra jej córki znajduje się niezły portret psa rodziny Skłodowskich, Lanceta).

Akurat w czasie, kiedy Maria kończy gimnazjum, Jadwiga Szczawińska-Dawidowa zakłada tajną akademię dla kobiet. W 1882 w zajęciach bierze udział około 200 słuchaczek. Młode kobiety bez majątku chcą się kształcić. Spotkania odbywają się w prywatnych mieszkaniach, często u znajomej, dwudziestokilkuletniej nauczycielki, Bronki Piaseckiej. To ona zaraża siostry Skłodowskie, Marię, Bronkę i Helenę, pozytywistycznymi ideami. Grupy są ośmio- i dziesięcioosobowe. Zajęcia dotyczą nauk przyrodniczych (anatomia, biologia), socjologii, filozofii i historii literatury. Wybitni warszawscy naukowcy (bez stopni akademickich) narażają się, aby przekazać wiedzę młodym kobietom w czasie, gdy uniwersytety — ani ten zrusyfikowany, Warszawski, ani ten sławny, Jagielloński — nie przyjmują kobiet. Udział w nielegalnej edukacji zawiera w sobie element zмовy, grozi aresztowaniem, uwięzieniem, może nawet zesłaniem. Pomimo to w 1886 chętnych do pobierania nauk przybywa, więc Dawidowa przekształca akademię w Uniwersytet Latający. Na zajęcia wykorzy-

stuje się — potajemnie — siedziby kilku warszawskich instytucji. Zgodnie z programem na każdy przedmiot przypadają dwie godziny tygodniowo. Studia kończą się po sześciu latach uzyskaniem dyplomu. Obowiązuje chesne, ale można uzyskać zwolnienie z powodu „niskich zasobów”. W roku 1889–1890 jest już tysiąc słuchaczek.

W trakcie tych studiów siostry Skłodowskie łątają budżet rodzinny dorabiając korepetycjami, do czasu aż Maria, która nie boi się radykalnych rozwiązań, podejmuje pracę guwernantki w warszawskim domu, „u państwa B”. Niebawem stamtąd odejdzie. Jak napisze potem jej córka Ewa, oburzenie i zdziwienie, z jakimi Maria reaguje na klimat tego domu, wskazuje, iż „nie spotkała nigdy ludzi wyraźnie marnych”. Skrupulatna, wychowana przez oszczędną matkę zgodnie z etosem pracy, nastoletnia emancypantka jest zaskoczona, że do utrzymania domu zatrudnia się pięcioro służących, a oszczędza na nafcie do lamp. Chlebowodawców uznaje za „zdemoralizowanych przez bogactwo”. Odkrywa, że bogaci państwo zalegają z płaceniem rachunków ludziom, którzy naprawdę tego potrzebują (przypadek opisany w 1848 przez Thackereya w *Targowisku próżności*). Konstatuje: „dowiedziałam się, że typy powieściowe istnieją naprawdę”.

Niebawem decyduje, że półśrodki nie wystarczą. Zostanie guwernantką na prowincji. Trafi się jej dobrze płatna posada (500 rubli na rok). A jednak ten wyjazd do guberni płockiej, w wieku lat osiemnastu, przypomina antyczną tradycję zaprzędawania się w niewolę, choć tu mowa jest raczej o zarabianiu na przyszłość. Na dworze w Szczukach, należącym do Czartoryskich, państwo Żorawscy są zaledwie administratorami, ale i tak uznają, że Maria nie jest dość dobrą partią dla ich syna. Ziemiańską edukację dziewcząt wspomina Maria: „niektóre nawet inteligentne, ale wychowanie nie rozwinęło umysłu, a te szalone zabawy tutejsze zupełnie go rozproszyły”.

Prowincjonalne nieuctwo jawi jej się jako rodzaj zbiorowego obłądu. Ona natomiast postrzegana jest jako osoba dziwna, może nawet niebezpieczna, bo „pozytywistka”. Aczkolwiek chodzi do kościoła co niedziela.

Spędzi tam blisko cztery lata, samodzielnie się doksztalając, bo w chwili rozpoczęcia studiów na Sorbonie chce dysponować zasobem wiedzy podobnym do tego, jaki posiadają absolwenci francuskich liceów. Uczy się fizyki, socjologii Spencera, anatomii i fizjologii Paula Berta, ojciec pomaga jej korespondencyjnie przerabiać zadania z algebry i trygonometrii. Znajduje czas na „pracę u podstaw”. Niczym siłaczka z Żeromskiego uczy grupę wiejskich dzieci, czasem dwie, czasem pięć godzin dziennie, w swoim pokoju, do którego prowadzi osobne wejście, znów ryzykując aresztowanie, może nawet zsyłkę. Ale Marii wpojono, iż obowiązkiem wykształconej jednostki jest poświęcić się na rzecz zbiorowości.

Jest jednak w tym życiu także i element przygody. Studia za granicą to efekt zмовy sióstr. Maria, Bronia oraz ich przyjaciółka Maria Rakowska planują i rozmawiają, jak przekroczyć barierę, którą stanowią pieniądze, i jak wywalczyć sobie karierę zawodową. Na wyckowaną wyprawę do Paryża Bronia zabierze ze sobą Marię Rakowską. Korespondencja Marii Skłodowskiej jest świadectwem istnienia siatki przyjaźni, w obrębie której młode kobiety porównują swoje możliwości, objaśniają sobie swoje cele, oceniają ryzyko, mierzą siły na zamiary, czynią swoje marzenia wiarygodnymi. Przypomina to korespondencję o pokolenie wcześniejszych entuzjastek, tyle że mniej liczy się tu romantyczna uczuciowość, a bardziej praktyczność i nastawienie na cel.

Związane z Uniwersytetem Latającym młode kobiety niosą w świat przekonanie, że praca oświatowa jest dla Polaków jedyną nadzieją.

Siostra Bronisława planuje po uzyskaniu dyplomu wrócić do Warszawy. Siostry Skłodowskie mają skąd czerpać przykłady kobiecej niezależności: ich matka była przełożoną pensji dla dziewcząt; żona stryja Zdzisława, Wanda Skłodowska, uczęszczała na uniwersytet w Genewie, zdobyła też powodzenie jako pisarka. Ta wiara w niezależność, ale też w powołanie, jest trzecim powodem, dla którego Maria Skłodowska niemalże nie wyjechałaby do Francji.

Być może, jak sugeruje Ewa Curie, środowisko ludzi wybitnych, towarzystwo uzdolnionego rodzeństwa i wysokie walory otoczenia sprawiły, paradoksalnie, że „nikt nie zorientował się w genialnych zdolnościach Marii już wówczas, gdy była młodzieńką dziewczyną”. Ona sama, świadoma swoich ambicji, postrzega siebie jako członkinię zespołu na podobieństwo biegaczki w sztafecie. To ona decyduje, że starsza siostra Bronka, która wraz ze swoimi marzeniami o medycynie utknęła prowadząc dom dla ojca i rodzeństwa, wyjedzie najpierw. W Paryżu przejmie ją inna sieć, gdy dom pod numerem 108 przy boulevard Kellermann staje się miejscem niedzielnych spotkań kolegów Piotra ze studiów oraz młodych badaczy uwodzonych w tamtym okresie przez biznes. W domu małżeństwa Curie słyszeli inne przesłanie: „Nauka musi być bezinteresowna”. Oboje z Marią wcielali ten ideał¹.

Znając ciąg dalszy akcji, wyjazd przyszłej badaczki na Sorbonę wydaje się dziś jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Trudno więc przyjąć

1 Bezkrzytyczna wiara w dobroczynność radioaktywnych pierwiastków, radu i polonu, okazała się jednak wyjątkowo kosztowna. Gdyby Pierre Curie nie zginął w wypadku miejskim 19 kwietnia 1906 roku, umarłby najpewniej na chorobę popromienną. Interesująca w tym kontekście okazuje się oparta na materiale biograficznym powieść Irène Frain, *Kochanek. Nieznany romans Marii Skłodowskiej Curie*, tłum. Dorota Malina, Kraków 2017. Powieść przedstawia epizod z życia Marii Curie po śmierci Piotra i jej reakcję na atak prasy, który miał uświadomić publiczności francuskiej, że badaczka nie przestała bynajmniej być kobietą i cudzoziemką, a zatem nie-Francuzką. Kto wie, może i nawet oszustką, a w każdym razie osobą niegodną uznania i przywilejów, podwójnie obcą.

do wiadomości, iż co najmniej równie prawdopodobne było, że mogła w ogóle nie wyjechać. Brakowało systemowych rozwiązań, stypendiów dla najzdolniejszych ze zdolnych, podczas gdy inteligentne rodziny wykazywały się, mówiąc oględnie, nieudolnością w kwestiach finansowych. Dla warstwy inteligentnej, której zabrakło podwalin właściwych klasie średniej, ostoją staje się wiara w idealizm. Nauczycielki, siostry i koleżanki, które poznaje za sprawą Uniwersytetu Latającego, to zapowiedź kolejnych sieci wsparcia, z pomocą których Maria będzie się wznosić — bo jednostkowy sukces, choć tak mają zwyczaj przedstawiać go naukowe hagiografie, nigdy nie jest wysiłkiem samotnym.

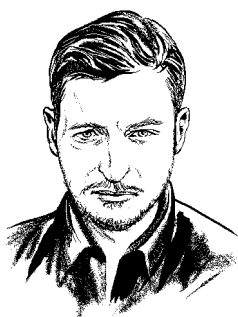
Marian SMOLUCHOWSKI

1872 Vorderbrühl — 1917 Kraków

Fizyk, alpinista. Od najmłodszych lat Marian Smoluchowski wykazywał niezwykle zdolności w zakresie nauk ścisłych. Uczył się w Collegium Theresianum, ukończył Uniwersytet Wiedeński. Po podróżach naukowych po Europie wrócił do Wiednia, by następnie prawo do wykładowania przenieść do Lwowa, uzasadniając to możliwością wykładowania po polsku. W wieku 28 lat objął stanowisko profesora nadzwyczajnego fizyki teoretycznej Uniwersytetu Lwowskiego. Był jednym ze współtwórców fizyki statystycznej. W 1904 roku przedstawił argumenty potwierdzające możliwość obserwacji fluktuacji wielkości fizycznych. Na tej podstawie wyjaśnił istotę ruchów Browna, co wraz z wcześniejszą pracą Alberta Einsteina przyczyniło się do zaakceptowania istnienia atomów. Następnie wytłumaczył zjawisko opalescencji krytycznej oraz wspólnie z A. Einsteinem udzielił prawidłowej odpowiedzi na pytanie – „Dlaczego

niebo ma kolor niebieski?”. Należał do grona prekursorów wykorzystania procesów stochastycznych jako narzędzia do opisu zjawisk fizycznych. Był autorem statystycznej interpretacji drugiej zasady termodynamiki i na jej podstawie wyjaśnił szereg nieporozumień związanych z tą zasadą. Opracował teorię koagulacji cząstek koloidalnych, która w dalszym ciągu jest wzorem podejścia do analizy tego zjawiska. Za swoje osiągnięcia był wielokrotnie wyróżniany, m.in. w 1908 r. Wiedeńska Akademia Nauk przyznała mu nagrodę im. Haitingera za prace o ruchach Browna. Zmarł przedwcześnie w wieku 45 lat. Trzy Nagrody Nobla związane były ściśle z osiągnięciami Mariana Smoluchowskiego: w 1925 r. z chemii (R. A. Zsigmondy), w 1926 r. z fizyki (J.B. Perrin) i chemii (T. Svedberg). Marian Smoluchowski i jego brat Tadeusz należeli do czołówki alpinistów europejskich.





Andrzej Muszyński

Ur. 1984 r. Autor *Południa* i *Cyklonu* nominowanych do Nagrody im. Beaty Pawlak. Trzykrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia za *Miedzę*, *Podkrzywdzie* i *Bez*. Za przedostatnią był również nominowany do Paszportów „Polityki”. Laureat Nagrody im. A. Włodka przyznawanej przez Fundację Wisławy Szymborskiej. W 2020 r. ukazała się jego najnowsza książka prozatorska pt. *Bez*, poruszająca tematykę bezpłodności. Laureat Kolosa za wyprawę w Himalaje Birmańskie. Mieszka w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Wkrótce ukaże się jego nowa książka *Dom ojców* o prehistorycznych przodkach.

Geniusz w czas wojny i epidemii

Jak mogło być w Cieszynie w styczniu 1915? Izba wielka czy mała, zimna czy ciepła? Podgrzali w piecu profesorowi, żeby nie prze-marzł? W mundur go wsadzili, sparring partnera Einsteina, czy bardziej na luzie? Ktoś musiał wnosić do jego biura te góry listów, które miał przeglądać jako cenzor wojskowy. Do zaczytania trochę listów kupieckich, a reszta — dawaj: kochanki i kochankowie, ranni, połamani, na dzień przed śmiercią, czarne obwódki wokół nazwisk zabitych. Jest zima, stółek skrzypi, a wyraziste, wąskie jak indiańskie pirogi oczy profesora wodzą po słowach wpędzonych na kartkę papieru przez pozbawione złudzeń umysły, do których dotrzeć mu trudniej niż do największych tajemnic materii. Można było nie przyjmować po pracy we Lwowie nominacji na stanowisko profesora fizyki doświadczalnej na Uniwersytecie Jagiellońskim i siedzieć w Wiedniu, tam, gdzie wszystko się zaczęło w drugiej, a może raczej pierwszej ojczyźnie, w której czuleś się najlepiej i gdzie mawiano o tobie: „naj najlepszy” (profesor Alojzy Höfler) lub czulej: „Mariana” (bliscy). Tam, być może, żadne powołanie do wojska by w ogóle nie nadeszło, a swoją drogą: czy w takim piśmie honorowano tytuły naukowe, rangę globalną czy raczej *per* obywatelu? Tak, trzeba było siedzieć tam albo w Londynie, którego tętno, doznane podczas młodzińskich wojaży, pulsowało pewnie w podświadomości — może by się odczepili.

A tak — wojna. Zimne mury. Zamieć. Noc chwiejna. Mróz i samotność, i daleko laboratorium, i to co mu najmilsze — rodzina, wspólne pikniki, bicykl. W końcu przyjaciele z Uniwersytetu Jagiellońskiego załatwią *Enthebung* — zwolnienie ze służby i wróci się do Krakowa, ale co tam? Jak w pandemię, bo prawie jedną trzecią ludności ewakuowano, a jednak narastająca nerwowość i tłumniej jakby: kolejki na dworcach, po chleb, z każdym dniem coraz podlejszy, z wiórami drzewnymi, po cykorię do Meinla na rynku, kartki na naftę i węgiel, zamknięte gospody, amerykańscy żołnierze rozdający dzieciom w bramach skondensowane mleko made in USA koniec balang w Jamie Michalika, podpici panowie w melonikach zniknęli z ulic, jak i Rachele w powłóczystych szalach. „Ma się wrażenie, jakoby jakaś katastrofa wszechświatowa nawiedziła ludzkość, w której jednostka jest niczym. Nie widać żadnego końca tego kataklizmu. Jeżeli przeżyjemy go szczęśliwie, rozpocznie się dla nas jakoby nowe życie. Dawne życie uważam za epokę skończoną, po której można położyć kropkę. A było ładne, to nasze życie, wszak prawda? — to w liście z Cieszyna do żony.

Nie wiem, jak było z początkiem XX wieku, gdy kobiety wędrowały po graniach w impregnowanych spódnicach do łydek, a ty wytaczałeś z bratem na ścianach Alp i Tatr nowe drogi, ale dziś tam, na graniach, my, ludzie gór, mówimy do siebie na ty. I wracam, z dużym oporem, do trzeciej osoby tylko z jednego powodu: to on wołał tę formę, mówiąc o sobie powściągliwie i z niechęcią — jakby chciał objąć obiektywnym spojrzeniem wszystko, a więc i kilka metrów użytkowych własnego ciała, z umysłem odgadującym strukturę rzeczywistości z nieodgadniętą skutecznością.

Co więc przewija się przed oczami profesora, gdy wraca po służbie z Cieszyna do Krakowa? Pociąg parowy prowadzi się jak szafa. Woń drewna, a za oknem chałupa za chałupą, chłopi z fioletowymi

twarzami nad studniami, z których paruje w mróz czarna woda. Co się skończyło wraz z wojną? Epoka, która dała mu wszystko. Solidne wychowanie pod Wiedniem, fortepian w rodzinnym salonie, górskie wyprawy z bratem Tadeuszem. Ta jedna z ostatnich przed wojną, w 1911 r., na Węgry, na Mihailecul i Fărcăul w Karpatach Marmaroskich: ktoś wtedy jeździł w taki wygwizdów, mając tyle do zrobienia w Tatrach czy Alpach? Wysiadka z pociągu. Miejscowa karczma — woń browaru, araku i starego potu, mapa rozłożona na stole pomiędzy kieliszkami a plamami wrośniętymi w drewno. Poszukiwania fiakra, bo wolna sobota. Prawie czterdzieści kilometrów na chłopskim wozie. Mroźne powietrze wierci w nosie. Prawie dwa kilometry różnicy poziomów w śniegu. Ciało ścięte w czysty byt; przyjemność szusu przez pierwotny krajobraz do doliny, w której, zgodnie z mapą, znajduje się leśniczówka — tak jednak nie jest, zamiast niej kilka spróchniałych belek. Znajdują dziurę pod wielkim głazem. Bezsenna noc na gałęziach, wszystko mokre, żadnego ognia, tylko słaby snop latarki, ślady niedźwiedzia, browningi nabite. „Dopiero wyciągnąwszy się na ławkach wagonu odczuliśmy owo zmęczenie, które jest równocześnie także rozkoszą” — wspominał potem w *Taterniku*. Rozkoszą zbliżenia do materii, nigdy tak bliskiej, jak o świcie w górach? Podwójnej pewności rzeczywistości, którą zilustrował już raz matematyczny wzór? Smoluchowski w dniach wojny zaczyna czuć się przez wojnę jak w klatce. Przecież pisał w ten czas do Höflera: „Jak wiesz, jestem Polakiem i Polakiem pozostanę. Lecz nie jestem tak szowinistycznie zaślepiony, żebym się czuł nieszczęśliwy, opuszczając mój węższy obszar językowy. Właściwie czuję się w Wiedniu tak samo, jak w domu, jak w Krakowie, czy Lwowie i atmosfera wielkiego miasta dogadza mi raczej bardziej niż ciasne stosunki w mieście prowincjonalnym”. Może uśmiecha się na wspomnienie

rodzinnej anegdoty, według której bracia Marian i Tadeusz podczas spotkania po długiej rozłące zamiast rozmawiać, czytali z pasją gazety. Albo pyta po raz pierwszy, oparty czołem o zimną szybę przedziału: kto odważył się skraść nam uśmiech?

Gigant nauki, obywatel świata, wraca do Krakowa strutego wojną. Zakład Fizyki przeniesiony do dawnego mieszkania Olszewskiego, wciąż jest zajęty przez władze wojskowe na szpital wojskowy i aptekę, trudno dostać się do książek i akt urzędowych. Smoluchowski pracuje w tym samym pokoju, w którym odbywają się zajęcia laboratoryjne — tam objawiają się studentom buddyjskie cechy natury profesora, bo on, gdy nie uczestniczył w ich zajęciach, nie widział podopiecznych ani ich nie słyszał; skupiony na myśli jak lama, zapewne jak na jego fotografiach, które w przeciwieństwie do tysięcy innych z tamtej epoki pozbawione są jej znaku: niedzisiejszej fryzury, symbolu, spojrzenia, nic — męski i konsekwentnie przystojny, z powiekami ciętymi nad okiem równo jak od brzytwy.

Tym bardziej szukajmy w biografiiach i wspomnieniach skazy. Choć jednej, łamiącej twórczo wyłaniającej się ze wspomnień symetrię tej postaci; szczelinki, przez którą dostaniemy się do środka i wrócimy z jego tajemnicą i szansą na przyjaźń, moją i państwa. Oczekiwał w ludziach wielkiego formatu, wspominał Walery Goetel, ale gdy zalewała go pospolitość, podobno męczył się i zamykał się w sobie albo uciekał w góry. Ale to wszystko, ryska, jakby Smoluchowski pozwolił kształtować się na wzór eleganckich praw fizyki, i rozumiał, że racjonalności, tej reguły rzeczywistości, nie dzielimy. Przecież on, filozof przyrody, powtarzał: nie dajmy się zgrozcie specjalizacji, tak, ścisłość jest moralna, ale tym bardziej patrzmy szeroko, spekulujmy, używajmy w nauce wyobraźni, łączmy wątki — jakby przeczuwał nadchodzące zagrożenie. Nigdy nie wymagał od studentów nauki na pamięć.

Jest sierpień 1917 roku. W Krakowie szaleją epidemie. Brakuje lekarzy okręgowych, bo to oni odpowiadają za leczenie chorób zakaźnych. Jedni zostali wcieleni do wojska, inni sami stracili zdrowie albo zmarli, sami zakażeni. Narzekają i żądają podwyżek. Smoluchowski czyta codzienną prasę. Na przełomie 1913/1914 roku w mieście mieszkało 299 lekarzy, w połowie 1916 już tylko 143. Ci, którzy zostali, harują ponad siły, nie dostają na czas pieniędzy. W podkrakowskim Prądniku Białym otwarto w końcu Miejskie Zakłady Sanitarne, w tym dwa baraki dla zakaźnie chorych, w mieście regularnie odkaża się mieszkania po chorych na czerwonkę. Te codzienne sceny widziane z okna: pod drzwiami podjeżdżają wozy po rekonwalescentów i ich bliskich, których przewozi się do domów izolacyjnych. Wygląda to tak, jakby wyjeżdżali na zawsze. Smoluchowski wypatruje końca tego wszystkiego. Na froncie włoskim zginął jego bliski przyjaciel fizyk Friedrich Hasenöhr. Smoluchowski staje przy oknie i nie poznaje sam siebie — coraz częściej jest nerwowy, zdrowie nie takie, czuje, jak nieznany mrok gasi jego wewnętrzny promień.

Jest letni i upalny dzień. Profesor Smoluchowski, od miesiąca rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor wygłoszonego niedawno referatu o obiektywistycznej koncepcji przypadku, staje nad rzeką. Zdejmuje z siebie ubranie. Układa je w kostkę? Być może wie, że to ryzykowne, ale pragnienie splukania rozpalonego ciała jest silniejsze, gdyż, być może, jest tym samym pragnieniem, które prowadziło go w głąszyć Farcaula. Smoluchowski zanurza się w kojącej wodzie. Umiera na czerwonkę kilka tygodni później.

Ciekawe, co szeptało na pogrzebie, daleko od trumny, nad którą przemawiał Władysław Natanson, tam, gdzie tłum rzędzie w cieniu wielkich drzew i ludzie plotkują — kąpiel w rzece, on, w epidemię dyzenterii?

Florian ZNANIECKI

1882 Świątniki k. Włocławka — 1958 Urbana, Illinois

Psycholog, filozof kultury i socjolog, pionier socjologii wiedzy i psychologii społecznej, przedstawiciel socjologii humanistycznej. Studiował w Warszawie, Genewie, Zurychu, Paryżu oraz w Krakowie, gdzie się doktoryzował. Działał aktywnie w Polskim Towarzystwie Psychologicznym i w Towarzystwie Opieki nad Wychodźcami w Warszawie. W 1914 roku wyjechał do USA, gdzie został współpracownikiem amerykańskiego socjologa Williama Isaaca Thomasa. Wykładał na University of Chicago. W 1921 roku objął na uniwersytecie w Poznaniu specjalnie dla niego utworzoną katedrę filozofii, przemianowaną na katedrę socjologii i filozofii kultury. Założył pierwszy w Polsce Instytut Socjologiczny i pierwsze polskie czasopismo socjologiczne. Wykładał na

Columbia University, został członkiem International Institute of Sociology w Londynie i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. W 1939 roku wyjechał do USA. Był profesorem University of Illinois w Urbanie, przewodniczącym Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego. Zajmował się filozofią wartości, zalecał rozpatrywanie procesów społecznych z punktu widzenia ich uczestników, a nie z perspektywy zewnętrznego obserwatora (zasada tzw. współczynnika humanistycznego). Jako jeden z pierwszych w socjologii zastosował metodę badania dokumentów osobistych. Wprowadził do teorii społeczeństwa pojęcie systemu. Wniósł oryginalny wkład do socjologii narodu. Rozwinął i propagował koncepcję technologii społecznej.





Inga Iwasiów

Profesorka literaturoznawstwa, krytyczka literacka, prozaiczka, publicystka, aktywistka. Pracuje i mieszka w Szczecinie. Od 1999 roku do momentu zamknięcia pisma w 2012 roku redaktorka naczelna Szczecińskiego Dwumiesięcznika Kulturalnego „Pogranicza”. Autorka nominowanej do Nagrody Literackiej „Nike” powieści *Bambino*, traktującej o tożsamości i przesiedleniach w powojennym świecie. Badaczka literatury XIX, XX i XXI wieku, teoretyczka feminizmu i gender, członkini Rady Doskonałości Naukowej, Komitetu Nauk o Literaturze PAN, Polskiego PEN Klubu oraz Unii Literackiej. Redaktor naczelna czasopisma naukowego „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media”.

Przyszłość w archiwum subiektywnych notatek albo co zawdzięczam Florianowi Znanieckiemu

Dużo zawdzięczam Florianowi Znanieckiemu, choć przez lata uznawałam jego spuściznę za wszechstronnie zinterpretowaną klasykę nauki, niewymagającą wysiłku odkrywania, więc nie czytywałam jej w poznawczej gorączce. Mimo to myślałam i działałam w paśmie transmitującym pomysły tego filozofa, socjologa, organizatora, erudyty, nauczyciela — wymieniam te role nie w przywiązaniu do akademickiej sztampy, lecz przekonana, że to nieco przytłaczające wyliczenie zapoczątkowuje dialog z postacią. Kim najbardziej byłeś, panie Florianie, i w jakiej przestrzeni moglibyśmy się spotkać, gdyby nie chodziło tylko o czytanie twoich książek?

Szukając sposobu na napisanie tego tekstu — odrzucając kolejno pomysły uplasowane między esejem, klasycznym portretem, fabularnym epizodem — uświadamiałam sobie, jak często myślę „po Znanieckim”, nieco wbrew jego własnemu przekonaniu o potrzebie rozdzielenia kompetencji poznawczych w obrębie dyscyplin naukowych i unikania wszystkoizmu. By wydzielić socjologię czy naukoznawstwo, musiał obrysować cyrklem ich terytorium. Osiemdziesiąt lat po publikacji *Spółecznych ról uczonych* zalecenie czystości eksperckiej uznać mogę za nieaktualne i zauważyć, że mój bohater był eksploratorem przekraczającym granice, choć sam wytyczał ich przebieg. Mam na uwadze zarówno transfer między literaturą a filozofią, hermeneutyką a socjologią nauki czy też między punktami na mapie,

językami, a nawet życiem a śmiercią, gdy w młodości zainscenizował utonięcie w Jeziorze Genewskim.

Biografię uczonego oddać można na kilka sposobów — odtworzyć osiągnięcia, pokazać ich pokoleniowe i historyczne tło, akcentując zarazem intelektualne przywództwo lub wykorzystać któryś z momentów życiorysu, bogatego niczym scenariusz serialu o odważnym, niekonwencjonalnym, śmiałym i niestroniącym od przygód człowieku dwóch epok. W takim serialu powinny się znaleźć lata młodzieńcze, emigracja, liczne zajęcia zarobkowe, studia w kilku krajach, praca na renomowanych uczelniach polskich i amerykańskich. I mocne cięcia, jak wspomniane już brawurowe upozorowanie własnej śmierci w Jeziorze Genewskim, po którym zaczął nowe życie najpierw krótko w Legii Cudzoziemskiej, a potem jako francuski weteran i student. Do fabularnie pociągających należą podróże z gwałtownymi zwrotami akcji — na przykład przerwany rejs z USA do Polski jesienią 1939 roku. Prywatne dramaty — śmierć pierwszej żony Emilii Szwejkowskiej w wypadku samochodowym w Chicago. Nauczanie, publikowanie, bogate życie towarzyskie, talent do prowadzenia dyskusji. Czy miał na myśli kogoś podobnego do siebie, tworząc typologię osób mających wpływ na grupy społeczne? Postawił w centrum nowoczesnego myślenia potrzebę samowiedzy, był więc zdolny do analizy własnej roli w wyznaczaniu kierunku badań, wywoływaniu zmian. Z różnych możliwości opisania Znanińskiego wybieram metodę autobiograficzną, a właściwie wnioski wyciągnięte z jej stosowania. Autobiografizuję skutki oddziaływania teorii, która należy do tradycji polskiej humanistyki i wystaje poza biblioteczne półki podzielone według dyscyplin naukowych. Tłumaczę swoje założenia, ponieważ on sam każdą książkę opatrywał mocnym metodologicznym komentarzem.

Metoda autobiograficzna po raz pierwszy została przedstawiona w pięciotomowym dziele *Chłop polski w Europie i Ameryce* (1918—1920), do wspólnej pracy nad którym zaprosił uczonego Wiliama Isaac Thomas. Sama współpraca, od której zaczyna się międzykontynentalna kariera, zwraca uwagę dziś, gdy kolejne reformy nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce każą odmieniać przez przypadki „umiędzynarodowienie”. Znaniecki był z pewnością „umiędzynarodowiony” w każdym sensie — studiował w Szwajcarii, Francji i Polsce, tworzył zespoły badawcze w Europie i Ameryce Północnej; publikował po polsku i angielsku. Część jego dzieła została przyswojona polszczyźnie po latach.

Za życia socjologa metoda autobiograficzna przekształciła się w długotrwałe konkursy na pamiętniki, tworzące bogaty zasób tekstów o znaczeniu wykraczającym poza potrzebę konkretnych tematów badawczych. Wywoływane pamiętnikarstwo i memuarystyka; świadectwa i epistolografia stały się osobnym działem piśmiennictwa, interesującym dziś nie tylko socjologów czy etnografów, ale także historyków, literaturoznawców, językoznawców, kulturoznawców, biografów, pisarzy. Znaniecki w zgodzie z własną niemal omnipotentną i ruchliwą umysłowością zaprojektował coś w rodzaju pojemnego, lecz gromadzonego według ustalonego porządku archiwum, zainicjował ruch realnie przekształcający kulturę, co skądinąd znakomicie pasuje do założeń kulturalizmu, którego jest ojcem. Oczywiście, bez konkursów prowadzonych przez instytuty i towarzystwa naukowe mielibyśmy rozproszone zapiski ludzi XX wieku, ale kilka obszarów życia bez tego wyraźnego zaproszenia do notowania po prostu nie znalazłoby swoich kronikarzy. Z kolei luki, jakie dziś znajdujemy w tych pierwszych kolekcjach, nad którymi czuwał sam mistrz, jego uczniowie i następcy, pozwalają interpretować przeszłość jako obarczoną

zmiennym historycznie „współczynnikiem humanistycznym”. To archiwum pracuje nadal. I służy nie tylko socjologom.

Przypomnę, że pierwszy konkurs „Życiorys własny robotnika” ogłoszony został w 1921 roku po powołaniu z inicjatywy profesora Floriana Znanieckiego Katedry Socjologii i Filozofii Kultury na Uniwersytecie Poznańskim. Sukces programu skłonił socjologów ze środowiska warszawskiego do ogłoszenia kolejnych konkursów: „Pamiętniki chłopów”, „Pamiętniki bezrobotnych”, „Pamiętniki emigrantów” — wymieniam niektóre z nich. Między rokiem 1956 a 1971 odbyło się kilka edycji konkursu na teksty osadników Ziem Zachodnich i Północnych. Zebrano również „Dzieje szczecińskich rodzin”, przewartościowano lokalne archiwa. Obecnie, w czasie pandemii, różne ośrodki naukowe zbierają dzienniki, powołując się na patrona tych działań, dzięki któremu „spisujemy się” od stu lat intensywnie. Oczywiście, kultura wglądu ma i inne źródła, a tendencje do autobiografizowania możemy znaleźć na długo przed Znanieckim we wszystkich gatunkach literackich, formach sztuki i stylach odbioru. Dla mnie jednak pomysł „pamiętnikarski” jest nie tylko częścią metodologii nauk społecznych, lecz wskazaniem, iż nieprofesjonalne narracje indywidualne tworzą wspólnotę na równi z literaturą czy historiozofią. Odblokowują milczących, emancypują warstwy, grupy i jednostki.

Jako pisarka i literaturoznawczyni o zacięciu kulturalistycznym, przejawiającym się szukaniem śladów, zależności i przemilczeń doświadczenia we wszelkich tekstach, praktykach artystycznych i wytworach sztuki, traktuję autobiografię wywoływaną odrobinę podejrzliwie, lecz zarazem entuzjastycznie. Oczywiście jest dziś, dzięki przeczytaniu i zinterpretowaniu tego niesamowitego zasobu konkursowego, którym dysponujemy, że ludzie zaproszeni do zdania sprawy

ze swego życia pozują do portretu wedle reguł uznanych za ważne, w ustawieniu korzystnym dla siebie i w różnych sensach cenzuralnym. Odczytują to dobrze eksperci z plemienia literackiego. Wyłapują intencje i przepatrują ingerencje podświadomości w ruchu metafor. Domyślają się, gdzie autorzy/autorki załatwiają własne sprawy, przechodząc między opowieścią o warunkach życia ku dziennikowi terapeutycznemu. Pamiętnik to gatunek wrażliwy — pamiętnikarze robią to, co mogą — na wezwanie nie odpowiedzą niepiśmienni, barwnie nie odmalują zdarzeń nieobdarzeni przywilejem obcowania z literaturą. W cyklu „chłopskim” niemal nie znajdziemy kobiecych świadectw, co dziś kole w oczy. Najlepiej znam zapiski z Ziemi Odzyskanych — zwłaszcza te wczesne noszą znaki mocnej autocenzury, ale już w latach pięćdziesiątych kobiety śmieiej niż mężczyźni spisywały codzienność.

Znaniecki próbował w młodości zostać pisarzem — droga autorefleksji i poszukiwania miejsca w środowisku intelektualnym często wybierana na przełomie XIX i XX wieku. Nie mógł przewidzieć, że pamiętniki klasy chłopskiej i robotniczej, bruliony materiałów służących poznawaniu kultury wcześniej traktowanej przedmiotowo, w najlepszym razie mitologizowanej w obrazach artystycznych, dokonają wyłomu nie tylko w badaniach empirycznych, ale także w pojmowaniu tego, co jest, a co nie jest literaturą. Oczywiście, nie nastąpiło to bezpośrednio, lecz gdy dziś zastanawiamy się nad rolą pisania jako takiego, utrwalania i pamięci, możemy przywołać twórczość wielu osób, sprowokowaną przez pomysł socjologa, który zarzucił fach poetycki. Gdy pytam, gdzie mogłabym spotkać Floriana, widzę pisarki/akademiczki i pisarzy/akademików idących od nauki do literatury w poszukiwaniu języka mogącego ich/mnie zbliżyć do rozpoznania rzeczywistości. Znaniecki znalazł się na tej drodze zgodnie z rytmem

własnej epoki. Należymy wszyscy do republiki piszących, podając inne powody wstąpienia do niej.

Ten szkic jest moją praktyką autobiograficzną czy nawet załączkową autoetnografią, analizą prywatnych warunków przyjmowania tradycji. Idąc od zdania do zdania, wywołuję w sobie obraz mężczyzny, z którym łączy mnie przekonanie, iż nic się nie dzieje poza porządkiem kultury, a dla jednostki twórczej wszystko zaczepione jest w wypowiedaniu własnej biografii. Mówiło o tym wielu pisarzy, a w XX i XXI wieku bardzo wiele pisarek. Choć profesorom uniwersytetu w Poznaniu lub Nowym Jorku nie przyszłoby do głowy w latach dwudziestych zeszłego wieku zaprosić osobno kobiety do spisania ich dziejów, przekonanie o konieczności odtworzenia świadectw przodków miało istotny wpływ na badania feministyczne. Pośrednio więc i w tej sprawie Znaniecki może być mi bliski.

Kulturalizm, stanowiący odpowiedź na XIX-wieczny naturalizm, dziś podlega krytyce, więc gdy deklaruje, że podzielam przekonanie, iż doświadczamy świata nie inaczej, niż przez swoje bycie w kulturze, stawiam się w kłopotliwym położeniu wobec dyskursu posthumanistycznego. Trudno dywagować na temat tego, co zrobiłby zmarły w 1958 roku badacz z powszechnym dziś poczuciem, iż ludzka samowola doprowadziła wszystkie istoty żyjące na Ziemi i samą planetę do kresu biologicznego bytu, jedynym wyjściem jest więc wsłuchanie się w to, co pozaludzkie. Czy uznałby potrzebę wprowadzenia „czynnika pozaludzkiego” do badań? „Głosu” bytów, które nie wyrażają się w języku? Zadaję dyletanckie pytania, choć wiem, że z naukowego punktu widzenia nie mają żadnego sensu. Niektóre idee wymykają się z laboratoriów i katedr, zasilają fantazję. W metodzie autobiograficznej tkwi przekonanie, iż narracja porządkuje świat nie tylko przez swe walory estetyczne, ale przez przyległość do samego życia.

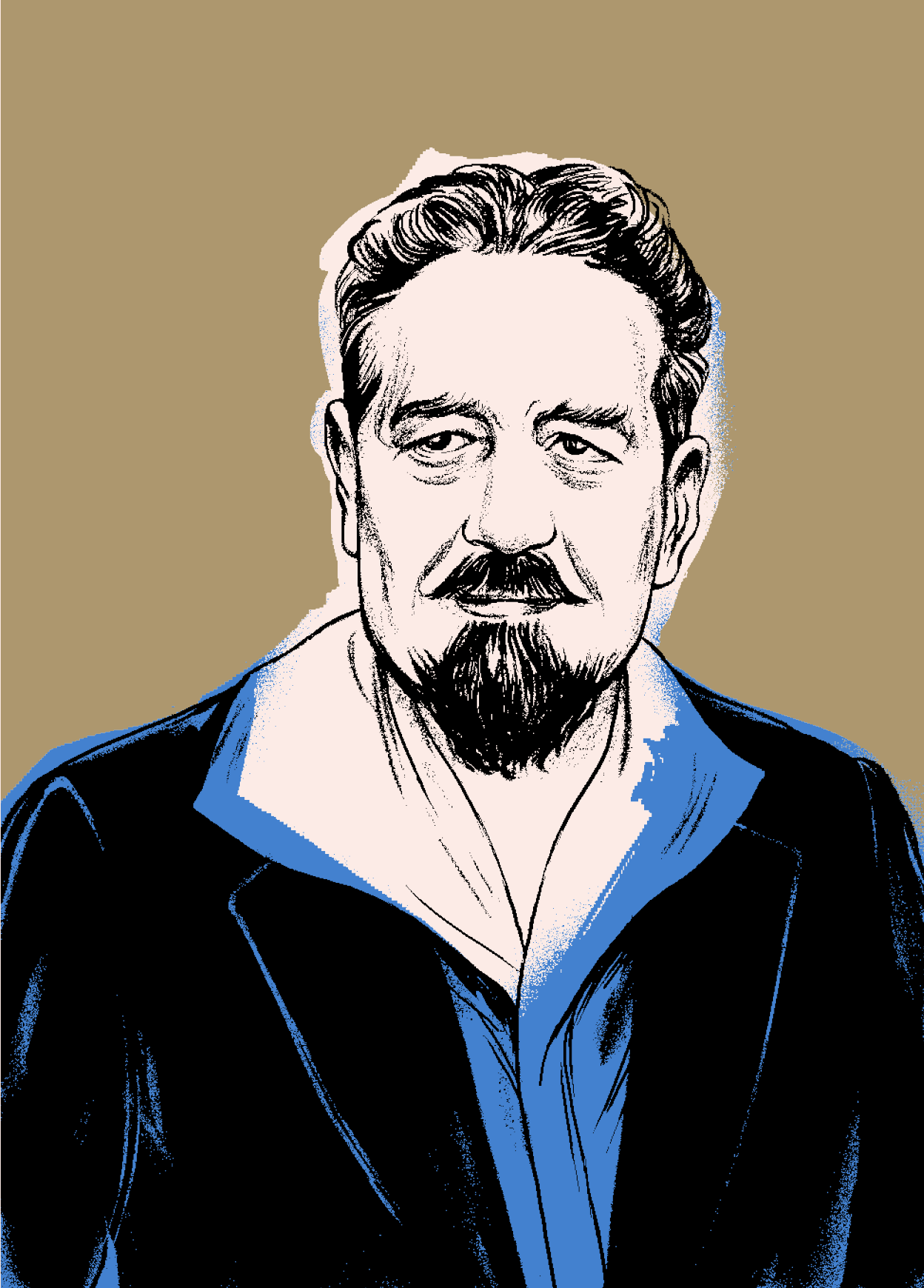
Nawet uprawiając naukę, bezustannie pracuję nad samowiedzą, pozostawiam na marginesach zapiski, które mogłyby dostarczyć danych badaczom wszelkich cech mojej grupy zawodowej. Widzę się więc też jako kogoś diametralnie różnego od bohatera tego szkicu: przez płeć, pochodzenie, status. Uczyłam się i pracuję wciąż w tym samym peryferyjnym mieście, a Uniwersytet utracił część tradycyjnych funkcji. Moje życie odbija więc zmiany, będące lustrem szerszych procesów. Byłoby to banalne stwierdzenie, lecz usprawiedliwia je stosowana konsekwentnie metoda autobiograficzna. Daję sobie prawo do osobistych impresji, uzupełniając ruchome archiwum subiektywnych uwag, które moim zdaniem mają przyszłość. W tym miejscu praktykuję dialog z Florianem.

Rudolf WEIGL

1883 Przerów — 1957 Zakopane

Biolog, profesor akademicki. Pochodził z niemiecko-austriackiej rodziny, ale wychowywany był przez ojczyzna w atmosferze polskości. Ukończył studia przyrodnicze we Lwowie, po uzyskaniu stopnia doktora został asystentem prof. Józefa Nusbauma-Hilarowicza. Podczas I wojny światowej pracował m.in. w laboratorium bakteriologicznym austriackiej armii, prowadząc badania nad dudem plamistym (tyfusem). Po zakończeniu wojny kierował podobnym laboratorium pod auspicjami Wojskowej Rady Sanitarnej w Przemyślu. Opracował technikę produkcji szczepionki przeciw tyfusowi metodą namnażania drobnoustrojów *Rickettsia prowazekii* w organizmach wszy zakażonych za pomocą mikrolewatywy. Świat dowiedział się o jego szczepionce, gdy wykorzystano ją nie tylko w Polsce, lecz także w katolickich misjach włoskich, belgijskich i francuskich w Afryce, a także w Australii i Chinach. W 1939 roku

odmówił ewakuowania się z armią polską do Rumunii i pracował na Uniwersytecie we Lwowie. Po zmianie okupanta instytut Weigla został przejęty przez Wehrmacht. Pozostawiano mu dużą samodzielność; mógł zatrudniać wielu Polaków (m.in. Stefana Banacha) pod pretekstem karmienia wszy niezbędnych do produkcji szczepionek. Dzięki Weiglowi szczepionki trafiały również do ludności cywilnej, partyzantów, lwowskiego i warszawskiego getta. Pomimo to po wojnie wysuwano wobec niego niesłuszne oskarżenia o kolaborację z Niemcami. Po wojnie był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a później – aż do emerytury Uniwersytetu Poznańskiego. Był niemal pewnym kandydatem do Nagrody Nobla. Łączył naukę z pasjami pozazawodowymi – wędkarstwem, fotografią czy strzelaniem z łuku. Instytut Yad Vashem przyznał mu tytuł Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata.





Paweł Goźliński

Redaktor, pisarz, doktor od romantyzmu, uczeń Marii Janion. Autor eseistycznej książki *Bóg Aktor* o Juliuszu Słowackim oraz powieści *Jul*, *Dziady* i *Akan* (inspirowana życiem Bronisława Piłsudskiego). Był też m.in. pomysłodawcą i redaktorem antologii *Nie-obcy* oraz *Nadzieja*. Kierował działami kultury i reportażu „Gazety Wyborczej”, był szefem reporterskiego magazynu „Duży Format”. Tworzył „Książki. Magazyn do czytania” i do 2019 roku pełnił funkcję redaktora naczelnego magazynu. Dziś jest redaktorem naczelnym Wydawnictwa Agora. W 2010 roku wraz z Mariuszem Szczygłem i Wojciechem Tochmanem założył Instytut Reportażu i Polską Szkołę Reportażu.

Pstrąg

Epidemia nigdy się nie kończy, tylko czeka przyczajona w zakamarkach futer i w ciepłej krwi. Ma swoje ulubione gatunki, trasy, które pokonuje wraz z nimi, kryjówki, które trzeba poznać, nanieść na mapę, obserwować, żeby zgasić zarazę, zanim na nowo wybuchnie. Jeśli nie wiesz, gdzie szukać jej źródeł, zawsze będzie za mało, zawsze będzie za późno.

Wciąż o tym myśli czy już się poddał?

Woda szoruje po kamienistym dnie. Ostre słońce rozmywa kontury. Krzewy na brzegu to zielono-białe obłoki, konary falują w rozpalonym powietrzu, sylwetka ojca i jej odbicie połyskują i drżą. Syn przygląda się, jak ojciec stąpa ostrożnie po śliskich głazach, brodzi pod prąd, żeby nie wypłoszyć pstrągów ukrytych między kamieniami. Teraz nie mogą go dostrzec, bo walcząc z nurtem, ustawiały się głowami w dół rzeki. Dadzą się podejść.

To ojciec nauczył go, jak się obchodzić z rybami, jak je łapać, nawet gołymi rękami. Ale to było dawno. Teraz ojciec prostuje się, unosi ramiona, przeciąga splecione dłonie nad głową. Cienki patyk wędki jest niewidzialny, syn dostrzega tylko ruch. Zamach, rzut, błysk.

Rzeka jest tylko podobna do tamtej. Ojciec też jest tylko podobny, chociaż próbuje udawać, że wcale się nie zmienił. Ile lat minęło od ostatnich wakacji w Iłemni? To bez znaczenia. Ich obraz w pamięci syna pozostaje naraz ruchomy i niezmienny. Jakby ktoś wyciągnął ze wspomnień rdzeń czasu, zmienił je w rolkę taśmy filmowej i zapętlił.

Nagie kąpiele w rzece i wylegiwanie się na łupkowych talerzach. Sztuczne muchy, które ojciec sam projektował, spiralne bełty strzał celnych, jakby wylatywały z gwintowanych luf. Słomiane tarcze. Polowania na zające. Kapelusz holenderskiego misjonarza, który zjawiał się na lotnisku i błagał, żeby ojciec ratował jego braci przed zarazą.

Jakie kolory mają te wspomnienia? Niektóre są czarno-białe, jak filmy, które ojciec malował dla syna na nienasświetlonej taśmie. Inne bladopastelowe, podobne do kolorowych odbitek, które wieczorami wyciągał z kuwet.

W Iłemni skóra ojca zawsze jednolicie brązowała. Wszystko: łydki, pośladki, biodra, brzuch. Purpurowe były tylko ślady po trumienkach dookoła ud i ramion. Teraz, kiedy nagość już mu nie przystoi — nie z powodu wieku, raczej historii — ściągnął tylko podkoszulek. Wciąż widać na skórze jego blady ślad i wyrastające z niego czerwone ręce, czerwony kark.

Rany po trumienkach się wygoiły. Ojciec już nie karmi. Ryba nie bierze.

— Przenieśmy się tam, w cień.

Domyśla się słów, chociaż zagłusza je rzeka. Pomagają gesty. Odpowiada skinieniem i rusza za ojcem. Wciąż dzieli ich kilkanaście kroków i lata milczenia.

Milczenie między ojcem i synem zaczęło się, zanim przyszło to ostatnie lato. Zdawał wtedy maturę. Była przy nim tylko matka, ojciec wyjechał do Etiopii. Miał tam powstrzymać epidemię, uczyć, jak produkować szczepionkę, a przy okazji uratować swoje wszy.

— W nich jest coraz mniej życia. To skutki uboczne wsobnego chowu — mówił. W instytucie wciąż przecież hodowali ten sam szczep, tę samą rodzinę. Pochodziła z czasów, kiedy ojciec dopiero wymyślał, jak łądować w ich zadki krew zakażoną riketsjami. I jak je karmić. Na sobie testował trumienki przesłonięte z jednej strony gazą, przez którą wszy wgryzały się w skórę i piły. Kiedy wykarmione i chore purpurowiały, wydłubywał z ich zwłok jelita pełne bakterii. A potem mielił.

Nierozcieńczona szczepionka miała kolor kawy.

Zaproszenie przyszło w ostatniej chwili. Wszy wymierały. Nie miało znaczenia, że zapraszał go wódz faszystów do okupowanego kraju. Ojciec wierzył, że choroba jest większa niż polityka i historia, a wojna to pożywka, na której rozwijają się epidemie. Choroba nie bierze pod uwagę narodowości, granic, języków, rangi. Dlatego najważniejsze to przyłapać ją w jej nowych formach, zdławić. Bez względu na miejsce i okoliczności. Bez względu na protesty matki, która nie chciała jechać i nie chciała, żeby z ojcem pojechała tamta kobieta.

Duszno. Dobrze byłoby zanurzyć się w rzece, po szyję, ostudzić głowę. Z zimną jest łatwiej zapomnieć o furiach ojca, kiedy produkcja utykała, a choroba była szybsza niż on. O awanturach z matką, o jej płaczu. Ale teraz słońce parzy go w ramiona, a wspomnienia przejmują nad nim kontrolę. Wyskakują z niepamięci, szarpiają się, chcą zerwać z uwięzi.

— Pomóż!

Ojciec przywiózł z Etiopii nowe szczepy, które skrzyżował z instytucyjnymi wszami. Jeszcze tarczę ze skóry hipopotama i film o inwazji szarańczy. Ale do domu nie wrócił, raczej w nim bywał niż mieszkał. Przesiadывał do późna w instytucie, często zostawał na noc. Dużo pracy — tłumaczył, dopóki miał potrzebę się tłumaczyć. Potem już tylko milczał.

Kiedy syn z matką wrócili karetką z Iłemni, zaczęła się wojna. Matka wkrótce umarła i zastąpiła ją tamta kobieta. Ale nie jemu.

Chciał się uwolnić i od niej, i od ojca, przecież ze wspomnieniami miał lepszy kontakt niż z nim. Ale było za późno. Jeśli chciał przeżyć, musiał zostać.

Wędką wygina się w ostry łuk, szczyt nurza w toni, a pstrąg ciągnie jeszcze mocniej. Zaraz się urwie, urwie, to nieuchronne.

Ojciec odpuszcza na chwilę, kołowrotek dygocze. Teraz spokojnie, pozwala rybie płynąć łukiem, jednocześnie powoli przyciąga ją do brzegu. Z wysiłkiem nawija żyłkę. Naprężone ramiona, rozwarte obojczyki, pot.

„Produkował dla wroga”

„Utrzymywał przyjazne kontakty z nazistami”

„Posunął się za daleko”

„To była kolaboracja”

Kłamstwa! Tak, chcieli od niego więcej szczepionki, więc im ją dawał. Przecież wciąż wierzył, że choroba jest większa niż polityka.

W zamian mógł zatrudnić w instytucie coraz więcej ludzi. Zapewniał im bezpieczeństwo, całym setkom, chciał tylko, żeby przestali się drapać. Ukąszenia swędzą jak diabli, ale wszy nie są w stanie przegryźć się przez strupy.

Karmili profesorowie, muzycy, lekarze, konspiratorzy. Polacy, także Żydzi. Czy ci, którzy oskarżają ojca, nie wiedzą o tym czy nie chcą wiedzieć? Zapomnieli, że Rosjanie i Niemcy próbowali go kupić na wyłączność, a ojciec się nie dał? I co dostał w zamian?

Skończyła się wojna, nie ma już instytutu, tylko nędzne resztki i obietnice, w które już nie wierzy. Ale się nie złości. Zbыва oskarżycieli. To syn złości się za niego. Ma z nim niezłatwione sprawy, ale co z tego? Teraz musi bronić go za wszelką cenę, przed nimi i przed sobą samym. Musi chronić zapętlone wspomnienia. Nagie kąpiele, sztuczne muchy, słomiane tarcze, polowania na króliki.

„Ojciec był niezwykle uczciwym człowiekiem. Uczciwym do granic obsesji”.

Ryba szeroko otwiera pysk. Jakby dusiła się powietrzem. Syn z trudem utrzymuje w dłoniach jej rozedrgany, śliski tułów. Ojciec przytrzymuje palcami łeb. Ostrożnie wydłubuje haczyk.

— Wypuść ją — mówi.

Ojciec się mylił. Polityka i historia są większe niż choroba. Dlatego epidemia nigdy się nie kończy. Zawsze komuś zależy, żeby trwała, chce ją wykorzystać, żeby jednych poszczuć na drugich. Zdrowi przeciwko chorym, nigdy na odwrót. Strach staje się bronią, szczepionka narzędziem, więc nawet ona przestaje być niewinna.

Czerwone słońce znika w skałach, a oni wspinają się po ścianie parowu. Wracają.

— Musimy to powtórzyć, kiedyś — mówi ojciec.

— Tak, kiedyś — odpowiada syn.

— I porozmawiać.

— Porozmawiać.

Potem jest uścisk dłoni.

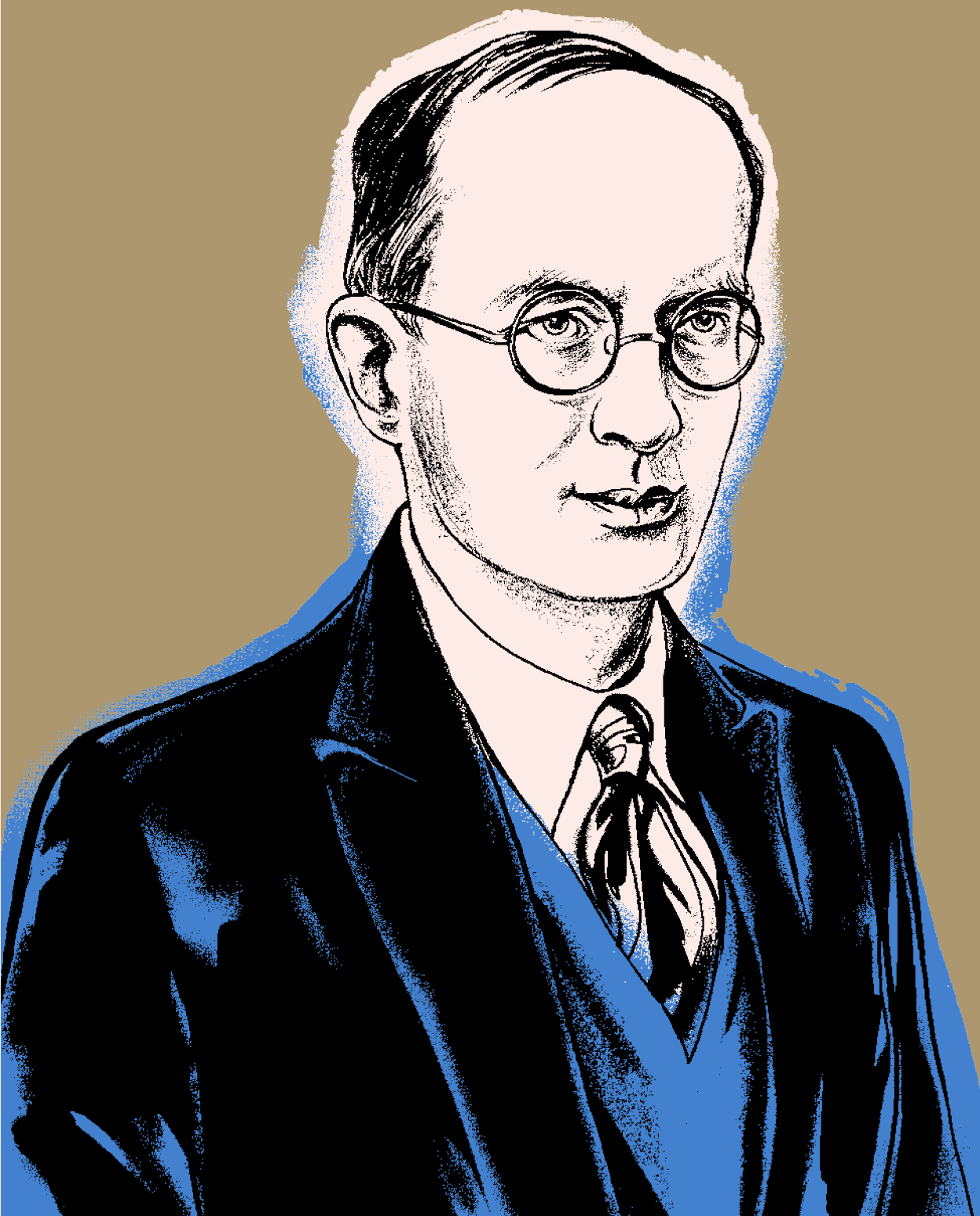
Coś jeszcze powinno się zdarzyć. Ale oni chyba już wiedzą, że się nie zdarzy.

Bronisław MALINOWSKI

1884 Kraków — 1942 New Haven

Polski i brytyjski antropolog oraz profesor o wybitnych zasługach w zakresie etnografii, socjologii, lingwistyki i badań terenowych. Pochodził z inteligenckiej rodziny krakowskiej. Mimo kłopotów zdrowotnych od wczesnego dzieciństwa wykazywał wybitne zdolności. W 1908 roku obronił doktorat na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie zainteresował się etnologią. Na Uniwersytecie w Lipsku studiował ekonomię i psychologię pod kierunkiem Karla Büchera i Wilhelma Wundta. W latach 1910–1913 kontynuował studia w London School of Economics u Charlesa Seligmana i Edwarda Westermarcka. W 1914 roku wyjechał do brytyjskiej Papui Nowej Gwinei, gdzie rozpoczął badania terenowe na wyspie Mailu oraz na

wyspach Trobrianda. Po wybuchu wojny nie mógł wrócić do Anglii, władze australijskie zapewniły mu jednak możliwość kontynuowania badań nad rytuałem wymiany Kularing. W 1922 roku wydał słynną książkę *Argonauci zachodniego Pacyfiku* oraz obronił doktorat w London School of Economics. Malinowski dał początek brytyjskiej antropologii społecznej. W badaniach terenowych stosował metodę obserwacji uczestniczącej. Badał m.in. mechanizmy wymiany towarowej pomiędzy mieszkańcami wysp, a także specyfikę ich życia rodzinnego, w tym seksualnego. Jego zapiski dziennikowe wywołały liczne kontrowersje. Po wybuchu II wojny światowej wykładał na Uniwersytecie Yale. Był jednym z założycieli Polish Institute of Arts and Sciences of America.





Ignacy Karpowicz

Pisarz, tłumacz, podróżnik. Studiował w ramach Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych (Uniwersytet Warszawski). Za debiutancką powieść *Niehalo* z 2006 roku nominowany został do Paszportów „Polityki”. Następnie ogłosił *Cud*, *Nowy kwiat cesarza (i pszczoły)* i *Gesty*. Za *Balladyny i romanse* otrzymał Paszport „Polityki” w 2010 roku (była to też książka-finalistka Nagrody Literackiej „Nike” – podobnie *Ości* w 2014 roku i *Sońka* w 2015 roku). W 2017 roku pisarz opublikował *Miłość*, a w 2021 roku – *Cicho*, *cichutko*. Tłumaczy z języków hiszpańskiego, angielskiego i amharskiego.

Żółwie Yanagihary

1.

„Przebacz, Broneczku — pisał Witkacy — że Cię opuszczę, ale nie wiesz, czym jest straszliwe cierpienie. Całuję Cię i żegnam. Nie gniewaj się na mnie. Ty jeden znasz całą okropność mojego cierpienia”.

Bronisław Malinowski, „Broneczek”, nie pozostał dłużny i uczynił Witkacego „w razie czego” spadkobiercą aparatu fotograficznego firmy Klimax na klisze $8,2 \times 10,8$ cm.

Pierwszy nie popełnił samobójstwa w zapowiadanim czasie, drugi nie rozstał się z aparatem.

Przyjaźń Malinowskiego z Witkiewiczem, niestroniąca od eksperymentów rozmaitej natury, uwolniła się od nakazu bezwzględnego dotrzymywania danego sobie słowa.

2.

Bronisław Malinowski wyprowadził antropologię zza biurka gabinetu w teren, wszelako przeprowadzka odbyła się na szczególnych warunkach. Z dopuszczalną przesadą stwierdźmy, że gabinet osiadł w terenie na czas badań, o czym dalej.

Na potrzeby swojej najsłynniejszej i najdonioślejszej wyprawy nasz bohater uzyskał sumę czterystu pięćdziesięciu funtów szterlingów: dwieście pięćdziesiąt ze stypendium im. Constance Hutchison, dwieście od Roberta Monda, przedsiębiorcy z archeologicznym zacięciem. Ówczesnie stanowiło to malutką fortunę. Na dwa lata badań.

Część tej kwoty spożytkował na: „dywan, tropikalny zegar ścienny, brezentową wannę i umywalkę, parasol od słońca z zieloną podszewką. Do tego dochodził najwyższej klasy namiot, który kosztował aż sześć gwinei”.

Badacz zadbał, jakżeby inaczej, o wygląd. Na prestiżowej Chance-ry Lane uszyto mu dwie marynarki typu norfolk. Duże zewnętrzne kieszenie mieściły akcesoria myśliwskie. Marynarki najlepiej komponowały się z pumpami oraz bryczesami (rozumie się, iż nabyty-
mi także). Do tego płaszcz, stosownie nietani, myśliwski. Kapelusz z okrągłym rondem, hełm korkowy. I drobiazgi, na przykład getry bądź brązowe sznurowadła (tuzin). I gumowe czerwone tenisówki. Skarpety w Londynie pomagali dobrać mama i przyjaciel.

Autor *Argonautów...* nie zaniedbał gastronomicznych kwestii na wypadek, gdyby tambylcze pożywienie okazało się kłopotliwe dla układu pokarmowego i nawyku. Na szczęście dopiero co opanowano metodę puszkowania, która umożliwiała bezpieczne zapuszkowanie na kilka przynajmniej miesięcy niemal wszystkiego. Puszki z kolei do skrzyni, skrzynie do ładowni. Zajrzyjmy!

Bezwzględnie francuska musztarda: poprawia lub usuwa smak potraw zależnie od potrzeb i dozowania. W puszkach zaś potrawka z zającą, do tego mięso krabów, sardynki, makrele, ostrygi, ikra z dorsza. Nie zapominajmy o ketchupie Heinza, herbatnikach, mleku Nestlé Ideal (dwie skrzynie), koniaku (jedna skrzynia). A na te dziesiątki skrzyń Bronisław Malinowski zapakował jedną szczoteczkę do zębów.

W podróż warto ruszać z podręczną apteczką. Krakowianin ograniczył się do ponad pięciu tysięcy pastylek. W tym środek przeczyszczający, brom (na nerwy), żelazo (na krew), arsenik (na kiłę, choroby skóry i nielubianych towarzyszy), kora szakłaku amerykańskiego (rósł na amerykańskim wybrzeżu od strony Pacyfiku, kora okrążyła

ziemię). Aspiryna i chinina. No i proszek Dovera — popularny od XVIII wieku. Sproszkowane opium z korzeniem wymiotnicy — niezawodnie wywoływało reakcję organizmu.

Najistotniejsza paczka, serce wyprawy, zajmowała niewiele miejsca: wykonane na zamówienie dwadzieścia cztery notesy. Stukartkowe *octavo*, gładki kremowy papier.

Malinowski przygotował się lepiej niż Amerykanie w misji Apollo do zdobycia Księżyca. Pomimo to dotknęły go przykrości — namiot okazał się za mały, woskowe walce do fonografu niezbyt użyteczne, notesów nie starczyło.

Jeżeli ktoś coś tutaj podejrzewa, potwierdzamy: słusznie, niekiedy przesadzał. W przesadzie nie ograniczał się wyłącznie do hipochondrii. Zdrowia od dziecka był słabego, rozmaite zaburzenia zakorzeniły się i nie pozwoliły wykorzenić. Wybitne, rewolucyjne osiągnięcia naukowe wyrosły w pewien sposób z niewybitnego, trudnego charakteru.

Na marginesie: ku przestrodze późniejszych badaczy zachowały się rachunki i faktury. Niosą pewien potencjał komiczny. A mógł zniszczyć.

3.

Na rozległe zakupy, przygotowania, pakowania, dokupywania i później niekrótką podróż statkiem do Australii padał cień dwóch samobójstw: jedno już z przeszłości, drugie zapowiedziane na przyszłość. W lutym 1914 roku tajemnicze samobójstwo narzeczonej załamało Witkacego. Zamierzał pójść w jej ślady. Zanim jednak zrealizował ten zamiar, „Broneczek” zdołał przekonać go do wspólnej podróży na antypody. Liczył, że dzięki temu przyjaciel porzuci ponure plany. Podczas rejsu często się kłócili, kłótnia zaś mimo wszystko ożywiała. Dlatego Witkacy i Malinowski dopłynęli żywi, aczkolwiek w innym świecie niż ten, z którego wypływali. Wybuchła I wojna światowa.

Witkiewicz, poddany rosyjski, mógł wrócić do Europy i dać się zabić na froncie. Malinowski, poddany wrogich Austro-Węgier, otrzymał wybór — internowanie lub zesłanie.

Wybrał zesłanie na Wyspy Trobrianda.

I stworzył nową antropologię.

Język jest kluczem, drzwiami zaś brak wcześniejszych założeń. Trzeba przestąpić próg, a za progiem uczyć się panujących tam zasad.

Ówczasie na froncie antropologicznym metoda okazała się tym, czym wprowadzenie czołgów i samolotów do arsenału armii. Gabinetyczne linie obrony zostały przełamane, a nieeuropejskie kultury zaczęto opisywać inaczej niż listę kuriozalnych ciekawostek.

4.

W powieści *Ludzie na drzewach* Hanya Yanagihara, amerykańska pisarka pochodzenia hawajskiego, wywołała ducha Bronisława Malinowskiego. Jej bohater, doktor Peregrin, udaje się na niezbadane pacyficzne wyspy. Ekspedycja dokonuje jednego, wielkiego odkrycia. Uwagę badaczy zwraca grupa krzepkich, około sześćdziesięcioletnich tambylców z wyraźną demencją. Z czasem okazuje się, że są znacznie starsi. Długowieczność zawdzięczają spożywaniu mięsa endemicznej odmiany żółwia.

Założmy, że nasz bohater natknął się na Yanagiharowe żółwie, nie opuścił wysp przez dekady, aż nie został pozwany o aparat Klimax, zapisany spadkobiercom Witkacego.

Wtedy ekipa prawników i pomagierów wyciąga go z Trobriandów.

5.

Rejs dziwaczną, zbędnie prędką łodzią nie przygotował Bronisława na Australię. Zmieniła się nie do poznania. Mieszkańcy jakby zbliżeni

do tych, których pamiętał, gdy wypłynął na Trobriandy. Inaczej odziani, wyżsi, nieznosnie bezpośredni. Nieco uspokoił się, gdy mu powiedziano, że nadal są poddanymi brytyjskiej korony. Imię władcy się zmieniło. Wypływał za Jerzego V, wracał za Elżbiety II.

Był sławny. Współpracownik skopiował notatki i podał do druku. On, Bronisław Malinowski, wyrzucił antropologię do góry nogami.

Do Londynu dostał się ogromnym dwupokładowym statkiem powietrznym. W mniej niż dobę pokonał kilkutygodniowy dystans. Ten świat był bardziej obcy, niż mógł sobie wyobrazić.

Potrzebował czasu, żeby zmierzyć się z nowym światem. Najpierw sprawdził przyjaciela — popełnił samobójstwo albo po jego sfingowaniu zmarł wiele lat później w Łodzi.

Nowy świat wydawał się trudny — za dużo wszystkiego. Za dużo informacji, światła, dźwięku, ludzi. Marynarki sparciały. Kolor butów zgasł.

Otulił się szumem ze światłami, tą kołdrą z niezrozumiałych postów, hasztagów i esemesów. Odnosił wrażenie, że wszystko w nim zostało wywleczone na widok, co dziwniejsze — sam nie był dawcą żadnych treści. Po prostu unosił się.

Stało się to samo z siebie. Wrócił i jako sensacja rozplecił się po internetach.

Po pierwsze — zanotował — nowy świat jest samostanowiącym się światem. Napędzanym dziwną bezwładnością. Wystarczyło wrzucić w sieć — dziwaczny sposób komunikacji — jakiś kamyk podobny do treści: wokół niego pojawiały się od razu inne, naśladujące znaczenie. I w ten sposób z małego nic tworzyło się wielkie. A z czasem — skonstatował — z owego nic powstawało coś. I tego „coś” już nie wolno pomijać. Rosło duże. Tak myślał.

Najpierw korygował wypowiedzi innych z użyciem klawiatury. Im bardziej korygował, tym mniejszą wiarygodnością dysponował.

Zorientował się, że jedynym rozwiązaniem jest produkowanie nie-mądrości. Znakomicie odwracały uwagę od pierwszego „nic”.

Przez pewien czas zajmowały go niepojęte bitwy przed ekranem. Kontakt utracił namacalność, do której przywykł. Świat wydawał się nie do zniesienia.

6.

Na szczęście krawiec pozostał na Chancery Lane: nie ten sam, nawet nie syn, ale jednak. W ogóle krawiectwo w znacznej mierze wyszło z użycia. Stroje czasu letniego przysłaniały ciało niewiele okazalej niż u mieszkańców pacyficznych wysp.

W tej niedotykalności nowego świata nieobecne były również pieniądze. Oczywiście istniały, chociaż w sposób umowny. Prawie nikt nie trzymał namacalnych banknotów ani monet. Płaciło się karteczką albo pudełeczkiem służącym do wielu spraw, na przykład mówiło się w pudełeczko i udawało, że głos odpowiada. Ponadto pudełeczko mieściło elementy muzyczne oraz ruchome obrazki.

Jego Klimax wydawał się boleśnie ciężki i dosłowny.

Jego analizy — był z nich przecież dumny — ześlizgiwały się po powierzchni otaczającego go świata.

A może właśnie tyle tylko zostaje? Powierzchnia.

Gdy usiłował sięgać po rdzeń obcych kultur, nie dość uwagi poświęcał temu, co łatwo zauważalne.

W przygnębieniu pomyślał o przyjacielu. Potrzebna była odwaga, żeby podciąć sobie tętnicę szyjną.

Ludwik HIRSZFELD

1884 Warszawa — 1954 Wrocław

Lekarz, mikrobiolog, immunolog i serolog, pionier seroantropologii, wolno-myśliciel. Pochodził z asymilowanej rodziny żydowskiej. Wraz z Niemcem E. von Dungernem stworzył podstawy immunogenetyki grup krwi (1910). Przed I wojną światową pracował w Heidelbergu i Zurychu. Podczas I wojny światowej na Bałkanach uczestniczył w zwalczaniu epidemii duru plamistego. W Serbii – wraz z żoną Hanną – odkrył pałeczkę duru rzekomego C. W 1920 r. założył w Warszawie Państwowy Zakład Higieny. Jako profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej popularyzował medycynę. Podczas II wojny światowej pozbawiony wszelkich stanowisk. W 1941 r. został osadzony w warszawskim getcie, z którego w 1943 r. udało mu się uciec. Po ucieczce z getta napisał autobiografię *Historia jednego życia*

(wyd. w 1946). Współzałożyciel Uniwersytetu im. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, od 1945 r. działał we Wrocławiu, gdzie wykładał mikrobiologię i założył Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN. Ustalił zasady przetaczania krwi. Udowodnił zasady dziedziczenia grup krwi i ich zastosowanie w dochodzeniu ojcostwa. Wprowadził, poczynając od klinik polskich, procedurę oznaczania czynnika Rh. Jako pierwszy w świecie wprowadził środki przeciwhistaminowe w leczeniu zaburzeń immunologicznych w ciąży. Opracował również zasady terapii niemowląt urodzonych w konflikcie serologicznym. Autor blisko 400 prac naukowych, m.in. *Grupy krwi w zastosowaniu do biologii, medycyny i prawa* (1934), *Immunologia ogólna* (1948). Był członkiem PAN.





Kaja Malanowska

Pisarka, felietonistka (Krytyka Polityczna), mikrobiolożka i nauczycielka. Opublikowała pięć książek, w tym jedną, ilustrowaną przez siebie książeczkę dla dzieci *Dom dla Tosi*. Jej debiut, *Drobne szaleństwa dnia codziennego*, był nominowany do nagrody „Gwarancje Kultury”. Powieść *Patrz na mnie, Klaro!* znalazła się w finale Nagrody Literackiej „Nike” i była nominowana do Paszportów „Polityki”. Kryminał *Mgła* został przetłumaczony na angielski i niemiecki. Napisała doktorat z genetyki na University of Illinois w Urbanie. Na co dzień pracuje jako nauczycielka biologii w Liceum „Chocimska” w Warszawie.

Historia pewnej epidemii

Nocą, kiedy wychodzę przed dom, widzę niebo tak groźne, że muszę zamknąć oczy, żeby pokonać zawroty głowy. Podobno Droga Mleczna liczy czterysta miliardów gwiazd i ma średnicę stu tysięcy lat świetlnych. Dużych galaktyk jest we wszechświecie trzysta pięćdziesiąt miliardów. W przestrzeni, której nie jest w stanie objąć mój skołatany umysł, wirują niezliczone planety. Cztery miliardy lat temu na jednej z nich powstało życie. Niecały miliard lat później pojawiły się istoty, które objęły Ziemię w posiadanie, starożytni, najlepiej przystosowani mieszkańcy naszego globu. Żeby zrozumieć ich naturę, trzeba zmierzyć się z uniwersum niemal tak licznym i równie mało poznanym, jak rozgwieżdżone niebo nad naszymi głowami.

„W tamtym czasie wiele osób widziało demony w ludzkiej postaci. Ci, którzy mogli się z nimi zetknąć, uważali, że przypadkowo zostali uderzeni przez napotkanego męża w jakąś część ciała. Natychmiast po tym, jak zobaczyli tę zjawę, chwytala ich choroba. [...] Jedni popadali mianowicie w głębokie odrętwienie, innych atakowała gwałtowna maligna. [...] U tych zaś, których nie dotknął ani obłęd ani odrętwienie, w miejscach obrzęku wdawało się zakażenie. Gdy nie mogli już dłużej znieść bólu, umierali” – relacjonował Prokopiusz w *Wojnach z Persami*. Kilka miesięcy później Jan z Efezu notował: „Wielu widziało zarys brązowych łodzi i siedzących w nich postaci, przypominających ludzi z obciętymi głowami. Trzymając pręty, niekiedy

z brązu, poruszali się po morzu i można ich było dostrzec, jak zmierzali we wszystkich kierunkach. Postaci te widać było wszędzie i wzbudzały lęk, szczególnie nocą”.

Armia demonów, która przybyła z Etiopii, zaatakowała Konstantynopol, po czym upiorną flotyllą ruszyła wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, była w rzeczywistości znacznie mniejszych rozmiarów, niż wyobrażali to sobie mieszkańcy Bizancjum. Ludzkość miała ją zobaczyć dopiero tysiąc lat później, dzięki Antoniemu van Leeuwenhoekowi, kupcowi bławatnemu ogarniętemu pasją konstruowania amatorskich mikroskopów. W 1676 roku Leeuwenhoek dostrzegł przez nie maleńkie istoty poruszające się w kropli wody – bakterie.

Dziś wiemy, że mogą przybierać najróżniejsze kształty, od kulistych poczynając, poprzez pałeczki, laski, śrubki, maczugi, nizane na nitkę paciorki, winogrona i rozgałęzione szkielety koralowców. Niektóre pokrywają ruchliwe rzęski, inne napędzają wici. Żyją pośród skutecznej lodu Antarktydy, na górskich szczytach powyżej granicy śmierci, wiele kilometrów pod powierzchnią wody i w gorących źródłach, gdzie temperatura sięga niemal stu stopni Celsjusza. Niewidoczną warstwą porastają otaczające nas przedmioty. Kolonizują każdy skrawek przestrzeni, nie wykluczając przy tym ciał innych organizmów. I chociaż bez symbiotycznych bakterii nie moglibyśmy ani trawić, ani oddychać, nie pamiętamy na co dzień o ich obecności. Czasem jednak potrafią przypominać o swoim istnieniu w sposób wyjątkowo okrutny.

„Zaraza trwała w Bizancjum cztery miesiące, jej kulminacja zaś trzy miesiące. Początkowo umierało niewiele więcej ludzi niż zwykle, następnie umieralność rosła coraz bardziej i w końcu osiągnęła dzieśnię tysięcy, a nawet jeszcze więcej. [...] Lekceważono wtedy wszystkie zwyczaje pogrzebowe. Ani nie odprowadzano zmarłych w kondukcje, jak jest w zwyczaju, ani nie śpiewano tradycyjnych pieśni żałobnych.

Wystarczało natomiast, że ktoś zaniósł na ramionach zwłoki do nadmorskiej części miasta i tam cisnął je na ziemię. Wrzucane stosami na łodzie, miały być stamtąd zawiezione dokąd popadnie” – pisał Prokopiusz.

Nazywano ją zarazą Justyniana. Gdy w XVI w. znów odwiedziła Europę – czarną śmiercią, a w końcu dżumą. Ukryta za tymi przydomkami gram-ujemna pałeczka *Yersinii pestis* była przyczyną niewątpliwie najśłynniejszej, ale przecież nie jedynej, epidemii bakteryjnej, jaka nawiedziła świat. Choroby takie, jak kiła, trąd czy gruźlica dziesiątkowały ludzkość od początku dziejów. Pojawiały się tam, gdzie panował głód i nędza, towarzyszyły wojnom i klęskom żywiołowym, dokładając do nich swoje straszliwe żniwo. Niektóre z tych kataklizmów należą do całkiem niedawnej historii.

W lipcu 1914 roku Austro-Węgry zaatakowały Serbię, dając początek I wojnie światowej. Zimą tego samego roku Serbom udało się przełamać linię wroga i zmusić najeźdźców do odwrotu. Cofająca się armia pozostawiła za sobą sześćdziesiąt tysięcy jeńców, których zgromadzono w okolicach miasta Valjevo. Oszołomieni chwilowym zwycięstwem Serbowie nie mieli ani wystarczających zapasów, by wyżywić taką liczbę więźniów, ani odpowiednio przystosowanych budynków, żeby ich pomieścić. Wśród wycieńczonych, stłoczonych żołnierzy wkrótce zaczęła szerzyć się wszawica, a zaraz za nią – epidemia duru płamistego. Zarażonych dręczyła trudna do zbiccia gorączka, wymioty i biegunka. Po paru dniach pojawiała się wysypka w formie czerwonych plam na skórze, która przechodziła w wysypkę krwotoczną. Chorzy szybko opadali z sił, mający albo całkiem tracili przytomność i kontakt ze światem. Z sześćdziesięciu tysięcy jeńców plaga oszczędziła niewiele ponad połowę.

Epidemia nie zatrzymała się jednak w więziennych koszarach. Wypęzła poza mury i druty kolczaste i w ciągu kilku tygodni zajęła miasto, po czym ogarnęła pożogą cały kraj. Służby sanitarne Serbii były słabo zorganizowane, brakło rąk do pracy, siarki i aparatury dezynfekcyjnej. Szpitale pękały w szwach. Zarażeni marli dziesiątkami. Nikt nie miał czasu na chowanie zwłok. Trupy wynoszono na dwór i układano w stosy przy ścianach budynków.

Podczas gdy na Bałkanach szalało piekło, w neutralnej Szwajcarii życie toczyło się dawnym, spokojnym trybem. Chadzano na koncerty i proszone obiady, organizowano pikniki i spotkania literackie, teatry ogłosiły repertuar na nadchodzący sezon. W Zurychu rozpoczął się rok akademicki. Profesorowie otworzyli drzwi swoich pracowni. Studenci ruszyli na zajęcia. W tym czasie wielką popularnością cieszyły się wykłady o chorobach zakaźnych, prowadzone przez młodego, charyzmatycznego docenta o cudzoziemskim pochodzeniu. Żeby się na nie dostać, słuchacze przychodzili wcześniej, bo sala była wypełniona i brakło miejsc siedzących.

Tymczasem prelegent, którego tak oczekiwano, nie przykuwał uwagi szczególnie interesującą fizjonomią. Był niski, miał delikatne rysy i blisko osadzone oczy. Włosy sterczały mu nad czołem niczym druty. Miękkie policzki drżały, kiedy rozpoczynał wykład. A jednak wystarczyło, żeby się odezwał i w auli zapadała cisza. Mówił głośno, swobodnie, w taki sposób, że odnosiło się wrażenie, jakby wyłuskiwał z tłumu poszczególne osoby i zwracał się do każdego studenta z osobna, mierząc go jasnym, intensywnym spojrzeniem. Skomplikowane zagadnienia mikrobiologiczne nabierały kształtów, zdawały się falować, unosić i krążyć pomiędzy słuchaczami.

Ów magnetyczny wykładowca miał trzydzieści lat i właśnie otrzymał habilitację za pracę nad związkiem zjawisk odpornościowych

i krzepliwości krwi. Ludwik Hirszfeld urodził się w Warszawie, ale studiował w Würzburgu i Berlinie, a w 1911 roku przeniósł się do Zurychu, gdzie zamierzał osiąść na stałe. Lata, które spędził w Szwajcarii, wspominał później, jako jeden ze szczęśliwszych okresów swojego życia: „Piękna jest Szwajcaria i piękny jest Zurych. Z daleka widać Alpy Berneńskie, Jungfrau, Mönch i Eiger w bieli, co nie zna ziemskiego brudu – i zachody słońca ginącego w dolinie Limmat. Jakże często przerywaliśmy pracę i podchodzili do okien, by duszę zanurzyć w tym bezkresnym pięknie. A w nocy, gdy zapalają się światelka w okolicznych wioskach nad jeziorem, wygląda to jak baśń o wiecznym zapatrzeniu”.

Polski Żyd trafił w Zurychu na postępowe środowisko. „Tak szczęśliwa była moja młodość, gdyż spotkałem ludzi dobrych i mądrych. I nikt nie pytał nikogo, kto go rodził i skąd pochodzi. Dla nich młody, który chciał pracować, był rzadką odmianą kwiatu, którą pielęgnować należy”. Wspinał się też szybko po szczeblach kariery akademickiej, a we wszystkich poczynaniach towarzyszyła mu żona – Hanna.

Pobrali się na studiach, w przerwie pomiędzy wykładami i fakt ten, sam w sobie, pewno najlepiej opisuje to małżeństwo. Hanna skończyła medycynę we Francji. Kilka lat później obroniła dwa doktoraty i otrzymała propozycję asystentury w jednej z nowoczesnych szwajcarskich klinik pediatrycznych. Ludwik prowadził badania w uniwersyteckim Zakładzie Higieny. Oboje pochłaniała praca. Oboje wierzyli w siłę i dobro, jakie światu miała nieść nauka. Łączyła ich pasja i niezachwiana wiara w lepszą przyszłość. Latem 1914 roku Hirszfeldowie znaleźli się na jednej z ostatnich spokojnych wysp pośród płonącej Europy.

„Więc cóż ja mam czynić?” – pytał Hirszfeld. Większość ludzi odpowiedziałaby: zupełnie nic. Pracować. Wykładać. Publikować artykuły

naukowe. I dziękować bogu, że burza szaleje gdzie indziej. Ludwik czuł się związany z Polską, był jednak kosmopolitą i naukowcem, a nie bojownikiem o wolność. Był też człowiekiem obdarzonym niezwykle wrażliwością i poczuciem obowiązku. Kiedy rozeszły się wieści o epidemii duru plamistego na Bałkanach, poprosił o urlop i pożegnał studentów. Jeden z kolegów zapytał: „Jeśli chce pan popełnić samobójstwo, po co jechać tak daleko? Przecież jest to walka beznadziejna”.

Podróż przez Europę w 1914 roku musiała przypominać podróż we śnie, gdy wszystko wydaje się takie, jak zawsze: znajoma droga, stacja kolejowa, znajomy landszaft za oknem. A jednak powietrze wibruje od napięcia. Za każdym rogiem czai się niepokój. Strach w znajomych widokach, w uśmiechu pasażerów, z pozoru szczerym, a jednak skrzywionym jak w jarmarcznym lustrze. Groza zwyczajnych przedmiotów, przecucie, że wystarczy zerknąć pod skrawek odartej tapety, żeby odkryć rozwierającą się pod nią otchłań. Florencja i pożegnanie z Hanną. Rejs przez Adriatyk, w którego wodach miejsce ryb głębinowych zajęły łodzie podwodne. Akropol z widokiem na połyskujące drobnymi zmarszczkami morze. I w końcu Nisz, gdzie schroniła się resztkę serbskiej państwowości. Tu groza nie kryła się już w szczelinach widzianego. Wypełzła na powierzchnię i uwięziła w swoich mackach miasto. W wynajętych mieszkaniach i hotelach koczował tłum przerażonych uchodźców. Na szpitalnym podwórzu stos trupów obsiadło rojowisko much. Powietrze było ciężkie, zdziaczałe od strachu. Ludzie przemykali ulicami niczym duchy.

Ruch kolejowy dla cywilów został wstrzymany, Hirszfeld zameldował się więc w Ministerstwie Spraw Wojskowych i poprosił o przepustkę. Dowództwo wydało mu ją z mieszaniną zdumienia i sympatii. Jakie dziwne wrażenie musiał sprawiać samotny lekarz podróżujący wojskowym transportem w głąb Serbii. Bez sprzętu

i bez ochrony, uparty szaleniec, zmierzający ku jądry szaleństwa — do Valjeva. Na miejscu czekało prowizoryczne laboratorium, a w nim ciepłarka, statyw, kilka probówek i skromny wybór odczynników — całe wyposażenie, przy pomocy którego miał mierzyć się z epidemią.

W szpitalu, do którego trafił, nie przestrzegano zasad kwarantanny. Nie rozdawano leków, nikt nie doglądał pacjentów, nie karmił ich ani nie poił. Brakowało lekarzy i pielęgniarek, bo większość powaliła zaraza. Sale pełne były krzyków majaczących chorych. Od czasu do czasu ktoś zrywał się z pośłania i biegł do miasta, siejąc panikę wśród zdrowych mieszkańców. Kilku nieszczęśników wpadło w ten sposób do rzeki i utonęło. Hirszfeld zdał sobie sprawę, że nie pokona duru przy pomocy ciepłarki i paru probówek, sięgnął więc po jedyną broń, jaka mu pozostała: swoją charyzmę i umiejętność organizowania ludzi.

Dziś wiemy, że sprawczyni bałkańskiej epidemii, tlenowa pałeczka *Rickettsia prowazekii*, jest obligatoryjnym pasożytem, co oznacza, że rozmnaża się tylko wewnątrz komórek gospodarza. Oglądana pod szkłem mikroskopu, tłusta, leniwa, drzemiąca w podwójnej otoczce niczym poczwarka w kokonie, wydaje się nieszkodliwa. W końcu coś złego może uczynić człowiekowi stworzenie, którego DNA koduje niespełna tysiąc białek, czterdzieści razy mniej niż potężny ludzki genom? A jednak owa mikroskopijna istota jest zdolna momentalnie zmienić się w bezwzględного zabójcę – atakuje cicho, szybko i skutecznie. Powala swoje ofiary w ciągu paru dni, zabija co czwartego chorego. W niekorzystnych warunkach potrafi przyciąć się i trwać długie tygodnie w oczekiwaniu dogodnego momentu do ponownego ataku. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy Valjeva czuli się bezradni wobec takiego najeźdźcy.

Kiedy Hirszfeld docierał na Bałkany, szczep wywołujący dur plamisty nie został jeszcze odkryty. Niewiele też wiadano na temat epidemiologii samej choroby poza publikacją przyszłego noblisty, francuskiego bakteriologa Charlesa Nicolle'a, według którego nosicielami zarazy miały być wszy. Nicolle dowodził, że chore insekty wydalają bakterie z kałem i wymiocinami, a jeśli człowiek rozdrapie ukąszenie, mikroby wnikają do organizmu przez uszkodzenia skóry, po czym atakują serce, układ nerwowy, płuca i nerki, doprowadzając do skrajnego wycieńczenia organizmu.

Walka z wszawicą była jedynym sposobem na okiełznanie plagi. W całym kraju brakło jednak siarki i aparatów do odkażania, a problem znacznie poważniejszy niż niedobory sprzętu stanowiło przełudnienie i brak organizacji personelu medycznego. W umierającym Valjevie każda z misji lekarskich działała osobno, podejmując wysiłki w chaotyczny, nieprzynoszący rezultatów sposób. Kampania przeciw epidemii musiała rozpocząć się od zjednoczenia miejscowych lekarzy. Pozostawało tylko ich o tym przekonać.

Hirszfeld zwołał zebranie, które zamierzał otworzyć wykładem naukowym. Stanął naprzeciw bladych, zrezygnowanych twarzy i zdał sobie sprawę, że jedno nieuważne słowo może spowodować, iż ci wycieńczeni, doprowadzeni na skraj załamania ludzie nie zechcą go słuchać. Rozpoczął cicho, powoli nabierając śmiałości. Nikt mu nie przerywał i w miarę, jak mówił, napięcie w sali powoli zelżało. Kiedy skończył, zaległa cisza. Dopiero po chwili podniósł się szmer przybierających na sile głosów. Być może zgromadzonych ujęła niezwykła osobowość i siła bijąca od prelegenta. Zapewne działał tu również jego szwajcarski autorytet, dość że reakcja na wykład była niemal owacyjna, a propozycję zjednoczenia wysiłków i projekt metodycznego odkażenia miasta przyjęto z entuzjazmem.

W istocie plan Hirszfelda graniczył z szaleństwem. Dezynsekcja miasta, w którym cywile i wojskowi, zarówno serbscy, jak i austriacy, tłoczyli się po hotelach i spelunkach, czasem przypominających zwykłe nory, pozbawione drzwi i szyb w oknach, wydawała się zadaniem nie do wykonania. Mimo to sprowadzono półtorej tony siarki, przeszkolono pięćdziesięciu sanitariuszy i rozpoczęto pracę. Dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu, każdy z czterech tysięcy obywateli Valjeva musiał poddać się odwszawianiu. Nie jest jasne, do jakiego stopnia te działania rzeczywiście przyczyniły się do opanowania sytuacji, fakt jednak, że fala epidemiczna zaczęła powoli opadać.

Hirszfeld zorganizował prowizoryczne, przenośne laboratorium w samochodzie, którym objeżdżał misje lekarskie i badał konkretne przypadki, szukając możliwej szczepionki. Jednocześnie prowadził cykl wykładów o chorobach zakaźnych. Po kilku miesiącach dołączyła do niego Hanna, która nie potrafiła znieść bezczynności w neutralnej Szwajcarii. Przez długie tygodnie oboje wiedli obozowy tryb życia, ratując umierających w szpitalach polowych. Choć nie udało im się opracować szczepionki, wspólnie odkryli dwa pokrewne szczepy duru plamistego: dur rzekomy A i C.

Dyżury w szpitalu wojskowym nie polegały tylko na podawaniu odpowiednich leków. Trzeba było nieustannie obserwować zarówno personel medyczny, jak i samych chorych, żeby ograniczyć przemoc i nagminnie powtarzające się kradzieże. Hanna zrywała się na obchód kilka razy w ciągu nocy. W dzień nie pozwalała sobie na najkrótszy odpoczynek. Hirszfeldowie kupowali mleko i owoce, żeby rozdawać je cierpiącym na szkorbut jeńcom austriackim. Oprócz duru Valjevo gnębiła malaria i inne podzwrotnikowe choroby o nieznanym epidemiologii. Co jakiś czas któryś z lekarzy zarażał się i umierał, reszta żyła w niepewności, którą znieść pozwalała tylko wytężona

praca. „Nie było w tym wykwintu kliniki szwajcarskiej” – napisał Ludwik. – „Ale grała w nas jakaś potężna nuta współpartnerstwa. Ani przez chwilę nie żałowaliśmy dobrowolnie porzuconych pałaców szwajcarskich”.

Latem 1915 roku zaraza wygasła. Jednocześnie sytuacja na froncie uległa zmianie. Do ofensywy państw centralnych przeciw Serbom dołączyła Bułgaria. Hirszfeldowie zdecydowali się na ewakuację i ruszyli szlakiem przez Bałkany ku bezpieczniejszym rejonom Europy. Wiele lat później oboje mieli znowu zmierzyć się z epidemią duru, tym razem w getcie warszawskim.

Autobiografia Hirszfelda nosi przewrotny tytuł *Historia jednego życia* – przewrotny, bo z powodzeniem mogłaby zmieścić nie jedno, lecz kilka żywotów. Opowieść o szczęśliwych latach wytężonej pracy, odkryciu grup krwi, czynnika Rh i wyjaśnieniu mechanizmu konfliktu serologicznego przeplata się w niej z kroniką mrocznych czasów, które naznaczyły dwie wojny światowe, getto, śmierć córki oraz stalinizm. W 1956 roku Hanna sportretowała męża we wspomnieniu *Ludwik Hirszfeld*. A w 2019 roku książka *Hirszfeldowie, zrozumieć krew* otrzymała nominację do Nagrody Literackiej „Nike”.

Bałkański epizod z życia Ludwika i Hanny biografowie zwykle traktują skrótowo. W końcu stanowi tylko preludium dalszej opowieści. Zatrzymałam się na nim, bo ożywił obraz lat, które spędziłam w laboratorium i porzuconej pasji, do której tęsknię i tęsknić pewno będę zawsze. Chciałam przyjrzeć mu się dokładniej. Kiedy jednak zaczęłam gromadzić materiały, dotarło do mnie, że czytam je inaczej, niż robiłabym to zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Nie spodziewanie zdarzenia, które wydawały się odległe i niemal tak mało realne, jak opisywana przez Prokopiusza zaraza Justyniana,

nabrały wyrazistości i mocy. Historia zaczęła mnie dotyczyć. Zaczęła dotyczyć nas wszystkich.

Jeszcze niedawno, uzbrojeni w szczepionki, inhibitory polimeraz, neuraminidazy i antybiotyki, przekonani, że światowe kataklizmy należą do historii, która już nigdy nie miała się powtórzyć, słuchaliśmy opowieści o epidemiach z bezpiecznego dystansu, jaki dawała wiara w nowoczesną medycynę. Jakże kruchą wydaje się dziś nasza maleńka stabilizacja. Wobec pandemii koronawirusa, przymusowej izolacji, zmian klimatycznych i globalnego kryzysu objawiają się dawno zapomniane lęki, a świat stał się nagle znacznie większy i nieporównanie groźniejszy niż kiedyś.

Pojawiliśmy się na Ziemi zaledwie dwieście tysięcy lat temu i szybko uznaliśmy się za jej władców. Tymczasem miliardy lat wcześniej skolonizowali ją już inni i pozostaną na niej, kiedy ostatni ślad po lekkomyślnym człowieku zniknie z powierzchni planety. Zakwitną łąki, rozrosną się lasy, powstaną nowe gatunki. Ziemia otrząśnie się, zregeneruje i potoczy dalej swoim jednostajnym trybem, a z nią mikroskopijne istoty, niepomne tragedii czy radości.

„I do mnie zbliża się kres. Więc wspominam, że byłem nie tylko biernym ogniwnem, drobną cząstką odradzającego się życia, liściem przeznaczonym na pożarcie. Ale że znałem również dumę i rozkosz dawcy. Chcę wyrazić przebaczenie światu. Boże, przebaczam Ci ten świat, jak się przebacza kobiecie gwoli jej piękna” – napisał Ludwik Hirszfeld w posłowie do autobiografii i jego słowami warto zamknąć ten krótki tekst.

Jan CZOCHRALSKI

1885 Kcynia — 1953 Poznań

Chemik, metaloznawca, samouk. Urodził się w rodzinie stolarza, ukończył seminarium nauczycielskie, ale nie uzyskał matury. W 1901 roku wyjechał do Berlina. Był asystentem Wicharda von Moellendorffa. Razem opublikowali pierwszą pracę z zakresu krystalografii metali. Największym osiągnięciem Czochralskiego była opisana w 1916 roku metoda wyciągania materiału krystalicznego z roztopu, zapewniająca stabilną krystalizację metalu na powierzchni zarodka. Po śmierci Czochralskiego jego metoda stała się podstawową technologią produkcji materiałów półprzewodnikowych z krzemu na całym świecie. Współpracował zastępczy bezcynowy stop łożyskowy, zastosowany w kolejnictwie. Był jednym z założycieli Niemieckiego Towarzystwa Metaloznawczego. W 1928 roku zrezygnował z pełnionych w Niemczech funkcji i na zaproszenie Ignacego Mościckiego przyjechał do Warszawy. W 1929 roku otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki War-

szawskiej, tam też był profesorem i wykładowcą. Zarzucano mu interesowność i proniemieckie sympatie. Podczas okupacji, wykorzystując dobre stosunki z Niemcami, zorganizował na terenie uczelni Zakład Badań Materiałowych pracujący na potrzeby władz okupacyjnych i Wehrmachtu; równocześnie działała w nim tajna komórka AK produkująca części broni. Czochralski ochronił wiele osób, zatrudniając ich w zakładzie. Po wojnie został oskarżony o kolaborację, cztery miesiące spędził w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim. Dzięki zeznaniom świadków został oczyszczony z zarzutów. Senat uczelni wykluczył go jednak z grona profesorów. Czochralski powrócił do rodzinnej Kcyni, założył firmę „Bion”. Rewizję UB przypłacił zawałem. Rok po jego śmierci zespół naukowców skonstruował pierwszy tranzystor z krystalu krzemu otrzymanego metodą Czochralskiego, rozpoczynając tym samym żywiołowy rozwój elektroniki na całym świecie.





Piotr Siemion

Pisarz, prawnik, uczestnik wrocławskich ruchów kontrkulturowych. Od 1988 mieszkał w USA i w Kanadzie, od 2000 w Radości. Z wykształcenia anglista (absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, w 1994 obronił doktorat na Columbia University w Nowym Jorku) i amerykański prawnik (studia prawnicze na Columbia University). Pracował w kilku uczelniach. Debiutował jako tłumacz (Nagroda „Literatury na Świecie” za debiut przekładowy prozą, 1986). Na emigracji współpracował z pismem *BruLion*. W 2000 roku debiutował jako powieściopisarz (*Niskie Łąki* zostały uznane za najciekawszy debiut roku). Powieść *Finimondo* ugruntowała jego pozycję. W 2015 roku ukazał się *Dziennik roku Węża*. Obecnie kończy powieść roboczo zatytułowaną *Bella Ciao*.

Intruzje

Jest wczesny poranek, rok 1953. Gabinet na piętrze poznańskiej willi. Gdyby potraktować to pomieszczenie naukowo, spojrzeć na nie jako na pojedynczy sześcienny kryształ wypełniony jasnym światłem, oko badacza pod matrycą radiomikroskopu wykryłoby w jego strukturze trzy domieszki — zanieczyszczenia, które zaburzają idealną symetrię monokryształu. Pierwsza z tych intruzji to drab w skórzanym płaszczu, który jedna po drugiej wyciąga książki z regału, przetrząsa ich strony i odrzuca kolejne tomy na parkiet. Intruzja druga ma postać pryszczatego ejbra, który, odziany w kusą marynareczkę, rozsiadł się na biurku i od niechcenia stuka w mahoń kolbą tetetki. Domieszka trzecia leży na podłodze, twarzą w dół. Dłonie trzyma zaplecione na karku, tak jak kazali.

— No, to jeszcze raz, tylko grzeczniej. Nazwisko? — dochodzą z góry słowa pryszczatego.

Leżący, siedemdziesięciolatek, ma bieluteńkie włosy. Kazano mu się położyć twarzą do podłogi i poparto rozkaz mocnym pchnięciem, więc leży. Ponaglony, przekrzywia głowę i słabym głosem powtarza:

— Jan Czochralski. Profesor... Jan... Czochralski...

— Bardzo ładnie, Czochralski. Urodzony gdzie?

— W Kcyni. W metryce jest Exin — dodaje leżący chyba zbyt prędko, jak gdyby chciał mieć za sobą tę część przesłuchania. Tajniak zaciekawia się.

— Proszę... Exin, tak? Nie po polsku. Zameldowany na stałe, gdzie? No? W ludowej ojczyźnie każdy musi mieć meldunek.

— Kcynia... Tam, gdzie urodzenie.

Tajniak cmoka, chyba rozczarowany tą odpowiedzią.

— Wasza narodowość? — rzuca.

Czochrański nieruchomieje. Kiedy leży, czuje okropne drętwienie w lewej ręce. Brakuje mu oddechu. Gdyby kazano mu wstać i tak nie dałby rady. Swoją drogą, dobrze, że był już ubrany, kiedy pod dom zajechał czarny citroen, z tych, których trzeba się bać. Ha, zawsze miał zwyczaj wstawać wcześniej.

— Narodowość? — napiera tamten, a kolejna gruba księga trzaska o parkiet, aż pęka jej ozdobny grzbiet.

— Rozmawiamy po polsku przecież, więc... — w jego głosie drży błagalna nuta. Wreszcie wykrztusza: — Polska.

— Polska, mówicie?

— I niemiecka — dopowiada stary niechętnie.

— To jaka w końcu ta narodowość? — zaciekawia się ten, który powyrzucił książki z szafy. — Zdecydujcie się. Bo książki to same niemieckie posiadacie.

— Polska i niemiecka... — Czochrański urywa, bo co tu tłumaczyć? Urodził się w Exin. Pod Brombergiem, który nie był wtedy jeszcze Bydgoszczą. W Cesarstwie Pruskim. Ale w domu mówiło się po polsku, choć oczywiście po niemiecku też umiał od dziecka. Jako apteczny parktykant obsługiwał klientów po niemiecku, po niemiecku studiował w Berlinie. W tymże Berlinie, w niemieckim żywiolo, on, Jan (nigdy Johann czy Hans), z biegiem lat doszedł do naukowego mistrzostwa, za którego sprawą wiele lat później pan prezydent Ignacy Mościcki — sam także przecież chemik — zaproponował mu profesurę na Politechnice Warszawskiej. W odrodzo-

nej po zaborach Polsce. A profesura oznaczała także, samoistnie, polskie obywatelstwo.

— Właśnie. Zdecydujcie się — kpiąco podchwytuje typ w marynarcze. — Już mniejsza, że wojna, szwabskie bestie kraj nasz spustoszyły, więc wstyd się przyznawać. Ale też, tak po ludzku... Polak czy Niemiec? Bo to różnica. Nie można być sobie wygodnie pomiędzy, trochę tu, trochę tu — dodaje, na próbę przydeptyjąc dłoń Czochralskiego. — Bo to wbrew naturze, dobrze mówię?

Ból w zdeptanych, artretycznych palcach trwa jak biały błysk.

— Jesteśmy w ludowej Polsce, dziadku, nie w żadnej Rzeszy. Jest wojna. Tak, nadal jest wojna, i każdy musi wybierać! Jasne? — Tajniak odstępuje, a Czochralski przyciska do ust rozgniecione palce. — Temu krajowi potrzeba jedności, a nie trochę tego, trochę tego. Inaczej gównu tutaj będzie, imperialistyczne gównu, nie komunizm.

Tajniak znów przygniata butem dłoń starego i znudzonym głosem ciągnie pogadankę:

— I to się już nie zmieni, nie myślcie sobie. A dlaczego? Bo komunizm to stal, najczystszy z czystych metal!

Czochralski bezwiednie, chociaż to ostatnia rzecz, na jaką może sobie pozwolić, zaczyna bezgłośnie chichotać.

— Temu co znowu? — dziwi się drugi tajniak znad książek. — Oszalał? Dowal mu.

Czochralski chichocze, bo — co dla chemika, jak on, jest jasne jak słońce — stal nie jest bynajmniej „czysta”. Stal to stop żelaza i węgla, dodatkowo z innymi domieszkami, które stal uszlachetniają. Siłą powstrzymuje kolejny paroksyzm śmiechu, bo ideologia wbita w głowy tych nieproszonych gości jest prostacka. Nienaukowa, wbrew wszystkiemu, co twierdzą w gazetach o materializmie dialektycznym i takich tam! „Jest wojna”? Wojna, która potrzebuje stali? Tak myśla-

prostacy. On, Czochralski, wie, że wojna to moloch wszystkożerny. Oprócz stali żywi się benzyną, kordytem, miedzią, cyną. Wojna to wielka przemiana: transformacja rudy w żelazo, żelaza w stal...

Wojna to jednak przede wszystkim ruch, wymiana, przemieszczanie się milionowych armii, milionowych ton ładunku na berlińskich placach rozrządowych. Wojna to logistyka, wojna to przemieszczanie się mas. Do tego potrzebny jest transport, krwiobieg linii kolejowych od fabryki i koszar na front. Ententa, sojusz przeciwny Prusom na czele ze zdradziecką Anglią, wiedziała o tym. Aby unieruchomić Wielkie Niemcy, wroga koalicja zablokowała więc dostawy cyny. Ten metal był niezbędny w każdym łożysku tocznym. Łożyska są po dwa na każdą oś kolejowego wagonu, po dwadzieścia cztery na każdą armatę. Łożysk potrzeba miliony w każdym roku wojny i pokoju. Czyżby koniec? Gdy cała pruska maszyneria wojny zagroziła zamarciem, pewien szary inżynier z AEG, niedouk o niemożliwym nazwisku — on, Czochralski — przedstawił zrozpaczonemu intendenturowi swój wynalazek. *Metal B*. Mieszaną pospolitego ołowiu z wapniem, sodem, litem i śladami glinu. Stop, który był tańszy i bardziej wytrzymały od niedostępnej cyny. Do zastosowania w każdziuteńkim łożysku i w każdej maszynie. Rzec podchwycono bez wahania, a wówczas koła wojny znowu potoczyły się płynnie, choć kto mógł przewidzieć kapitulację w 1918 roku?

Tym inżynierem był on, Jan Czochralski. Po wojnie już nie wasserpolak, już nie pomocnik aptekarza z Krotoszyna, tylko uczony metalurg, właściciel patentów na metal B i nie tylko, osobisty znajomy prezydenta Hindenburga i gość Henry'ego Forda. Wszystko, co się mu przydarzyło w latach po pierwszej wojnie, zawdzięczał metalowi B. A ten był stopem. Stopem, czyli harmonijną mieszaniną różnych substancji, mieszaniną perfekcyjną, jedyną w swoim rodzaju. Bredzenie o „czystości” Czochralski słyszał od zawsze, i w szkole,

i w chorych przemówieniach Herr Kanclerza Hitlera. Przyjmował je ze wzruszeniem ramion. Nie chodziło tylko o prawdę naukową. Sam też od zawsze czuł się takim stopem. Gdyż najważniejsze są inkluzje, domieszki, wtrącenia. Wierzył w to nawet teraz, leżąc plackiem na podłodze swego poznańskiego gabinetu z nosem rozpląszczonym w labiryncie parkietowych słoików.

Mniejszy z tajniaków zapalił śmierdzącego papierosa bez ustnika. Bez ceregieli strzepnął popiół na podłogę. W pokoju było czuć spaloną benzyną z zapalniczki. To woń węglowodorów aromatycznych. Są to struktury skołtunione, nieporządne. Czochralski zawsze wołał metale i kryształy.

— Zawód wykonywany? — zapytał tajniak, choć oczywiście od lat znali wszystkie dane z teczki starego. Co najmniej od czasu w piotrkowskim więzieniu, osiem lat wcześniej, kiedy wyzwoliciele chcieli z Czochralskiego zrobić kolaboranta, hitlerowskiego sługusa. Po paru miesiącach dali spokój, ale policyjnateczka została, gdzie trzeba. To akurat nigdy się nie zmienia.

— Chemik — bąka Czochralski.

— A ja myślałem, że może fabrykant? Niedobitek naszej bitwy o handel. To jak mam pisać?

— Owszem... Prowadzę w Kcyni fabryczkę. Proszki na ból głowy, płyn do ondulacji. — Czochralski wypowiadając to, powoli traci dech.

— Do ondulacji, no proszę, — Tajniak wzdycha. — A do czego nam dzisiaj te ondulacje? Żeby kobieta była jak kwiat? — pyta z przekąsem. — Burżujskie czasy i parole france minęły, obywatelu. Nasze robotnice chcecie on-du-lo-wać? Traktorzystki, może nasze murarki z MDM? Szkoda fatygi.

Większy tajniak parska śmiechem. Rzy jak koń, przez nierówne zęby. Na parkiecie przy twarzy Czochralskiego lądują drobinki śliny.

— Wybornie: fabrykant — mruczy do siebie mniejszy i skrobie w notatniku. — Wykształcenie?

Czochralski zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.

— Profesor politechniki.

— Jakiej znów półtechniki?

— Politechniki warszawskiej. I berlińskiej.

— Ja pytam, czy maturę macie, do diabła?!

— Nie. Matury nie mam — odpowiada Czochralski, a w jego pamięci powraca obraz tamtego czasu. Zatargi z nauczycielami, kary, potem tułaczka. Kcynia, Krotoszyn, Berlin. Chude lata. Nie miał matury, bo go do niej rozmyślnie nie dopuszczono. *Kein Abitur für dich, Zokralsky!* Całe życie musiał więc być eksternistą. Tym z zewnątrz. I wtedy, gdy odmówiono mu egzaminu w kcyńskim seminarium nauczycielskim, i nawet wówczas, kiedy we Frankfurcie powierzono mu wielkie laboratorium przemysłowe. Mimo braku uprawnień, całe życie badał i oswajał metale, wynajdywał nowe materiały, uczył innych...

— Bez matury. To nie chrzańcie mi o profesorowaniu — ucina tajniak i czyta na głos z innej kartki: — Ósme dziecko szewca, bez wykształcenia. Myślałby kto, że wy nasz człowiek, że z ludu. Ale nie. Fabrykant, profesor. Od rana w ładnym garniturku.

— Ależ ja jestem profesorem — prostuje z podłogi Czochralski. Krzywi się z bólu i kaszle. W ustach czuje coś, co wydaje mu się pianą. Ki diabeł? Coraz trudniej mu się oddycha. Dziwi go, że ubecy dbają o takie szczegóły życiorysu. Nominację profesorską wręczał mu prezydent Mościcki zimą 1928 roku. Ignacy Mościcki z Mostów pod Tarnowem. Premier i profesor. Brat-chemik, budujący u siebie Azoty na potrzeby Polski zbrojnej. Dla Czochralskiego pan prezydent miał podobną misję. Metale, stopy. Furaż, którym karmi się wojna

trawiąca swoim kwasem wszystko oprócz najmędrszych kruszców. Łożyska, panewki, gładzie powierzchni trących. W polskich samochodach pancernych i myśliwcach.

— Gównu jesteście, nie profesor! — rozindycza się tajniak i już nie udaje, że nie wie, kogo ma przed sobą. — Mogliście się tak tytułować do, już mówię, 19 grudnia 1945. Do uchwały senatu Politechniki Warszawskiej. W której was zde-mas-ko-wano. A za co? Za kolaborację z okupantem. Pysznie! — dodaje, chowając kołonoratnik.

— Farbowany lisek — dorzuca drugi tajniak od okna. — Zdradziście wtedy, zdradzicie i dzisiaj.

Czochralski leży bezwładnie jak wór wypełniony bólem. Lodowy skurcz promieniuje w nim spod mostka do karku, szczęki, uszu, ramion i nadgarstków. Dlatego nie próbuje nawet tłumaczyć, że okupacyjne laboratorium metali kazała mu stworzyć Armia Krajowa. Podziemie. Tak, zakład formalnie pracował dla Niemców, ale była tam podziemna produkcja dla Ruchu Oporu, przechowywało się ludzi poszukiwanych przez Gestapo... Szkopuł w tym, że wszyscy, którzy mogliby na Czochralskiego korzyść zaświadczyć, albo nie żyją, albo odsiadują wyroki polityczne we Wronkach i Strzelcach Opolskich.

— Wyśmienicie. A gdzie ukryliście walutę? — pada następne pytanie.

Czochralski nie wierzy własnym uszom. Przed wojną, zgoda, był jednym z bogatszych ludzi w Polsce, lecz wszystko spłonęło. Ocalał nowy dom w Kcyni, jakieś meble. Fabryczka przynosiła dochód, ale do kasy stała już kolejka urzędników, kontrolerów, chciwych inspektorów ludowych.

— Nie rozumiecie? Gdzie waluta?

— Panowie, ja...

— Nie wmówicie nam, że angielski wywiad płaci wam w złotychkach! Za co? Za te tajemnice wojskowe, które im usłużnie wynosicie!

Czochralski krztusi się przez zaciśnięte gardło. Za chwilę straci przytomność.

— Co, źle się czujemy? — zauważa tajniak. — Proszki „z gołębkiem” polecam. Co je tam kręcicie w Kcyni.

— Kręcili — poprawia go drugi. — Już nie będą. Spokojna twoja czaszka. — I nagle: — Zenuś, co mu jest?!

— Niech dzwonią po karetkę! Dziad jeden! — słyszy jeszcze Czochralski.

Gabinet wokół niego, sześcian światła, tężeje jak prawdziwy kryształ. Labirynt podłogowych słojów rozplywa się przed jego oczami na wszystkie strony, sięga swoimi zwojami po krańce wizji, wiruje aż do bólu w oczodołach. W tym ułamku chwili Czochralski chwytą jeszcze raz trop tamtej myśli. Tajniacy, którzy po niego — mieszańca! element niepewny! — przyszli, robią to w imię rzekomej Jedności. To samo co do joty wbijała mu do głowy wojenna propaganda podczas obu wojen. Jedność! Wspólny wysiłek! Czystość intencji — jak czyste są monokryształy otrzymywane według „metody Czochralskiego” odkrytej i udoskonalonej w 1918 roku, opatentowanej we wszystkich krajach, źródle jego bogactwa i sławy. Gigantyczne, czyste kryształy metali i reaktywnego krzemu, na które czekają fabryki zbrojeniowe i radiowe całego globu. Kryształowe oczy i panewki stawowe molocha wojny. Oto idea i oś nowoczesnego świata!

Ale człowiek nie jest monokryształem. Byłby wówczas zbyt kruchy i nieprzewodliwy. W tym sensie — martwy. Aby labirynt żył i nerwów ożył, zaczął przewodzić krew i prąd, niezbędne są intruzje. Czochralski wie to od roku 1925, kiedy odkrył, że radiowy kryształek może przewodzić prąd wówczas, kiedy znajdują się w nim niemetaliczne, mikroskopijne domieszki. Bez elementu obcego najczystszy kryształ będzie martwy. Co innego, gdy w czystym dotąd krzemie zagnieździć

tal albo german, jak podobno próbują dziś Amerykanie. Może uda się wtedy z półprzewodliwych cegiełek zbudować elektronowe mózgi wielkie jak budynki? Albo, kiedyś w dalekiej przyszłości, nosić małeńkie radiotelefony na przegubie dłoni? Albo, choć tego Czochralski nie ogarnia nawet gasnącym jak elektroda marzeniem, może uda się wówczas połączyć całą ludzkość bezdrutową siecią, niby wspólnym układem nerwowym?

— I co teraz? — szepcze zły tajniak do tajniaka. — Co będzie?

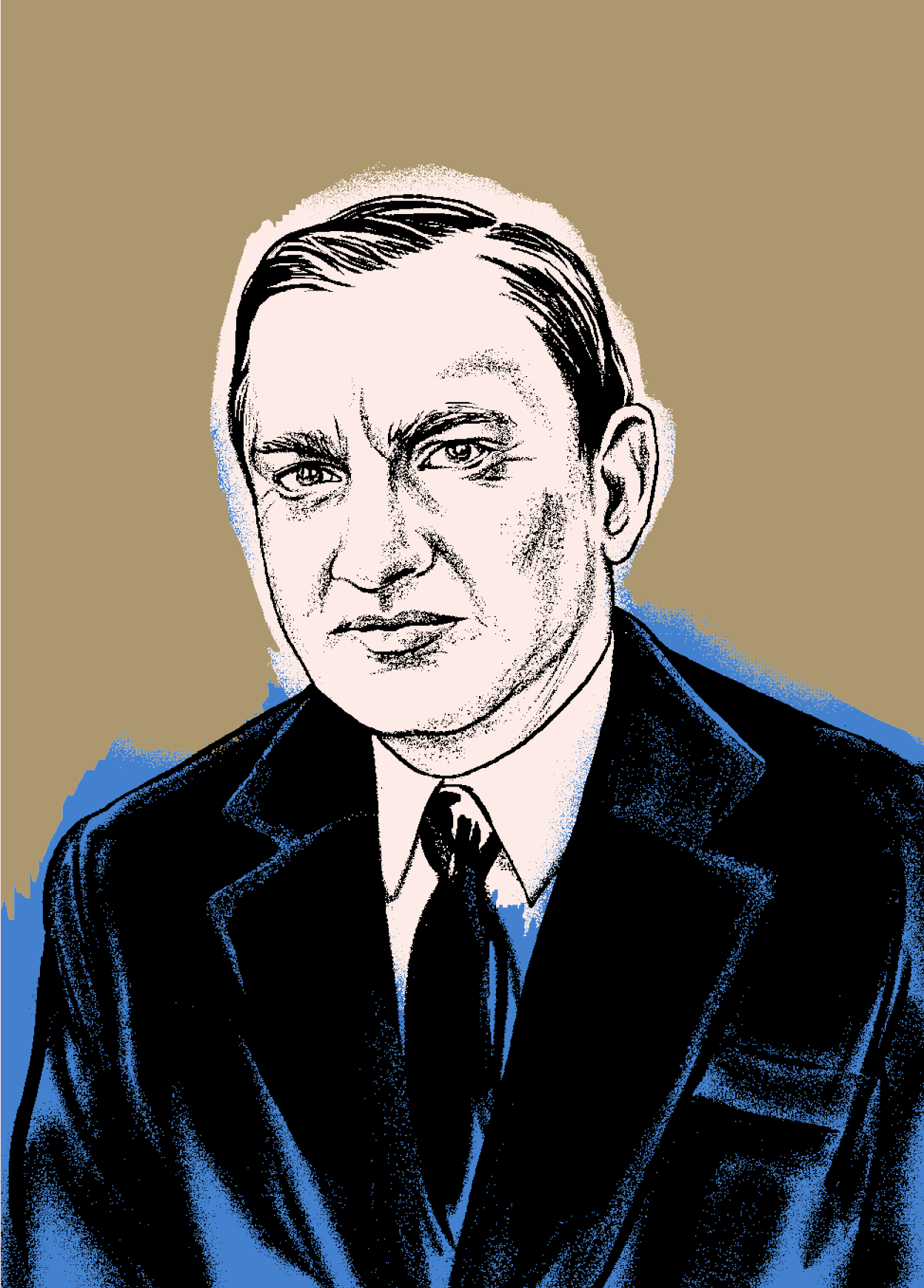
— A niech zdycha — mówi ten drugi. — Świata i tak nie zbawi.

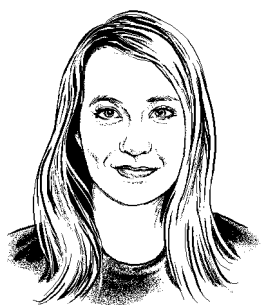
Stefan BANACH

1892 Kraków — 1945 Lwów

Matematyk, członek Polskiej Akademii Umiejętności, współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Matematycznego (1919), współtwórca lwowskiej szkoły matematycznej. Był synem żołnierza armii austriackiej i służącej. Wychowywał się w rodzinie zastępczej. Po maturze zdanej w Krakowie (1910) rozpoczął studia techniczne we Lwowie. Po wybuchu I wojny światowej wrócił do Krakowa, gdzie dużo czasu spędzał na matematycznych dyskusjach z Ottonem Nikodymem i Witoldem Wilkoszem. W 1916 roku jedną z takich rozmów przypadkiem usłyszał Hugo Steinhaus, który odkrył u Banacha wielki talent matematyczny. Dzięki wstawiennictwu Steinhausa po wojnie Banach został zatrudniony na Politechnice Lwowskiej. W 1920 roku obronił doktorat, w którym pojawiła się aksjomatyka przestrzeni, później nazywanych na jego cześć „przestrzeniami Banacha”. W 1922 roku został profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Zgromadziła się wokół niego i Steinhausa grupa młodych

matematyków. Zajmowali się głównie analizą funkcjonalną i godzinami przesiadywali w kawiarni „Szkockiej” (omawiane zagadnienia matematyczne notowali w zeszycie nazwanym *Księgą Szkocką*). Książka Banacha *Théorie des opérations linéaires* (1932) stała się podstawową monografią z analizy funkcjonalnej na wiele lat. W 1936 roku Banach wygłosił wykład plenarny na Międzynarodowym Kongresie Matematyków w Oslo. Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Lwowa Banach został dziekanem Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu im. Iwana Franki. Zasiadał w Radzie Miejskiej Lwowa. W czasie okupacji niemieckiej był karmicielem wszy w Instytucie Weigla. Poza przestrzeniami, jego imię nosi wiele twierdzeń, w tym kilka fundamentalnych. Nazwisko Banacha jest tym, które najczęściej z nazwisk matematyków całego świata, występuje w tytułach artykułów matematycznych w bazie referencyjnej *Zentralblatt für Mathematik*.





Weronika Murek

Prozaiczka, dramatopisarka, prawniczka (absolwentka Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego). Laureatka Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej (2015) za *Feinweinblein*. Za debiut prozatorski *Uprawa roślin południowych metodą Miczurina* nominowana była do Nagrody Literackiej „Nike”, Nagrody Literackiej Gdynia, Nagrody Literackiej Conrada i Paszportów „Polityki”. Otrzymała za tę książkę Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza. W 2019 roku ukazał się zbiór jej tekstów dramatycznych *Feinweinblein. Dramaty*. Za tę książkę pisarka nominowana została ponownie do Paszportów „Polityki”. Murek pisze m.in. dla „Dwutygodnika”.

Kilka liczb, kilka słów

We have happy days, remember good dinners.

Charles Darwin

1, słownie: jeden

Co można w godzinę: dostać apetytu na ananasa.

Krzysztof Kolumb bierze go do ręki, kosztuje, mówi: „o wiele słodsze niż melon”, o wiele smaczniejsze. To jedna z pierwszych rzeczy, jakie podaruje hiszpańskiemu królowi, król rzekomo uroni łzę, rzekomo powie: to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłem. Strony dzienników pokładowych wypełniają się relacjami: Gonzalo Fernández de Oviedo y Valdes notuje: wątpię, że na całym świecie znajdzie się coś wyborniejszego i o wybitniejszej aparycji niż aparycja ananasa; pióro tego nie opisze, żadne słowa nie starczą.

Siedemnastowieczną Europę zabudowują ananasarnie: szklarnie ocieplane parą. Ananasy dojrzewały w tych warunkach do dwóch czy trzech lat, pisze Jessica Kerwin Jenkins, co oznacza, że były luksusowym wydatkiem, na który mało kto mógł sobie pozwolić. Angielscy przedsiębiorcy pierwsi wpadli na pomysł, żeby wyhodowane ananasy wypożyczać: kto chciał się pochwalić, kto chciał dodać, kto chciał uczynić ze swojej kolacji kolację, o której mówiłby potem cały Londyn, mógł ananasa wypożyczyć, postawić na stole i zwrócić.

Wiele innych rzeczy można zrobić w godzinę: odczekać pranie w trybie bawełnianym, odbyć wizytę u dentysty, to wszystko można zrobić w godzinę.

Można też w godzinę przeżyć tyle, aby móc za to przeżyć następny miesiąc, 730,484398 godzin.

Godzinę dziennie karmi Stefan Banach wszy.

Jak to wygląda?

Mirosław Żuławski: wesz nienawidzi brudu.

Hodowca, jeśli chce, aby jego wszy rosły duże i mocne, jeśli chce, żeby jego wszy były zawsze głodne i zawsze chłonne pokarmu, musi dać im najlepsze możliwe warunki do życia. Byłe gdzie człowiek przeżyje, byłe gdzie nie przeżyje wesz, to jasne. A więc na początku trzeba się starać: dbać o nie jak o własne dzieci, sprzątać, wspomagać.

Mirosław Żuławski: następnie na scenę wchodzi karmiciele.

Wesz, jaka jest, każdy widzi, gorsi i lepsi są tylko jej karmiciele, a o tym, kto lepszy, a kto gorszy, decyduje wesz; ci, którzy karmią zdrowe wszy, nie są tak wysoko wynagradzani i cenieni, jak ci, którzy karmią wszy już chore.

Gdzie one są, te wszy — w płaskiej, pisze Wacław Szybalski, biotechnolog, klateczce.

Z jednej jej strony, dodaje, rozwieszona jest siateczka z gazy, w oczkach której mieściły się zaledwie wszawe głowy: ani od ust sobie odjąć, ani odwrócić głowy, wesz testowa żyje wyłącznie patrząc przed siebie.

Gdzie ona jest, ta klateczka, pisze Arthur Allen: waruje przy nodze karmiciela, zawieszona za pomocą szerokiej gumki. I to nie zawsze w liczbie pojedynczej: miewa też imię czterdzieści i cztery klateczki warujące przy jednej nodze.

Co można w godzinę: dostać apetytu na krew.

2, słownie: dwa

Co można zrobić w miesiąc: przygotować jajka tysiącletnie.

Podaję przepis: kacze jaja włożyć do przygotowanego wcześniej

roztworu gliny, niegaszonego wapna, soli, wody i herbaty. Gaszone wapno sprawi, że jaja nagrzeją się, a gdy temperatura opadnie, wokół nich powstanie twarda skórka zabezpieczająca przed zepsuciem.

Co można zrobić w miesiąc: zarobić sto złotych, które wyda się potem — pisze Arthur Allen, dziennikarz piszący o nauce i medycynie — na pięć kilo masła lub dziesięć kilo cukru. I można było zasłużyć się do tego stopnia, aby otrzymać margarynę, marmoladę lub kawałek kielbasy.

W miesiąc można wykarmić jedną wesz lub ewentualnie dwadzieścia pięć tysięcy — od wszego poczęcia aż po dojrzałość.

Lśniącą wesz to wesz, której cykl karmienia się kończy.

3, słownie: trzy

Co się wydarza w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku: restauracje francuskie zaczynają serwowanie dań w następujący sposób: według kolejności zadysponowanej przez gospodarza wieczoru i jego kucharza. Mówiąc krótko: jeśli usadzili cię przy buraczkach, cały wieczór najprawdopodobniej będziesz jadł głównie buraczki, jako że najprościej, najwygodniej będzie po nie sięgnąć. Zastosowanie zaczyna mieć zasada: w towarzystwie jesteś tym, co jesz, a jesz to, co masz przy stole najbliżej, a więc jesteś tym, przy czym cię przy stole posadzono, kropka.

Tymczasem w miesiąc zdąży się w laboratorium doktora Weigla spotkać niemal cały — pisze Szybalski — Uniwersytet Lwowski. Długi stół. Tuż przy: karmiciele. Tuż hen: biesiadnicy. Zwykle bywa na odwrót. Ci, którzy akurat nie jedzą, czytają książki. Czasami sami się posilają. Najczęściej spędzają czas na rozmowach.

Co jeszcze można robić: wychować na kolanie wesz, którą potem zarazi się bakterią poprzez, pisze Allen, mikroskop powiększający

trzydzieści dwa razy: kiedy się dobrze przypatrzeć, można wsunąć wszy w tyłek szklaną pipetę i wstrzyknąć zawiesinę, aby ją zakazić.

Zakażona trafia do kolejnej klatki i karmi się ją dalej.

Co się wydarza w latach czterdziestych XX wieku: wojna.

Przetrwać ją można, jeśli ma się иммунитет: człowiek jest wszom potrzebny, wszom nie może go zabraknąć, przyczynia się do większej sprawy. Dostaje człowiek Ausweis i Niemcy nic nie mogą mu zrobić. Korzysta z tego Zbigniew Herbert, korzysta Stefan Banach.

Ale zanim: może słówko o samym laboratorium prowadzonym przez doktora Rudolfa Weigla.

Urodzić miał się — stąd jego nazwisko — z rodziców Austriaków, wychowany został przez zastępczego ojca w kulturze polskiej. Uczył się, studiował, obronił doktorat, zaczął habilitację: prędko pokonywana ścieżka typowej kariery naukowej; zainteresowanie: zoologia; Alma Mater: Uniwersytet Lwowski.

W czasie I wojny światowej wojsko sięga po jego zdolności i wiedzę: ma pracować nad stłumieniem epidemii tyfusu, po wojnie rozwija dalej swoje laboratorium, próbuje udoskonalać opracowywaną szczepionkę na tyfus.

4.7.1941, słownie: czwartego lipca 1941

Na początku lipca rozpoczynają się aresztowania: początkowo dotyczą uczonych z Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu i z Politechniki Lwowskiej oraz ich bliskich osób czy gości. Wszyscy przewożeni są do bursy Zakładu Wychowawczego: rozpoczynają się przesłuchania, w trakcie których właściwie nie chodzi o to, aby cokolwiek udowodnić, ani nawet o to, aby ktokolwiek do czegośkolwiek się przyznał; ot, puste godziny, w trakcie których oprawcy muszą mieć co robić — kilka osób zwolniono, przyczyny: mgliste, różne.

Rankiem rozstrzelano czterdzieści pięć (45) osób.

Jakiś czas wcześniej gubernator Frank miał powiedzieć, że aresztowani po zajęciu Krakowa profesorowie jagiellońscy sprawili zbyt wiele kłopotów, na przyszłość nie aresztować, nie wywozić, rozwiązywać — mówi Frank — problem na miejscu.

Profesor Weigl rozumie: tylko pozór współpracy z Niemcami — za który to pozór potem gorzko zapłaci pomówieniami o kolaborację — pozwoli mu dalej pracować w laboratorium, pozwoli mu także dobierać sobie w nim personel, pozwoli mu na dłuższą metę ocalać ludziom życie.

4, słownie: cztery

Ilość czego jest najniższa w historii w 1946 roku: ilość dań na bankiecie noblowskim.

W dwudziestym wieku regularnie spada: w 1901 roku podawanych jest pięć dań, po 1919 roku cztery, po 1945 trzy.

Na pierwszym po II wojnie światowej podają: sandwicze, *poulet fermière*, *gâteau de pommes*, sos waniliowy, czerwone wino, sherry.

Czy Stefan Banach powinien siedzieć wśród gości? Tak.

Czy siedzi? Nie.

Czy Stefan Banach jest wśród żywych? Nie.

Ale zanim.

Stół w Szkockiej: ci, którzy przychodzą tam najczęściej i spędzają najdłuższe godziny, to matematycy pochyleni nad słynnym marmurowym stołem i zapisujący na nim ołówkami równania.

Potrąfili ponoć spędzać tak całe godziny przy koniaku, kawie, z rzadka się odzywając, jeśli już mówiąc, mówiąc rzeczy dla postronnych nieprzytomne, oderwane zupełnie od porządku dnia, czasami wybuchając śmiechem, czasami zapadając się w sobie. Żona Banacha

występuje z inicjatywą założenia grubego zeszytu, aby zapisywane na blacie równania nie przepadały pod kelnerską ścierką.

Matematyk, historyk Roman Duda w rozmowie z Mariuszem Urbankiem, autorem książki *Genialni. O lwowskiej szkole matematycznej*, powie: żadne inne nazwisko poza Euklidesem nie pojawia się w opracowaniach równie często, jak nazwisko Stefana Banacha. Lwowska szkoła stała się szkołą, w której opracowywano pojęcie analizy funkcjonalnej, pisze profesor Mazur: rok 1922, w którym Stefan Banach ogłosił rozprawę doktorską, uważany jest za przełomowy w historii matematyki XX wieku.

Dodaje: to było ugruntowanie analizy matematycznej jako nowej dyscypliny, której znaczenie jest wielkie nie tylko dla dziedziny, jaką jest matematyka, ale także dla fizyki i innych nauk ścisłych.

Czy był geniuszem? Na pewno.

Na Politechnikę Lwowską jako asystent trafia dzięki przypadkowi, kolejne szczeble kariery akademickiej pokonuje również jakby przypadkiem.

Co wiadomo o przypadku?

Że trzeba mu pomóc. Banach nie dopomaga. Robią to za niego znajomi, współpracownicy i przyjaciele.

Przypadek pierwszy: profesor Hugo Steinhaus przechadza się Plantami w Krakowie; dzień jest kwietniowy, nienajgorszy; wiatr niesie strzępy rozmów przechodniów, strzępy dyskusji tych, którzy przycupnęli na ławkach wzdłuż drogi, żeby chwilę odpocząć lub coś sobie opowiedzieć.

Dajmy na to: Stefan Banach i Otto Nikodym, studenci, przysiedli, żeby ostatecznie rozstrzygnąć kilka rzeczy pewnych i kilka wciąż mglistych co do całki Lebesgue'a.

Co myśli Steinhaus: podejdę, zagadam, zapytam.

Co robi Steinhaus: podchodzi, zagaduje, pyta: czy nie byliby panowie zainteresowani współpracą?

Banach pochodzenie ma skromne, zdolności wielkie. Matematyki i języków obcych nauczył się sam; pracował w księgarni, utrzymywał z korepetycji. I wojna światowa go ominęła: jest krótkowzroczny, zaś po przedmioty odruchowo sięga lewą ręką. Matematykę kocha, ale nie specjalnie interesuje go kariera; lubi rozwiązywać zadania dla samego rozwiązywania; to odpowiedzi przyspieszają mu tętno, nie zaszczty.

Przypadek drugi: dopomagają mu nawet jego przełożeni na Uniwersytecie Lwowskim.

W wypadach do knajp i restauracji towarzyszą od pewnego czasu Banachowi asystenci: są sumienni, są pilni, widzą i zapamiętują wszystko — chodzi o to, aby zbierać i notować każdą ideę i rozstrzygnięcie, jakie się pojawią. Stefan Banach uwielbia pracować w hałasie: kocha harmider rozmów prowadzonych przy stolikach, nawet tych rozpędzonych w noc, kiedy wraz z wypitym alkoholem nikt już wzajemnie się nie ucisza; uwielbia szcęk sztucców, szuranie przesuwanego krzesła, uwielbia cały ten gwar, który pomaga mu się skupić i dzięki któremu nachodzą go najlepsze rozwiązania.

Asystenci siedzą więc i notują, potem — w tajemnicy, bo Banach mógłby wpaść w gniew, a jeśli nie wpadłby w gniew, mógłby odradzać, a jeśli by nie odradzał, na pewno by obśmiał, a jeśli by nie obśmiał, to pewnie by w ogóle mu nie zależało — składają całość w jego pracę doktorską.

Przypadek trzeci: aby zmusić Banacha do obrony pracy, przeprowadzona zostaje intryga, w którą zamieszana jest spora liczba pracowników uczelni. Ktoś musi podejść do matematyka i poprosić go dosłownie na chwileczkę do pokoju obok, gdzie — profesor Andrzej Turowicz to zrelacjonował — ma rzekomo zastać grupę amatorów nie potrafiących uzgodnić zdania w zakresie pewnych problemów,

niewiele już im brakuje, wystarczy może lekko dmuchnąć, by pokierować zwaśnionych we właściwą stronę; jak w baśni o trzech świnkach, dom ich wątpliwości jest ze słomy, jest z drewna, jest z cegieł, wystarczy nadąć się i dmuchnąć i chuchnąć, Stefan Banach nadaje się do tego doskonale — niechże nabierze powietrza w płuca.

I idzie, i pomaga, i rozwiązuje, i odpowiada na wszystkie pytania, i tym samym — kuku! — okazuje się, że w istocie trafił nie na spór, a na obronę własnej pracy doktorskiej.

4 i ½, słownie cztery i pół

Ta historia rozpoczyna się od apetytu, więc musi ostatecznie znaleźć swoje miejsce przy stole.

Na przykład: tym w kawiarni Szkockiej. Regularnie mają spotykać się przy nim — i pić, i jeść, i myśleć — matematycy lwowscy, studenci, przyjaciele, gapie. Najbardziej oddani stołowaniu są: Banach, Stanisław Ulam, Władysław Orlicz, Stanisław Mazur; pozostawiają na blacie wzory i notatki pisane ołówkiem, pośpieszne znaki stawiane ku własnej pamięci, gdy kogoś oświeciło, gdy wpadł na rozwiązanie.

Kawiarnia Szkocka szybko staje się obowiązkowym punktem odwiedzin dla matematyków z całego świata; jeszcze zanim świat odkryje, jak wiele może się zmienić w przeciągu jednego dnia: 1 września, a Stefan Banach — co można zrobić w godzinę, por. wyżej, wyżej.

5, słownie: pięć jak w 1945

Umiera na raka płuc, na cmentarzu żegna go 16 mówców.

Roman INGARDEN

1893 Kraków — 1970 Kraków

Polski filozof, profesor uniwersytecki, członek PAU, członek rzeczywisty PAN. Studiował matematykę i filozofię we Lwowie, a od 1912 roku filozofię w Getyndze u Edmunda Husserla, pod kierunkiem którego napisał pracę doktorską. Po habilitacji został Privatdozentem, później profesorem w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W czasie wojny (1941–1944) uczył tajnie filozofii na uniwersytecie oraz matematyki w szkole średniej. Pracował nad *Sporem o istnienie świata*. Po zakończeniu okupacji wykładał w Toruniu na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. W 1946 roku przeszedł do Uniwersytetu Jagiellońskiego, dostał katedrę, ale w 1949 roku został odsunięty od nauczania ze względu na „idealizm”

i bycie „wrogiem materializmu”. Przywrócony został w 1957 roku i wykładał w UJ do emerytury. Ingarden był krytycznie nastawiony do pozytywizmu i relatywizmu. Podkreślał różnicę w sposobie istnienia wartości oraz wytworów kultury i społeczeństwa. Jest jednym z głównych przedstawicieli ontologii fenomenologicznej. Szukał drogi pośredniej między redukcyjnym fizykalizmem popularnym wśród filozofów analitycznych a idealizmem transcendentalem przyjętym przez Husserla. Opublikował ponad 200 prac, przede wszystkim w języku polskim i niemieckim. Najbardziej znane dotyczą estetyki, budowy dzieła literackiego, ale i zagadnień z zakresu ontologii, epistemologii i aksjologii.





Wit Szostak

Autor powieści, opowiadań i dramatów. Jego książki były nominowane do Nagrody Literackiej „Nike” (*Fuga*, 2012) i do Paszportów „Polityki” (*Sto dni bez słońca*, 2014). Debiutował w „Nowej Fantastyce”. Ostatnio wydał powieść *Cudze słowa* (2020). Szostak mieszka w Krakowie z żoną i trójką dzieci. Jako Dobrosław Kot publikuje teksty filozoficzne, ostatnio ukazała się *Tratwa Odysa. Esej o uchodźcach* (2020). Stopień doktora uzyskał na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (2008). Pracuje jako adiunkt w Katedrze Filozofii Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. W swej pracy magisterskiej zajmował się filozofią Romana Ingardena.

Ingarden i czas

Młody mężczyzna na pierwszym zdjęciu nigdy się nie zestarzeje.
Stary mężczyzna na drugim zdjęciu nigdy nie był młody.
Obydwaj nie umrą, choć zdjęcia można zniszczyć.

Młody mężczyzna jest czarno-biały, stary mężczyzna jest kolorowy. Ten pierwszy ubrany jest w odcienie szarości, szare oczy patrzą z szarej twarzy. Ten drugi ma granatową marynarkę, a za nim, w półcieniu, stoją na regałach książki. Do książek na fotografii nie ma dostępu, ta biblioteka jest zamknięta. Książki mają tylko grzbieity, litery są rozmyte, ogniskowa skupia się na wyłaniającej się z cienia twarzy.

Młody mężczyzna nie spogląda w obiektyw. Stoi na tle szarej ściany, która w rzeczywistości mogła być zielona, żółta lub niebieska, i patrzy nieco znużonym wzrokiem trochę powyżej obiektywu, w stronę prawej krawędzi fotografii. Jego spojrzenie nie spotka się ze wzrokiem oglądającego zdjęcia, jakby fotograf uchwycił młodego mężczyznę przypadkiem. Jednak kadr wygląda jak starannie upozowany portret, choć fotografowany jakby nie wiedział, że jego twarz zostaje utrwalona na kawałku światłoczułej błony. Stary mężczyzna patrzy uważnie w obiektyw, nie udaje, że nic nie wie o obecności fotografa. Ma lekko uchylone usta i raczej sprawia wrażenie znudzonego fotografowaniem, być może pozując już od dłuższego czasu.

Młody mężczyzna i stary mężczyzna nie ruszają się. Od wielu lat pozostają nieruchomi. Ich twarze nie zastygły, gdyż zastyga coś, co uprzednio nie jest zastygłe. Zastyga gorące, nieruchomieje ruchome. Odkąd istnieją obydwie fotografie, odkąd światło padło na odsłonięte na moment naświetlania klisze, mężczyźni trwają w bezruchu.

Stary mężczyzna z drugiej fotografii nie przypomina młodego mężczyzny z pierwszej. Dopiero dokładniejsze porównanie pozwala dostrzec pewne podobieństwo oczu i wykroju ust. Gdyby jednak ktoś nie wiedział, że te dwa zdjęcia przedstawiają tego samego człowieka, mógłby tego nie zauważyć.

Wiedza, że na obydwu zdjęciach jest ten sam człowiek, pochodzi spoza fotografii. Pierwsze zdjęcie zostało zrobione 20 maja 1916 roku w Karlsruhe. Tak głosi podpis, który nie jest częścią zdjęcia. Drugie zdjęcie zostało zrobione w roku 1960 w Krakowie i ta informacja również nie jest jego częścią. Zdjęcia te dzielą 44 lata czyjegoś życia i ponad 1000 kilometrów.

Człowiek z pierwszego zdjęcia musiał przeżyć 44 lata, żeby znaleźć się na drugim zdjęciu. I musiał przebyć drogę z atelier fotograficznego w Karlsruhe do krakowskiego mieszkania z biblioteką. I zapewne można założyć, że przemierzył dużo więcej niż 1000 kilometrów dzielących te dwa miasta. Pomiędzy tymi zdjęciami zdążył posiwieć, częściowo wyłysieć, przybrać na wadze, zmienić marynarkę o zamkniętych klapach na marynarkę o klapach otwartych, kamizelkę od garnituru na bordowy, wełniany sweter, ciemny krawat na jasny. Zdążył też ściągnąć cwikiery i ułożyć w brustaszy białą poszetkę. To wiadomo ze zdjęć. Z wiedzy, która pochodzi spoza zdjęć i jest dostępna każdemu, nawet tym, którzy nic nie wiedzą o fotografowanym człowieku, wynika też, że przeżył dwie wojny światowe. Musiał zatem wielokrotnie zmieniać ubranie, fryzurę i okulary.

Młody mężczyzna na pierwszym zdjęciu nigdy się nie zestarzeje.
Stary mężczyzna na drugim zdjęciu nigdy nie był młody.
Obydwaj nie umrą, choć zdjęcia można zniszczyć.

Człowiek, który pozował do obydwu zdjęć, dawno nie żyje. Ale jego śmierć tych dwóch nie dotyczy. Czy jednak jest to ten sam człowiek? Według wiedzy, która pochodzi spoza zdjęć, nosił cały czas to samo nazwisko, miał też tych samych rodziców i krewnych. Jako stary mężczyzna zapewne pamiętał o sobie młodym, choć być może nie pamiętał o tym, że w 1916 odwiedził fotografa w Karlsruhe; a jako młody być może wyobrażał sobie siebie starego, w garniturze i otoczeniu książek.

Obydwaj mężczyźni uchwyceni zostali przodem do obiektywu. Obydwaj nie mają pleców. Obrócenie fotografii nie sprawi, że zobaczymy ujęte kadry od tyłu. Człowiek, który w 1916 stał się młodym mężczyzną z pierwszego zdjęcia, a w 1960 starym mężczyzną ze zdjęcia drugiego, miał plecy. Miał na tych plecach koszulę i marynarkę, ale mężczyźni z obydwu zdjęć mają tylko przody. Obydwaj mężczyźni nie mają też wnętrza. Nie widać ich płuc, serc i nerek, nie widać ich myśli, wspomnień i planów. Człowiek, który dał się sfotografować w 1916, miał nerki, wątrobę i myśli, podobnie jak człowiek, który spojrział w obiektyw w 1960.

Żadna z fotografii nie mówi nam, kim był, to możemy ustalić tylko dzięki zewnętrznym opisom. Ze zdjęć wynika, że był człowiekiem dobrze ubranym i dbającym o ubiór. Mógł być urzędnikiem, dyplomatą, politykiem, a nawet wojskowym, który dał się dwukrotnie sfotografować w cywilnym stroju. Tło pierwszego zdjęcia nie mówi o nim nic. Szara ściana może być tłem dla każdego życia i losu. Tło drugiego zdjęcia wydaje się mówić więcej. Rzędy półek, woluminy

w twardej oprawie ze złożonymi grzbietami, po lewej stronie starego mężczyzny niewielka figurka, korpus nagiej kobiety bez rąk i głowy, po prawej stronie zarys stołu i oparcie krzesła, na którym mężczyzna, przechylony, trzyma łokieć. Biblioteka i antyczna figurka mogą wskazywać na zawód człowieka lub niektóre z wcześniejszych wyborów życiowych. Ale żeby to stwierdzić, trzeba byłoby z całą pewnością wiedzieć, że stary mężczyzna na drugim zdjęciu jest u siebie. Że to jego biblioteka, jego stół i krzesło. Strój starego mężczyzny nie jest domowy. Może zatem został sfotografowany przed wyjściem, na okoliczność którego założył granatowy garnitur, zawiązał krawat i ułożył w brustaszy białą poszetkę? A może fotograf zdjął ten kadr w miejscu, gdzie stary mężczyzna nie był u siebie, tylko gościł lub, czego nie można wykluczyć, pracował? Połączenie starego mężczyzny z biblioteką, choć utrwalone na zdjęciu, nie pozwala z całą pewnością stwierdzić, że biblioteka podpowie nam coś o starym mężczyźnie. Może po prostu przysiadł i dał się sfotografować.

Obydwa zdjęcia nie pozwalają uczciwie powiedzieć wiele więcej. Można dodać kilka szczegółów, doprecyzować wcześniej podane informacje i spostrzeżenia. Ale cała reszta jest domniemaniem i fantazją, którą można sztukować fragmentami historii powszechnej. Człowiek ujawniony na fotografiach ukrywa się. Jest starym i młodym mężczyzną, ale też kimś więcej i żadnym z nich. Tego człowieka już nie ma.

A może wspólne imię i nazwisko, linie papilarne, data urodzenia i zgodność wielu faktów z życia, może obecność przeżyć i wspomnień młodego mężczyzny w przeżyciach i wspomnieniach starego to za mało, by stwierdzić, że na obydwu fotografiach jest ten sam człowiek? Może czas, długie 44 lata, które dzielą obydwu zdjęcia, to zbyt potężny żywioł, by mówić o tożsamości tych dwu mężczyzn? Ile w starym mężczyźnie pozostało z młodego? Co w młodym zapowia-

dało starego? To, co dla młodego mężczyzny było teraźniejszością, dla starego jest przeszłością. To, co dla młodego było przeszłością jeszcze żywą, jak choćby chwila, zanim nacisnął klamkę atelier fotograficznego w Karlsruhe, dla starego jest co najwyżej wspomnieniem lub niewyraźną pustką po niegdyśszym wspomnieniu. Młody mężczyzna zapewne nie planuje wielu z rzeczy, które stary mężczyzna w życiu dokonał i o których mógł zwyczajnie zapomnieć. Te 44 lata łączy obydwu mężczyzn. Dla każdego z nich te lata nie istnieją. Dla pierwszego tych lat jeszcze nie ma i nawet nie wie, czy się w ogóle wydarzą, dla drugiego tych lat już nie ma.

Opis fotografii pozwala tylko stwierdzić, że pierwszą wykonano w 1916, a drugą w 1960. Dopiero opowieść, która łączy obydwie fotografie w jedną historię, dopowiada, że mężczyzna na pierwszej ma 23 lata, a stary mężczyzna na drugiej ma lat 67. Człowiek, który został na tych dwu zdjęciach utrwalony, nie jest ani młodym mężczyzną z pierwszego, ani starym z drugiego. Był młody i stary, ale był też dzieckiem, mężczyzną w średnim wieku, wreszcie mężczyzną o 10 lat starszym niż na drugiej fotografii, kiedy, niespodziewanie, umarł w roku 1970.

Człowiek, który na pierwszym zdjęciu jest młody, a na drugim stary, nigdy nie był dla mnie ani jednym, ani drugim. I to jest jeszcze inna opowieść, której nie zna ani on, ani jego rodzina przechowująca obydwa starannie opisane zdjęcia. Dla mnie był autorem książek, osobą, której nigdy nie spotkałem i którego wygląd, mimo obydwu zdjęć znanych mi od lat, nie osadził się w mojej pamięci. Przywołując jego nazwisko nie widzę ani młodego, ani starego, tylko okładki książek; przypominam sobie nie twarz, tylko idee, koncepcje i okoliczności lektury. Przywołuję osoby, z którymi o tych lekturach rozmawiałem. I niektórych z tych osób też już nie ma.

To są nie tylko pierwsze skojarzenia na dźwięk nazwiska lub widok fotografii, ale moje doświadczenia źródłowe. Przypominam sobie siebie samego, który przed laty, będąc w wieku zbliżonym do wieku młodego człowieka z pierwszego zdjęcia, czytał jego książki powstałe na przestrzeni 44 lat pomiędzy obydwu zdjęciami. I tamtego mnie też już od dawna nie ma.

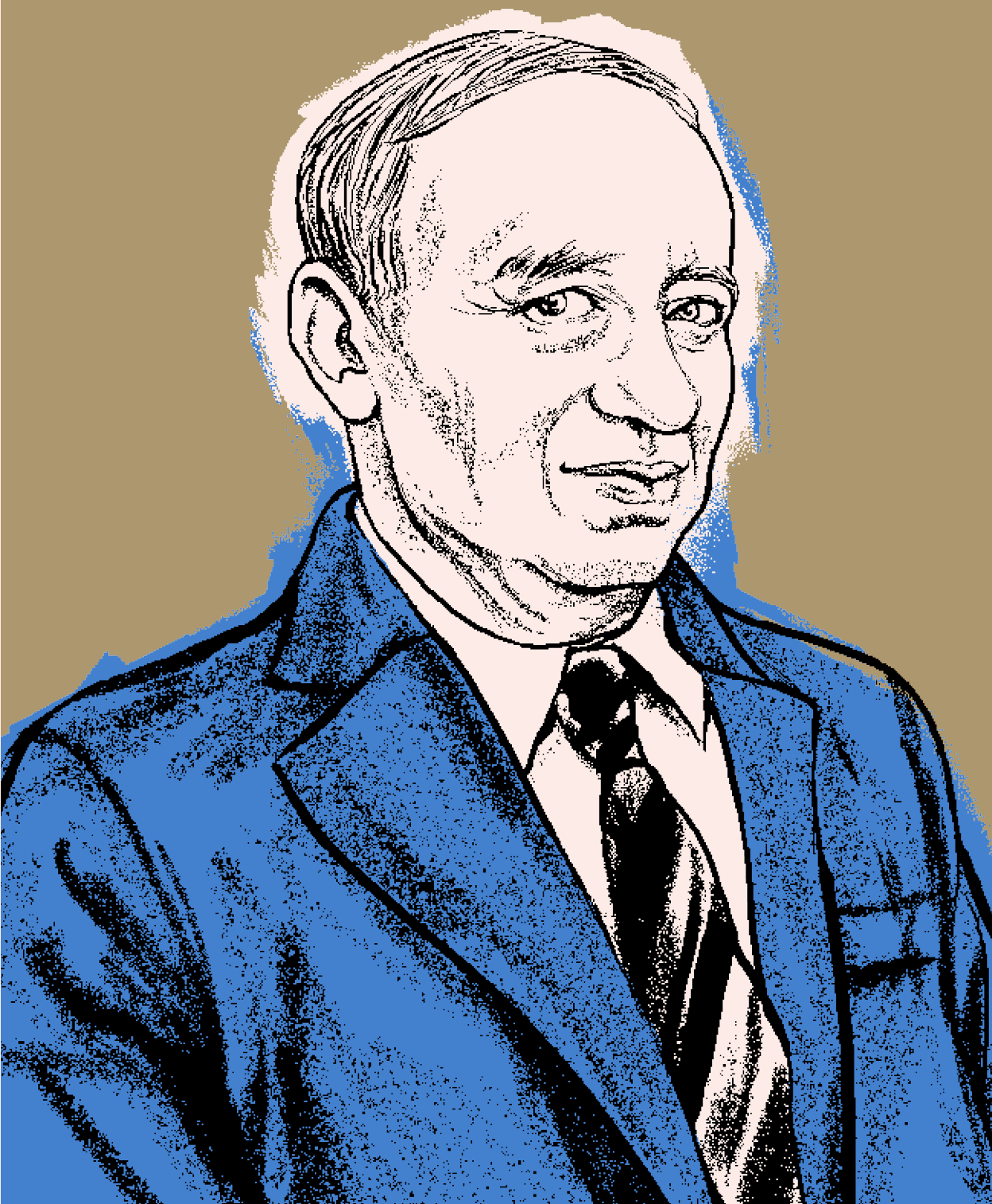
Alfred TARSKI

[Teitelbaum]

1901 Warszawa — 1983 Berkeley

Logik, filozof, matematyk, metodolog nauki, badacz semantyki języka naturalnego i języków sformalizowanych. Przyszedł na świat w spolonizowanej rodzinie żydowskiej o tradycjach rabinackich. Już w trakcie studiów filozoficznych na Uniwersytecie Warszawskim związał się z warszawską szkołą logiczną J. Łukasiewicza i St. Leśniewskiego, którą współtworzył. W 1922 roku wraz z bratem Wacławem zmienił nazwisko na Tarski. Jako docent UW (1925–1939) nowatorsko połączył elementy logiki matematycznej z semantyką logiczną, formułując pierwszą formalną i niesprzeczną wewnętrzną, klasyczną dziś definicję prawdy (*Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych*, 1933). Jego teoria tzw. modeli semantycznych wpłynęła na światowy rozwój filozofii analitycznej. Utrzymywał ścisłe związki

z lwowską i warszawską szkołą matematyczną. Dwukrotnie nie uzyskał katedry (we Lwowie konkurs wygrał Leon Chwistek, w Poznaniu konkursu z powodów rasowych nie rozstrzygnięto). Poza badaniami języków sformalizowanych, badał również podstawy matematyki, w tym geometrii, algebry i teorii mnogości (*A Decision Method for Elementary Algebra and Geometry*, 1951). Obdarzony żywym talentem towarzyskim i poczuciem humoru, przyjaźnił się z artystami (m.in. ze St. I. Witkiewiczem). Wojna 1939 r. szczęśliwie zastała go w USA, gdzie otrzymał stanowisko na California University w Berkeley. Wykształcił tam liczne grono wybitnych uczniów. Mimo politycznych utrudnień podtrzymywał kontakt ze środowiskiem naukowym w Polsce i po 1956 roku. kilkakrotnie odwiedzał kraj.





Maciej Miłkowski

Prozaik, tłumacz, krytyk literacki. Ukończył psychologię na Uniwersytecie Łódzkim. Jest autorem kilkunastu przekładów książkowych z języka angielskiego, obejmujących literaturę piękną, faktu i gatunkową. Jest felietonistą krakowskiej „Gazety Wyborczej”. Pracuje jako psycholog. Opublikował dwa zbiory opowiadań: *Wist* (2014) i *Drugie spotkanie* (2017), oba nakładem Fundacji Zeszytów Literackich, oraz powieść *System Sulta* (2019), wydaną przez Niszę. Jego opowiadania tłumaczono na angielski, litewski, niemiecki, niderlandzki, ukraiński, rosyjski i węgierski. W „Czasie Literatury” publikuje eseje o konstrukcji opowiadań. Mieszka w Krakowie.

Prawda

— Prawdę mówiąc... — odparł Tarski. — Prawdę mówiąc...
— Alfred po prostu nie chciał cię martwić — wtrącił jego brat, Wacław. — Prawda?

Prawda, pomyślał. W potocznym sensie... W potocznym ujęciu...

— Prawda — przyznał Tarski.
— No ale ja bym jednak chciała wiedzieć, gdy któreś z moich dzieci traci pracę! — zaprotestowała matka.
— A ja, Bogiem a prawdą — rzucił ojciec — już się przyzwyczyłem, że mnie się o niczym nie mówi i niczego się ze mną nie konsultuje.
— No ale co z tą pracą? — dopytywała się matka.
— Już mam obiecaną nową — powiedział Tarski. — Też w szkole. Po prawdzie, w o wiele lepszej...
— Ale co się stało właściwie?
— Donos przyszedł — powiedział Wacław. — Anonim.
— Jaki?
— Że matematyki uczy Żyd — powiedział Tarski.
— Co prawda, to prawda! — skwitował ojciec.

*Prawda, pomyślał. W ramach języka potocznego niemożliwe jest...
W ogóle nie jest możliwe...*

- Dyrektor mnie wezwał — podjął Tarski.
— I co powiedział?
— Że prywatnie jest po mojej stronie, ale, spójrzmy prawdzie w oczy, nie ma innego wyjścia, nie ma wyboru...
— No i tyleś ugrał tą swoją przebieranką! — zaśmiał się ojciec.
— Ignasiu! — przerwała mu matka.
— Ale co, nieprawdę mówię? No prawdę przecież! Niech mi ktoś wyjaśni, co jest złego w nazwisku Teitelbaum? Może któryś z dwóch panów Tarskich mi to wyjaśni, co?
— Tato, daj spokój — odparł Wacław. — Mówiliśmy już o tym...
— No mówiliśmy, owszem, mówiliśmy! A ja wam od razu mówiłem, że i tak nic wam z tego nie przyjdzie. Oni i tak was zawsze przejrzą, i tak was nigdy nie przyjmą jak swoich. Ojca się wyparliście, matki się wyparliście. I co z tego macie? Nic nie macie, taka jest prawda.

Prawda, pomyślał. Nie jest możliwe zdefiniowanie prawdy w ramach języka potocznego. Konieczne jest...

- To jakiś jeden donos, tato...
— No dobrze, jeden donos, ja rozumiem. A ty myślisz, że na mnie ile donosów w życiu napisano, co? Jak myślisz, jak często ktoś pisał... Łaskawy panie, spieszę szanownemu panu donieść, iż kupiec drzewny, Ignacy Teitelbaum, jest Żyd. Jak myślisz? No więc nigdy nikt takich donosów o mnie nie pisał. Bo na mnie nie trzeba donosić, że ja jestem Żyd. Bo ja jestem Żyd. Ot, cała prawda! I nie nazwałem się nagle Malinowski ani Wiśniewski. I żadna to jest tajemnica, że kupiec drzewny, Ignacy Teitelbaum...
— Ignasiu, już dobrze... — wtrąciła matka.
— A jak matematyki uczy Tarski... — ciągnął ojciec. — No jak ma-

tematyki uczy jaśnie wielmożny pan Tarski... A to wtedy już się robi tajemnica! I tę tajemnicę ktoś prędzej czy później przejrzy. Bo prawda zawsze na wierzch wypływa. A jak taka prawda wypłynie, jak ta prawda wyjdzie na jaw, to się wtedy donos pisze. I wszyscy nagle udają, że dopiero teraz tę prawdę odkryli!

Odkryć prawdę, pomyślał. Ująć i zdefiniować prawdę można tylko w ramach języków formalnych.

— Jest w tym ziarno prawdy — powiedział Wacław pojednawczo. — Ale zrozum, tato, że dla nas nie było innego wyjścia. Ja rozumiem, że Tarskiego mogą ze szkoły zwolnić. Ale Teitelbauma by zwyczajnie nigdy nie zatrudnili. Nie mieszkamy w Wiedniu. Nie mieszkamy w Berlinie. Tam jest zupełnie inaczej. My mieszkamy w Warszawie. Tu sytuacja jest, jaka jest. Taka jest gorzka prawda. Trzeba się do niej jakoś przystosować. — No to ty może pieniędzy potrzebujesz teraz, co? — spytała matka. — O! — zachnął się ojciec. — Na pewno! I na pewno stary Tarski ci z ochotą pieniędzy da!

— Tato, no doprawdy! — przerwał mu Wacław.

— Dobrze, dobrze... Ja już nic nie mówię!

— Nie, mam, naprawdę — powiedział Alfred. — Już mam nową pracę.

— No a co z tą katedrą we Lwowie? — spytała matka. — Co? No co tak na siebie patrzycie? Tylko prawdę mi tu mówcie!

Mówić o prawdzie, pomyślał, definiować prawdę, określać prawdę można tylko w ramach języka formalnego. Tyle tylko, że nawet wtedy...

— Nie dostałem — odpowiedział Alfred. — Sprawa zamknięta. Kto inny dostał.

- Kto? — spytał ojciec.
— Chwistek... Może to i lepiej. Z Lwowa miałbym do was daleko...
— A ten Chwistek... — zaczął ojciec.
— Wybitny uczony — odparł Alfred. — Doskonały na to miejsce.
— Ale nie Żyd? — upewnił się ojciec.
— Nie. Ale naprawdę... Trudno o lepszego logika.

W języku logiki, pomyślał, oczywiście. Ale nawet wtedy... Musiałby więc istnieć jakiś inny język, jakiś metajęzyk...

- Był jeszcze taki logik Teitelbaum! — zaśmiał się ojciec. — Z Tarskim do spółki prace pisał! No poważnie. Mam gdzieś tutaj... Teitelbaum-Tarski wyraźnie napisane...
— To też prawda — przyznał Wacław — że cię jeszcze będą kiedyś pytać, co się stało z tym logikiem Teitelbaumem, z którym kiedyś do spółki artykuły pisałeś!
— A z tym Lwowem to myślisz, że to zdecydowało? — spytała matka.
— Nie wiem, mamu. Naprawdę... — odparł Alfred. — Chwistek to wspinały logik. Sporo ode mnie starszy... Może tym się kierowali. Dla niego może już nie być następnej szansy. Ja mam jeszcze czas... Są jeszcze inne możliwości, inne obszary. Może powinienem wyjść poza logikę...

I poza logiką, pomyślał, poza formalnym językiem logiki... Na ten formalny język nałożyłoby się inny język... A wówczas w tym drugim języku...

- No tak — powiedziała matka. — Jeszcze ci dadzą gdzieś tę katedrę. Na pewno. A co u Irenki słychać?

— Prawdę mówiąc, nie wiem — odparł Tarski. — Mało mamy kontaktu ostatnio...

— Ale to już definitywnie?

— Tak, definitywnie.

— Szkoda trochę — powiedziała matka. — Lubiłam ją bardzo...

— No nie ona jedna na świecie! — rzucił Wacław.

— Mnie tu już dzisiaj wystarczająco pod stołem pokopano — zaczął ojciec. — I znowu mi się tu będzie rzucać karcące spojrzenia... No bo ja wiem, prawda w oczy kole. Ale czy to nie jest jednak trochę tak, że Irenka się chciała za Teitelbauma wydać? A za Tarskiego już jednak nie? Czy to nie jest tak, że ona się z Teitelbaumem zaręczyła, a tu jej nagle Tarskiego podstawiono? Bo ona zdaje się wołała wśród swoich ludzi przebywać. Ona się swoich ludzi nie wstydziła nigdy. Mnie się to w niej zawsze bardzo podobało...

— Mnie też się, tato, podobało... — podjął Tarski. — Ale... Spójrzmy prawdzie w oczy, nie bardzo do siebie pasowaliśmy. Dla niej całym życiem była polityka, a ja zawsze szukałem jakiejś innej, jakiegoś innego...

Innego, pomyślał. Innego języka. Obok tamtego, nad tamtym. I w tym metajęzyku można by z powodzeniem wyrokować o prawdziwości twierdzeń tego pierwszego języka. I wszelkie paradoksy nie stosowałyby się.

— Zresztą — wtrącił Wacław. — Z narzeczoną dokładnie tak samo jak ze szkołą! Już ma obiecaną nową! Po prawdzie o wiele lepszą!

— Ooo... A czy ona...?

— Polka — odparł Tarski. — Katoliczka.

— Maria — doprecyzował Wacław.

— Jezus Maria — skwitował ojciec. — Tak się chyba u was katolików

mówi, nie? Możemy spytać u źródła, bo tak się składa, że mamy dwóch katolików na obiedzie dzisiaj!

— Och, tato...

— No i dobrze może. Ja tam nie mam nic przeciwko — powiedziała matka. — Byłe moi synkowie szczęśliwi byli. Niech się żenią, z kim chcą. Niech się...

— Chrzczą! — wtrącił ojciec.

— A niech się chrzczą. Też prawda.

Prawda, pomyślał. Nie może być definiowana w ramach języka potocznego. Można ją określać tylko w ramach języka formalnego, korzystając z innego metajęzyka, którym będzie się wyrokować o prawdziwości twierdzeń tamtego. A ten metajęzyk nie będzie podlegał temu wyrokowaniu. Nie będzie orzekał o samym sobie. Nie będzie wpadał w żadne paradoksy. Jakże to proste jest.

— No i nie jest to wszystko takie proste... — podsumował Wacław.

— Na mnie już czas zresztą. Mam jutro ciężki dzień w sądzie. Muszę jeszcze trochę dziś popracować.

— A ty?

— Co ja? — spytał Alfred.

— Też się zbierasz? Też musisz popracować?

— Nie... Ja nie. Ja się już dzisiaj napracowałem.

Stanisław ULAM

1909 Lwów — 1984 Santa Fe

Matematyk, przedstawiciel lwowskiej szkoły matematycznej, fizyk jądrowy od 1936 r. pracujący w USA, uczestnik projektu „Manhattan”, współtwórca bomby termojądrowej. Potomek zasymilowanej rodziny żydowskiej, starszy brat sowietologa Adama Ulama. Studiował i doktoryzował się na Politechnice Lwowskiej (1933), ale w Polsce nigdy nie uzyskał posady. W latach 1939–1941 i po 1951 r. wykładał na Uniwersytecie Harvarda, w latach 1941–1943 na Uniwersytecie Wisconsin oraz po 1945 r. na Uniwersytecie Columbia. W 1943 r. przyjął obywatelstwo amerykańskie. Pomiędzy 1944 a 1967 r. działał w Los Alamos, współpracując z E. Tellerem nad matematycznymi problemami konstrukcji bomby termoją-

drowej. Część jego dorobku z tej dziedziny jest wciąż utajniona. Stworzył pionierskie prace z teorii mnogości, teorii funkcji rzeczywistych, topologii, teorii grup i teorii miary, opracował metodę Monte Carlo, czyli sposób wykorzystania symulacji losowych do przybliżonego numerycznego rozwiązania problemów matematycznych i fizycznych. Położył wielkie zasługi we wczesnym etapie cybernetyki, informatyki oraz matematycznego modelowania procesów biologicznych i naturalnych (m.in. meteorologii). Jako jeden z pierwszych matematyków wykorzystywał komputer w badaniach naukowych. Pozostawił znaczący dorobek naukowy, a także autobiografię *Przygody matematyka* (1976) oraz tłumaczenie *Księgi Szkołkiej* na angielski.





Łukasz Zawada

Ur. w 1984 r. w Radomiu, ukończył studia literaturoznawcze na Uniwersytecie Warszawskim, mieszka w Warszawie. Jego proza łączy w sobie krytykę współczesnej cywilizacji i sporą dawkę czarnego humoru. To piśarstwo eklektyczne, przesyccone schyłkowością, ale i specyficznym luzem. Zdarza mu się współpracować z artystami i artystkami ze sztuk wizualnych. Amator boksu tajskiego i szachów. Unika mediów społecznościowych. Jego debiut *Fragmenty dziennika SI* (Wydawnictwo Nisza, 2018) był nominowany do Paszportu „Polityki”, Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza i Nagrody Conrada. W 2021 r. w Wydawnictwie Filtry ukaże się jego druga książka – *Wydatki*.

Czerwony przycisk

Jego cokolwiek cichy udział w ukształtowaniu naszej współczesności jest imponujący, więc spokojnie można by się zamachnąć i przedstawić postać Stanisława Ulama w dziewięćdziesięciu dwóch — liczba atomowa uranu — lub dziewięćdziesięciu czterech — plutonu — malowniczych odsłonach. Analogia może naciągana, ale takich wycieczek na skraj dobrego stylu będzie za chwilę więcej. Kusi na przykład, by wcisnąć gdzieś na siłę ideę Wielkiego Wybuchu, który co prawda z tym jądrowym ma niewiele wspólnego, chyba tylko niemożliwy do przyswojenia oczami blask, ale przywodzi na myśl pokrewną wojennej malignie sytuację ekstremum, wyjątkowych warunków i skal, a zarazem chaosu, jednak nie w postaci nieładu, a raczej nieistnienia zasad, gdy nie obowiązywały jeszcze nie tylko dzisiejsze prawa fizyki, ale i stylistyki. Jednocześnie Ulam, mimo ogromnej głowy, we wspomnieniach przyjaciół i własnych sprawia wrażenie wyluzowanego gościa, nie będziemy się więc z góry napinać, zobaczymy po prostu, ile swobodnych spostrzeżeń się tutaj zmieści.

Pierwsze z brzegu, nazwa „Los Alamos”, a właściwie jej brzmienie. Nazwa hrabstwa w Nowym Meksyku i niewielkiej jednostki osadniczej na odludziu w Górach Skalistych, w pobliżu której znalazło swoją siedzibę Narodowe Laboratorium Los Alamos powołane w pośpiechu w celu stworzenia broni jądrowej podczas II wojny, a gdzie Stanisław Ulam spędził z przerwami ponad dwadzieścia lat,

większość kariery naukowej, z perspektywy polskiego ucha brzmi jak zakłęcie, słowa modlitwy, tytuł horroru klasy B lub miano meksykańskiej oberży. Druga rzecz: kulisty rdzeń rozszczepialny w otulinie materiału wybuchowego, niewinna, kojarząca się wszak z asekuracją i miękkim lądowaniem, nadęta czasza spadochronu z podczepioną kapsułą, nagły wykwit drugiego słońca na odległość rzutu kamieniem, sferyczne tsunami spienionej Coca-Coli (tyle że absolutnie białej, potem srebrnej, złotej, purpurowej, fioletowej, brązowo-burej), zagarniające pustynny, atolowy lub miejski krajobraz, aberracja jakby spóźnionego dźwięku, burczenia rozdzierającego się nieba, trzęsienie ziemi, jej oskórowanie i woń zgrillowanego po horyzont powietrza, przy której schować się może zapach napalmu o poranku — to są wszystko bardzo zmysłowe sprawy. Żaden człowiek nie był wcześniej świadkiem niczego równie spektakularnego. Po trzecie, chyba najwyższe w historii nasycenie inteligencją na metr kwadratowy. Niels Bohr, James Chadwick, Otto Stern, Eugene Wigner, Felix Bloch, Maria Goeppert-Mayer, Hans Bethe, Enrico Fermi, Richard Feynman, Max Born, Robert Oppenheimer... Projekt „Manhattan” to kwiat fizyki i chemii, koktajl sterydów z Niemiec, Włoch, Węgier, Danii, Stanów, Kanady, uchodźcy i miejscowi, wszystkie ręce na pokład. Pośród nich Ulam, bez kompleksów, wkręcony tu przez innego giganta, Johna von Neumanna. Obecny, a zarazem nieobecny, spoglądający na inżynieryjno-fizyczny konkretny z dystansu matematycznych abstrakcji, jakby unoszący się nad kampusem laboratorium na paralotni czy innym parasolu. Niemniej jego obliczenia z zakresu hydrodynamiki i procesów gałęzkowych powielania neutronów popychają prace do przodu. Niewielu cechuje wyobraźnia pozwalająca przekraczać granice właściwej im specjalizacji, on miał tę umiejętność. Po czwarte, dziesięcioletni żydowski chłopak we Lwowie lat dwudziestych XX wie-

ku. Sam z siebie sięga po broszury o astronomii i algebrze, dziwne symbole mieszają się jeszcze z dziecięcymi fantazmatami. Pięć lat później czyta traktaty o różniczkowaniu, teorii mnogości, teorii liczb — lekcji matematyki nie lubi, za suche, woli na własną rękę — a także kanon filozofii i literatury. Grywa w szachy, brydża, pokera, tenisa i piłkę nożną. Już na studiach, będąc równolegle najmłodszym uczestnikiem legendarnych spotkań w kawiarni Szkockiej, ostatecznie przedłożył matematykę nad inżynierię, najchętniej matematykę czystą, wsłuchując się w słowa Stefana Banacha, w myśl których zdolni dostrzegają analogie między twierdzeniami lub teoriami, ale najłepszy widzą analogie między analogiami. Na posadę profesorską w Polsce nie będzie miał szans z racji hulającego antysemityzmu. Kolejna migawka: po kilku latach niby ten sam człowiek, ale powoli chyba już bardziej Amerykanin niż Polak. Zza szyby oceanu obserwuje zagładę tamtego świata i swojej rodziny. Ocalał młodszy brat, Adam, w ostatniej chwili ściągnął go do Stanów. Inny obrazek: Ulam robi sobie jaja, ku uciesze postronnych intonuje *Annuntio vobis gaudium maximum, papam habemus*, gdy do laboratorium przybyć ma Enrico Fermi, z racji nieomyślności sądów przezywany papieżem. Jeszcze inny: z nudów, w czasie rekonwalescencji po dziwnej zapaści o objawach zbliżonych do udaru, układa pasjansa. Jest rok 1946. Chciałby trochę pooszukiwać, jeśli to trafne słowo. Powiedzmy, że wpada mu do głowy pytanie: czy możliwe jest sformułowanie wzoru, za sprawą którego da się jednoznacznie oszacować prawdopodobieństwo ułożenia danego pasjansa? Nie bardzo, bo istnieje zbyt dużo zmiennych. Jeżeli jednak ułożyć odpowiednio wiele pasjansów, naprawdę wiele, i użyte wyniki ująć statystycznie, można niejako empirycznie uzyskać upragnione rozwiązanie. Jeśli problem jest wystarczająco złożony, próbowanie okazuje się lepszym sposobem niż aprioryczne badanie

wszystkich łańcuchów możliwości. Z czasem nadaje tej „siłowej” metodzie nazwę „Monte Carlo”. Przydaje się przy jego dalszych pracach odnośnie kapryśnych zachowań neutronów w substancjach zawierających pierwiastki rozszczepialne — to znaczy przy konstrukcji bomby termojądrowej. Przydaje się i dzisiaj w kontekście symulacji komputerowych (od epidemiologii po rynek nieruchomości), sztucznej inteligencji, różnorodnych wyzwań, gdy trzeba stosunkowo niskim kosztem obliczeniowym oszacować wynik z przyzwoitą dokładnością. Z innej beczki: gry i zabawy w Los Alamos. Tudzież izolacja i stres. Poza sztandarowymi pokerem i pijaństwem baseball, wędkowanie, jazda na nartach — oczyszczają stok z drzew za pomocą materiałów wybuchowych — trekking, gra na pianinie, taniec, obżarstwo, seks, kłótnie małżeńskie, polowania na antylopy i tarantule. Następny pejzaż: wspaniałe szafy liczące, komputery pierwszej generacji, monstrualne ENIAC i MANIAC, a także wieloletnia przyjaźń z Johnem von Neumannem, który wymyślił podwaliny architektury pecetów. Owe dwie maszyny umożliwiły Ulamowi praktyczne wykorzystanie wspomnianych „siłowych” metod obliczeń (został głównym programistą MANIAC-a, używanego zwłaszcza, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, przy rozgryzaniu koncepcji bomby termojądrowej). Bez wkładu całej czwórki nie zaistniałyby pewnie smartfony, co może akurat wcale nie byłoby złe. Nie wydarzyłyby się także, po dziesiąte, lot na Księżyc. Podobno na początku lat sześćdziesiątych doradca Johna F. Kennedy’ego zapytał Ulama o przedsięwzięcia, które powinien poprzeć prezydent, a ten zarysował perspektywę, oczywiście nie tylko on, wyprawy na srebrny glob. Po jedenaste, reakcje naukowego grona po próbnej detonacji ich dziecka, jeszcze na pustyni, na poligonie w Alamogordo, trzy tygodnie przed zrzuconiem pierwszej bomby na Japonię. Rozpiętość od „Cóż żeśmy uczynili...” po „Jakie ma piękne oczy!”.

Oppenheimer przeżuwa w myślach cytat z *Mahabharaty*: „I stałem się śmiercią, niszczycielem światów”. Po dwunaste, przenikliwa cisza tuż po tym, gdy gwarne centra japońskich miast w mgnieniu oka zmieniają się w pył. Na obrzeżach spragnieni ludzie, a raczej coś, co przypomina ludzi, chcieliby pić i pić, wypiliby wiadra, ale woda wybieka im przez dodatkowe otwory w twarzach. I przez ten jeden największy, który pojawia się zamiast torsu. Punkt trzynasty: początek 1951 roku, żona Ulama, Françoise, zastaje męża wypatrującego przez okno ich domu — na terenie kampusu laboratorium — zamyślnego intensywniej niż zwykle. Po chwili rozlega się sakramentalne „eureka”, co wybrzmiewa po prostu jako „Znalazłem sposób, jak to zrobić”. Chodzi o przełom w biografii heroiny opowieści Ulama, czyli bomby termojądrowej = wodorowej = superbomby. Opartej już nie na reakcji rozszczepienia pierwiastków ciężkich, jak w przypadku ładunków jądrowych, lecz na fuzji lekkich, w wyniku czego energia eksplozji miała być kilka tysięcy (!) razy silniejsza niż w Hiroszimie i Nagasaki. Duża część uczonych zaangażowanych w projekt „Manhattan, przerażona efektem swojej pracy, wróciła po wojnie do zajęć akademickich. Inna część, łącznie z Oppenheimerem, w pierwszych latach sprzeciwia się planom budowy jeszcze potężniejszej broni, ale też nie wierzy w ogóle, by projekt superbomby dał się zrealizować pod względem inżynieryjnym. Rozpoczyna się już jednak wyścig zimnowojenny, Stalin łypie na niszczycielskie precjoza jak Reksio na szynkę, amerykańscy decydenci uznają, że nie można oddać mu pola, więc ponownie zapalają się światła w ośrodku Los Alamos i rusza następne ogromne przedsięwzięcie. Badania koordynuje tym razem Edward Teller, dla którego bomba wodorowa od paru lat stanowi obsesję. Dzięki eleganckiej koncepcji Ulama, by sprokurować w sercu ładunku kompresję powodującą szybkie i równomierne spalanie termojądrowego paliwa, idea może wreszcie wejść w życie.

Wkrótce projekt Tellera-Ulama zostaje opatentowany, a pierwszy wybuch na atolu Enewetak w 1952 roku wytwarza ognistą kulę o średnicy stu sześćdziesięciu kilometrów — odległość jak z Warszawy do Kielc. Po czternaste, ulubione narzędzia matematyka: papier i ołówek...

Pytany o etyczny wymiar badań nad bronią masowej zagłady udzielał niejednoznacznych, wydawałoby się sprzecznych, odpowiedzi. Przy czym wypada pamiętać, że hitleryzm i stalinizm jawiły się jako monolity, jakie współcześnie trudno sobie wyobrazić. Z jednej strony wierzył w sens intensyfikowania zbrojeń, by podtrzymywać równowagę sił (ewentualnie supremację Stanów), zniechęcającą do potencjalnie apokaliptycznego konfliktu, co się w pewnej mierze sprawdziło. Z drugiej twierdził, że „nie należy rozpoczynać projektów, które mogą doprowadzić do tragicznych następstw”. A jeśli już, powinni się tym zajmować obiektywni ludzie nauki, a nie politycy — tymczasem pracował dla siłą rzeczy upolitycznionej armii. Kiedy indziej, że po prostu interesowały go matematyka i fizyka, które są moralnie obojętne, ani złe, ani dobre. To bardzo ciekawe. Bo faktycznie, w samym zamierzeniu odzwierciedlenia zapisu matematycznego za pomocą szeregu konkretnych, „materialnych” czynności jest coś niedorzecznego, ale jednocześnie *en kai pan*, jak pewnie czytał jeszcze jako nastolatek we Lwowie, „jedno i wszystko”, świat to spójna całość, matematyka jest jednym z języków, sposobem interpretacji rzeczywistości, siatką znaczeń, którą się na rzeczywistość nanosi, nie da się jej chyba — i siebie — z tej rzeczywistości wykroić i postawić gdzieś obok. Możliwy jest jednak jeszcze inny kąt spojrzenia. Otóż być może Ulam miał na uwadze pewien dalekowzroczny i wbrew pozorom do szpiku empatyczny scenariusz. Według wciąż popularnego oświeceniowego *savoir-vivre*’u powinnością jednostki jest być szczęśliwą, a powinnością społeczeństwa, choćby poprzez

technologię, osiągnięcie powszechnej szczęśliwości — i z niektórych miejsc siedzenia Ziemia faktycznie sprawia wrażenie miłej imprezy. Ale gdyby podjąć próbę uczciwego opracowania globalnego bilansu zysków i strat, haju i cierpienia, szczęścia i nieszczęścia — powiedzmy czynniki „s” i „n” — wrzucić całość do Excela, wynik byłby bez wątpienia ujemny. Liczba uszczerbków, jakich w każdej chwili doznają układy nerwowe dowolnego rodzaju, przygniata: tylko w celach spożywczych zamęcza się trzy miliardy (!) zwierząt dziennie, jeszcze więcej ukatrupia się roślin, a przecież wszystkie one chętnie ukatrupiają się też nawzajem; jeszcze więcej zżerających się nawzajem mikroorganizmów, insektów, glonów, grzybów, protistów; do tego, już ze *stricte* ludzkiej perspektywy, starość, choroby, bieda, nuda, frustracja, samotność, zazdrość, głód, katar, korki, ZUS, wieczna nadzieja, że kiedyś będzie lepiej, ale to idealne jutro jakoś nie nadchodzi i nigdy nie nadejdzie. Jeśli ktoś potrafiłby wykazać powyższe czarno na białym, machnąć statystyczny bestseller typu *Rozkład szczęścia i nieszczęścia*, to może właśnie Ulam. Wobec tego wszystkiego, zwłaszcza w obliczu wzbierających klimatycznych i społecznych katastrof, dobrze jest móc dysponować skutecznym zestawem do uśmierzania bólu. Pomyślmy: przy odpowiednim rozmieszczeniu ładunków termojądrowych można by w zaledwie parę sekund wyzerować ziemskie cierpienie, cierpienie bieżących i jeszcze niezaistniałych pokoleń (termojądrowa eksplozja przecina nić życia nawet takich twardzieli, jak niesporczaki czy ekstremofilne bakterie). Idei przyklasnęliby pewnie antynataliści spod znaku Julio Cabrera i Davida Benatara. Zresztą niewykluczone, że podobny wariant jest we wszechświecie bardzo rozpowszechniony. Kumpel Ulama, wspomniany już fizyk Enrico Fermi, sformułował kiedyś słynny paradoks podsumowujący sprzeczność między wysokim prawdopodobieństwem występowania Obcych, a brakiem jakichkolwiek

śladów ich istnienia. Może cywilizacje wystarczająco samoświadome jednym wciśnięciem czerwonego przycisku kładą kres okrutnej i przecież w sumie bezcelowej przygodzie.

Bodajże od czasu Baracka Obamy czerwony przycisk lśni już na prezydenckim biurku w Gabinetcie Ovalnym. Jednak na razie pełni skromniejszą funkcję. Służy do wzywania stewardów podających na przykład napoje. Podobno Donald Trump, ten nowojorski Sziwa, na pewno śniący niekiedy o przesunięciu do przodu wskazówek Zegara Zagłady, jedną dłonią ocierając pot z czoła, a zarazem kosmyk pomarańczowej czupryny, drugą co nieco oszroniony nos, trzecią klepiąc po pośladku swoją asystentkę, najczęściej prosi, nie mogło być inaczej, o coca-colę... Kto wie, może Ziemię uwolni kiedyś od rozpacz, w oparciu o geniusz Stanisława Ulama, właśnie tego rodzaju średnio sympatyczna persona (choć trudno podejrzewać kogoś takiego o skrupulatne rozmieszczenie ładunków, niestety byłaby to raczej rozciągnięta w czasie improwizowana jatka)? Vonnegut by się uśmieł. Cała nadzieja w Panu, Panie Prezydencie!

Zofia

KIELAN- JAWOROWSKA

1925 Sokołów Podlaski — 2015 Warszawa

Paleobiolożka, wieloletnia pracownica Instytutu Paleobiologii PAN. Jako sanitariuszka brała udział w Powstaniu Warszawskim, była członkinią Szarych Siergów. Po wyzwoleniu wróciła pieszo do stolicy i zamieszkała wraz z innymi pracownikami w muzeum przy ul. Wilczej 64. Jej mentorem został prof. Roman Kozłowski. Pod jego kierunkiem napisała pracę magisterską i doktorską, a potem współpracowała z nim i w końcu objęła po nim kierownictwo Instytutu Paleobiologii PAN. Jej pierwsze prace naukowe dotyczyły trylobitów, morskich zwierząt, które pojawiły się na Ziemi około 550 mln lat temu. Później zajęła się aparatami szczękowymi wieloszczetów. Na pustyni Gobi w czasie legendarnych już dzisiaj wypraw paleontologicznych (1963–1971) odkryła niewielkie ssaki (rówieśne dinozaurom).

To dzięki niej wiemy, że ssaki pojawiły się na Ziemi pod koniec triasu, czyli ponad 220 milionów lat temu. Prowadziła wykłady na Uniwersytecie Warszawskim, Uniwersytecie Harvarda, uniwersytetach Paris VI i Paris VII i Uniwersytecie w Oslo. Była autorką licznych wystaw w kraju i na świecie prezentujących zbiory i rekonstrukcje okazów zebranych podczas mongolskich ekspedycji. Do dziś można podziwiać je m.in. w Muzeum Ewolucji Instytutu Paleobiologii PAN w PKiN, Parku Kultury w Chorzowie oraz Muzeum Paleontologicznym w Oslo. Paleontolodzy uhonorowali polską uczoną, nazywając od jej imienia dziesiątki gatunków zwierząt żyjących przed wieloma milionami lat. Organizacja Yad Vashem przyznała jej – i kilku osobom z jej rodziny – tytuł Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata (1991).





Piotr Wojciechowski

Taternik, narciarz i grotolaz, prozaik, poeta, reżyser filmowy, scenarzysta, rysownik, krytyk filmowy, publicysta. Jego debiut *Kamienne pszczoły* (1967) oraz druga książka *Czaszka w czaszce* (1970) stały się powieściami kultowymi. Opublikował wiele powieści i zbiorów opowiadań, ostatnio zaś: *Doczekaj nowiu*, *Serce do gry*, *Tratwa manekina*, *Strych Świata*, *Przebierańcy i przechodnie*, *Zły Wiatr*. Wydał również tomy wierszy *Pocztą świąteczną*, *Chleb z deszczem*. Jest laureatem kilku nagród literackich, m.in. Nagrody Kościelskich (1978) i Nagrody im. Kornela Makuszyńskiego (1994), Nagrody im. ks. Jana Twardowskiego (2019), Warszawskiej Nagrody Literackiej (2020).

Człowiek dobrego spotkania

Co mnie skłania, abym pisał ten tekst, co daje mi prawo, abym go pisał? Nie znałem tej wybitnej uczzonej, moje wiadomości biograficzne o niej są raczej banalne, ze źródeł pisanych. Piszę. Piszę, bo widzę w Kielan-Jaworowskiej przykład, wzór pewnego stylu samowychowania, dojrzewania, życia, który był bardzo typowy dla pewnych środowisk, a jednocześnie w jej przypadku wyjątkowy przez swoją czystość i intensywność. Piszę, bo od zawsze fascynuje mnie zjawisko polskiej inteligencji. Ta warstwa, to środowisko, ta siła, są źródłem mojej tożsamości, a bywają też powodem troski i rozczarowań. O przeszłości inteligencji myślę z dumą. Gdy patrzę w przyszłość, jest moją nadzieją.

Tak się złożyło, że ścieżki życia Zofii Kielan-Jaworowskiej biegły blisko moich szlaków. Mogę mówić — była w zasięgu wzroku. Podobnie jak ona dostałem w młodości dobrą lekcję harcerskiego etosu. Byłem geologiem, zdawałem egzaminy z paleontologii, chodziłem po górach, jeździłem na nartach. I w moich korzeniach rodzinnych było Podlasie, był w życiorysie Lublin i Warszawa, Paryż też. Mieliśmy wspólnych znajomych — jak choćby grotołaz dr Maciej Kuczyński, z którym zetknąłem się na krakowskiej wyprawie do Jaskini Zimnej w 1957 roku — nieco później brał udział w badaniach w Mongolii pod kierownictwem Kielan-Jaworowskiej. Zdradziłem geologię dla humanistyki, filmu i literatury, ale nigdy nie rozstałem się ze środowiskiem

geologów. Dlatego patrzę na Zofię Kielan-Jaworowską, jak na osobę nieznaną, a przedziwnie bliską. Jako geolog, człowiek gór, nauczyciel akademicki mogę mówić — była jedną z nas. Z poczuciem proporcji dorzucam — była wielka.

Zofia Kielanówna to córka inteligentkiej rodziny. Kielanowie z Podlasia przez Lublin trafili do Warszawy w czasach rozkwitu miasta jako stolicy II Rzeczypospolitej. Jeszcze przed wojną Zofia zapisała się do harcerstwa, podczas wojny do Szarych Szeregów. Razem z siostrą i rodzicami uczestniczyła w ocaleniu dwu żydowskich dziewczynek, w powstaniu jako sanitariuszka służyła w zgrupowaniu Żywicieli. Z *Autobiografii*: „W styczniu 1945 roku, po wyzwoleniu Warszawy, przyszedłem do stolicy pieszo ze Skierniewic, gdzie mieszkałem z rodzicami po Powstaniu. Mieszkanie na Żoliborzu było prawie w całości zbombardowane i nie nadawało się do zamieszkania, zjawiłem się więc w Muzeum Zoologicznym i tam zostałem. [...] Prawie wszyscy pracownicy Muzeum mieli zniszczone mieszkania, mieszkaliśmy więc wśród ocalałych szaf ze zbiorami i pracowaliśmy początkowo jak robotnicy fizyczni wykopując zakopane na podwórzu zbiory.”

Zofia Kielanówna machająca łopatą na podworcach Muzeum Zoologicznego miała 20 lat. Była uparta i wierna wyborowi swoich naukowych pasji — a szlif charakteru, jaki otrzymała w domu, w harcerstwie i powstaniu pozwolił jej osiągnąć bardzo wiele. Od profesora Romana Kozłowskiego, pod którego opieką stawiała pierwsze kroki w dziedzinie paleozoologii, przejęła styl pracy. Jemu także w 1953 r. zawdzięczała, że gdy partyjni burokraci odkomenderowali ją do pracy w Instytucie Geologicznym, decyzja ta została uchylona. Tak o tym wzmiankuje w *Autobiografii*: „Nie bez znaczenia było również to, że we wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy te wydarzenia miały miejsce, w wielu instytucjach w Polsce panował terror polityczny. Pod

opiekuńczymi skrzydłami prof. Kozłowskiego, który był człowiekiem nieskazitelnie prawym i życzliwym, oraz jako wybitny uczony cieszył się wielkim autorytetem, przeżyliśmy ten trudny okres «jak u pana Boga za piecem»».

Wszystko, czego się nauczyła, wszystko, czym uczyniły ją doświadczenia, służyło temu, aby na swojej drodze życia okazała się „człowiekiem nieskazitelnie prawym i życzliwym”. Jako nauczyciel akademicki potrafiła realizować klasyczne relacje „mistrza i ucznia” — wymagająca, ale troskliwa; interesował ją rozwój uczniów i podwładnych. Żywotna, po harcersku zaradna i optymistyczna, wysportowana i zdyscyplinowana, była cennym ogniwem wielu zespołów — zarówno w pracach terenowych, jak i w laboratoriach. Pracowała w wielu ośrodkach naukowych poza Polską. Kierowała płodnymi w odkrycia wyprawami do Mongolii, sprawiedliwie dzieląc się znaleziskami z uczestniczącymi w tych ekspedycjach mongolskimi uczonymi. W publikacjach, w oficjalnych wystąpieniach i prywatnych kontaktach często i chętnie chwaliła swoich współpracowników i uczniów, podkreślała ich wkład. Znały ją laboratoria i sale wykładowe w Paryżu, w wielu ośrodkach w USA; osiem lat spędziła w Oslo. Wszędzie nawiązywała serdeczne przyjaźnie, inspirowała grupy skutecznie współpracujących badaczy publikujących w najbardziej prestiżowych periodykach naukowych. Wielu współautorów zapraszała do Polski, aby pracować z nimi w swoim domu. Oto, co wspomina z paryskiej pracowni: „Ze względu na niepewne działanie «mikrotomu Junga» starałam się nie wyłączać go przez cały dzień, nie wychodziłam na «dejeuner», tylko przynosiłam kanapkę z domu i stojąc przy mikrotomie kroićłam czaszki po 10 godzin dziennie, przez pełne trzy miesiące”. Zdziwiwała elastycznością kształtowania swoich obszarów zainteresowań — wiele razy, już pracując nad kręgowcami,

powracała do trylobitów, do odkryć w dziedzinie aparatów gębowych wieloszczetów. Część jej dorobku, która dotyczy pochodzenia i mezozoicznego zróżnicowania ssaków, uznawana jest za najważniejszą, także dlatego, że był to obszar bardzo słabo zbadany wcześniej.

W *Autobiografii* Kielan-Jaworowska bardzo mało pisze o swoim życiu prywatnym — pełna poświęcenia praca badawcza na to życie niewiele pozostawiała czasu: „W lecie 1950 pojechałam do Morskiego Oka, aby spróbować wspinaczki wysokogórskiej. Poznałam wtedy Zbyszka Jaworowskiego, studenta medycyny z Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którym się bardzo zaprzyjaźniłam. Ale pobraliśmy się dopiero po ośmiu latach, w 1958 roku. [...] Na początku 1959 roku złożyłam do druku najobszerniejszą z moich prac poświęconą trylobitom górnoordowickim Polski, Skandynawii i Czech. [...] Spieszyłam się, aby ją ukończyć w styczniu, ponieważ w lutym miało nam się urodzić dziecko — nasz jedyny syn Mariusz przyszedł na świat 21 lutego 1959 roku”.

Wszędzie jednak, gdzie za granicą musiała zostać dłużej, organizowała wokół siebie dom, sprowadzała męża, potem także syna i jego rodzinę.

Była sanitariuszka ze zgrupowania powstańczego „Żywiciel” nie miała kiedy zajmować się polityką, ale nie ukrywała swoich poglądów.

W marcu 1968 roku nie miała złudzeń co do charakteru prowokacji, ale była jedną z niewielu osób, które na zebraniu na Wydziale Geologii UW zdecydowanie — i jako pierwsze — opowiedziały się w obronie represjonowanych studentów. „Poparły mnie tylko dwie osoby, Halszka Osmólska z naszego Zakładu i Hubert Szaniawski, wówczas doktorant Zakładu Nauk Geologicznych PAN, później adiunkt, a następnie dyrektor naszego zakładu” — wspomina Kielan-Jaworowska w swojej *Autobiografii*. Partia zażądała usunięcia jej ze

stanowiska, dość szybko wycofano się — zakłajstrowano sprawę naganą. Zaważyły na tym zapewne międzynarodowa pozycja naukowa Kielan-Jaworowskiej i powszechna sympatia, jaką cieszyła się w krajowych środowiskach naukowych.

Szacunek, jakim obdarzały ją te środowiska, sprawił, że kiedy na fali zmian wywołanych powstaniem „Solidarności” w 1981 roku powołano Komisję do spraw Odwołań od Krzywdzących Decyzji w latach 1968–1980 przy prezydium PAN, Aleksander Gieysztor, prezes PAN, zwrócił się do Kielan-Jaworowskiej z prośbą o objęcie przewodnictwa komisji. Podjęła się tej funkcji i pełniła ją z roztropnością i poświęceniem. Sprawozdanie z prac komisji mogło być opublikowane dopiero w 1989 roku.

Wyrazem jej obywatelskiej, prospołecznej postawy jest z pewnością także to, że potrafiła na marginesie pracy naukowej znaleźć czas na działalność popularyzatorską. Organizowała wystawy znalezisk i rekonstrukcji, napisała dwie popularne książki.

Zofia Kielan-Jaworowska pozostawiła po swoim odejściu w 2015 roku wyraźny ślad — nie tylko w postaci naukowego dorobku — w pamięci krajowych i zagranicznych współautorów jej prac, uczniów, asystentów, współpracowników.

Kielan-Jaworowska jawi się mi jako osoba, która skupiła w sobie wszystkie pozytywne cechy polskiej inteligencji. To, co jest wyróżnikiem międzynarodowych elit naukowych — czyli dążenie do profesjonalnej doskonałości, dynamizm twórczy, krytycyzm wobec autorytetów — łączyła z wyniesioną ze środowisk swojej młodości humanistyczną otwartością, szacunkiem dla ciągłości tradycji. W jej życiu można odczytać głębokie i mocne powiązanie tego, co jest intelektualną rangą osoby, z tym, co jest osobiste, co jest charakterem. Kiedy o niej myślę, przypomina mi się refleksja wielkiego filozofa

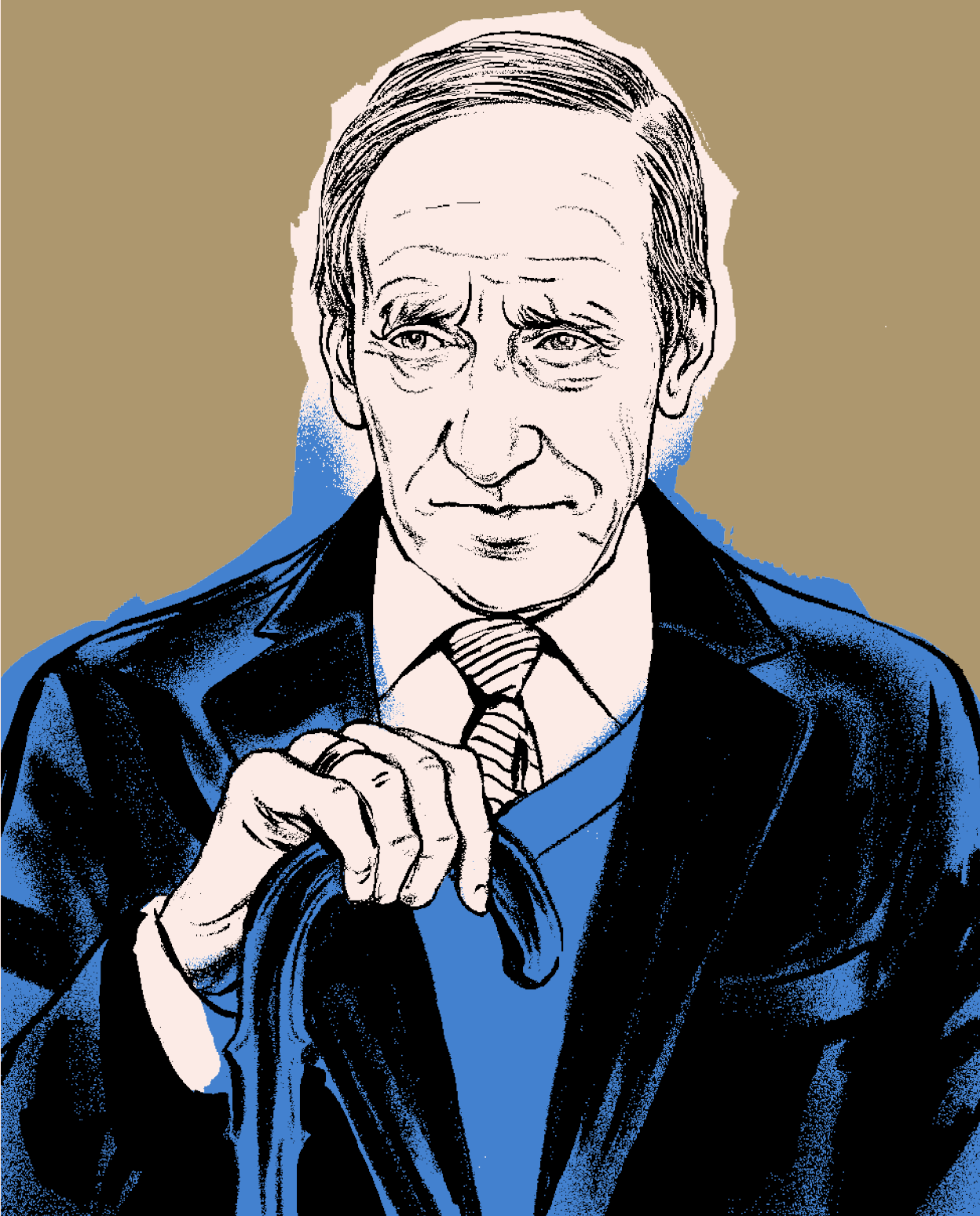
i historyka filozofii profesora Stefana Swieżawskiego: a największym cudownym wydarzeniem w życiu są spotkania. I cała mądrość życia polega na tym, żeby je docenić. Gdyby człowiek umiał wykorzystywać spotkania, to życie ludzkie byłoby prawdziwym arcydziełem. Zofia Kielanowska posiadała to, co profesor Stefan Swieżawski nazwał *cultura animae*, czyli kulturę pełnego spotkania, międzyludzkiej więzi na poziomie wzajemnego zaufania i życzliwego ciepła. Zostało po niej nie tylko wielkie dzieło — ważny rozdział w polskiej paleobiologii. Jej etos, jej styl, jej urok osobisty kształtowały uczniów i następców również w przestrzeni obywatelskiej. Ślad jej życia widzieć trzeba jako mocną i wyrazistą nić, jedną z nitek wielkiego gobelinu, tego osobliwego wytworu historii, jakim jest polska inteligencja.

Leszek KOŁAKOWSKI

1927 Radom — 2009 Oksford

Filozof i eseista, główna postać warszawskiej szkoły idei. Jako filozof przebył drogę od „wulgarnego” marksizmu po stanowisko bliskie personalizmowi w wydaniu protestanckim (np. Karla Jaspersa). W czasie wojennej tułaczki uczył się sam, pracował również jako robotnik. W 1943 roku znalazł się w Warszawie, gdzie uczył się na tajnych kompletach. W tym samym roku jego ojciec został zamordowany przez Gestapo. W marcu 1950 roku był w gronie ośmiu studentów, członków PZPR, którzy wystąpili z listem otwartym atakującym Władysława Tatarkiewicza za podejmowanie na seminarium tematów politycznych w duchu wrogim istniejącemu ustrojowi. W konsekwencji Tatarkiewiczowi odebrano prawo wykładania. W 1953 roku Kołakowski obronił doktorat i rozpoczął pracę na Uniwersytecie Warszawskim, później również w PAN. W 1966 roku jako przywódca opozycji wewnątrzpartyjnej („rewizjonista”) został usunięty z PZPR i pozbawiony katedry na UW.

Emigrował do Kanady, USA, wreszcie do Anglii; od 1970 do 1975 roku był profesorem All Souls College w Oksfordzie. Badał filozofię Spinozy, myśl mistyczną XVII w. (*Świadomość religijna i więź kościelna*, 1965), pozytywizm (*Filozofia pozytywistyczna*, 1966), fenomenologię (*Husserl i poszukiwanie pewności*, 1975), a zwłaszcza historię marksizmu (trzytomowe *Główne nurty marksizmu*, 1976–1978). Równocześnie uprawiał eseistykę, także polityczną: *Kultura i fetysze* (1967), *Obecność mitu* (1972), *Czy diabeł może być zbawiony* (1982) i in. Wydał kilka tomów poczytnych przytwierdzeń filozoficznych o wymowie sceptycznej (*Trzyście bajek z królestwa Lailonii*, 1963; *Klucz niebieski*, 1964; *Rozmowy z diabłem*, 1965) oraz komedii. Waleńom prac stricte filozoficznych dorównywał jego ogromny autorytet charyzmatycznego wykładowcy i wyrażiciela ewolucji postaw inteligencji polskiej, zarówno w kraju, jak i na emigracji. W 1991 roku został członkiem Polskiej Akademii Nauk.





Joanna Bator

Kulturoznawczyni i filozofka. Międzynarodowe uznanie przyniosła jej pierwsza powieść *Piaskowa góra* (2009). „Wąłbrzyską trylogię” – *Piaskowa Góra*, *Chmurdalia* oraz *Ciemno, prawie noc* – tłumaczono na wiele języków. Powieść *Ciemno, prawie noc* zdobyła w 2013 r. Nagrodę Literacką „Nike”. Za *Chmurdalię* Bator otrzymała w 2014 r. szwajcarską Spycher Prize, a w 2017 r. uhonorowana została za całokształt twórczości niemiecką Nagrodą Literacką im. Stefana Heyma oraz niemiecką Nagrodą Literacką Usedomer. W 2018 r. otrzymała niemiecką Nagrodę Literacką im. H. Hessego. Jej najnowsza powieść to *Gorzko, gorzko*. Mieszka w Podkowie Leśnej. Jej pasją jest bieganie.

Sic et non

Sic et non, tak i nie, albo w wersji współczesnej, kojarzącej się z konkretną postacią polityczną, jakże odległą od bohatera mojego tekstu — za, a nawet i przeciw. Według Leszka Kołakowskiego cechująca europejską kulturę wewnętrzna sprzeczność jest źródłem jej siły i słabości w zależności od tego, czy cieszymy się względną, zawsze chwilową harmonią, czy akurat trwa wojna i rośnie w siłę barbarzyństwo fundamentalizmu. Słowami *sic et non*, zapożyczonymi z tytułu traktatu Abelarda, Leszek Kołakowski kończy wykład zatytułowany *Bałwochwaltwo polityki* z 1986 roku. Autor poświęcił swoje rozważania istotowej dwuznaczności kultury Zachodu, tytułowej tak i nie, będącej żywą podstawą, która jednak stwardniała w sprzeczność budzącą lęk, że wielu nie znajdzie trzeciej drogi między fanatyzmem a nihilizmem.

Po raz pierwszy czytałam teksty ze zbioru *Cywilizacja na ławie oskarżonych* (1990) na studiach doktoranckich w połowie lat dwięćdziesiątych ubiegłego wieku. Upadł komunizm i na gruzach totalitaryzmu, których tak surowym krytykiem był Kołakowski, rodziła się polska demokracja. Wydawało się, że minęły czasy, które zmusiły charyzmatycznego wykładowcę do opuszczenia kraju i swoich studentów z Uniwersytetu Warszawskiego, a ludzkość wyciągnie wniosek z niedawnych błędów. Upadały mury, a ja ze szczególną ekscytacją odczuwałam nagły, nieograniczony dostęp do wiedzy, bo teraz

w moim zasięgu znalazły się najpiękniejsze biblioteki świata i zagraniczne uniwersytety. Odzyskanie przez Polskę pełnej niepodległości oznaczało dostęp do narzędzi indywidualnej emancypacji, rozwoju, transformacji. „Wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem”, tę piosenkę Chłopców z Placu Broni znaliśmy wszyscy, bowiem były to czasy, proszę wybaczyć mi tę świadomą mitologizację przeszłości, gdy wierzyliśmy we wspólnotę opartą na nowych zasadach, choć jednocześnie mającą w sobie coś romantycznego, mitycznie dawnego. Przyszłość wydawała się obietnicą, przeszłość miała szczeznąć na śmietniku historii. Jak mawialiśmy ironicznie w tamtych czasach, trawestując popularne powiedzenie o podejrzejanej genealogii, „kto nie był postmodernistą za młodu, ten będzie szują na starość”. Przekonanie, że nic w świecie człowieka nie jest dane raz na zawsze, że każdą ideę i tradycję można podważyć i „zdekonstruować” tak, że będzie służyła prawdziwej wolności, równości i siostrzeństwu, wydawało się wyzwalające i twórcze. Podobnie jak teza o nieskończonej plastycznej, fluidalnej podmiotowości (włączając płć kulturową, czyli gender), tworzonej głównie przez wpływy zewnętrzne, a nie „danej” czy „naturalnej”. Sacrum i transcendencja, tematy kluczowe dla filozofii Kołakowskiego, pozostawały poza moimi zainteresowaniami, kojarząc się ze skamieniałymi strukturami religijnej tradycji. Według autora *Czy diabeł może być zbawiony* przejawiałam „szaleńczą nadzieję”, żywiąc się niestrawną ułudą utopii.

Definiowałam się jako feministka, ateistka i na końcu — choć bywało, że zapominałam o tym w politycznym zaciętrzewieniu — jako sceptyczka gotowa do wątpienia i kwestionowania swojej postawy na każdym polu z wyjątkiem tego, co za Judith N. Shklar i Richardem Rortym nazywałam niezgodą na okrucieństwo. Możliwości społecznej i kulturowej zmiany wydawały się nieograniczone, podobnie jak

uzasadniona jawiła mi się wiara, że ludzie porzucą ograniczające formy życia, by ochotczo ruszyć ku nowemu światu pokojowo koegzystującej wielobarwnej różnorodności jak z reklamy Benettona. Zło istniało, ale jako „błąd techniczny”, jak to z ironią nazywał Kołakowski, przygodna przypadłość, na którą uda się znaleźć lekarstwo w demokratycznym społeczeństwie. Przecież w końcu ludzie zauważą, że lepiej uprawiać miłość niż wywoływać wojny? Że równouprawnienie płci daje wszystkim więcej szczęścia niż opresja? Że nie ma sensu wierzyć w niebo i piekło, czy broń boże w diabła, tylko po prostu żyć porządnie? Utopijna naiwność kazała mi wierzyć, że zło da się wykorzenić, może nie od razu, zapewne w wielkim trudzie, ale ostatecznie — tak. Fakt, iż autor *Mini wykładów o maxi sprawach* temu stanowczo zaprzeczał, odbierałam jako protekcyjnalizm, a kilka słów z eseju *Odwet sacrum w kulturze świeckiej*, w których krytycznie odniósł się on do zniesienia różnic między kobietami i mężczyznami, a także androginicznej mody młodzieżowej, jako potwierdzenie, że dla mnie, dwudziestoparoletniej doktorantki, do niczego nie przydadzą się poglądy tego dostojnego mędrca z mijającej epoki.

I nie wróciłam do jego książek aż do teraz, gdy po ćwierć wieku widzę, że — mimo wątpliwości i niechęci — przeczytałam wszystkie rozprawy *Cywilizacji na ławie oskarżonych*, bo na marginesach są moje uwagi i charakterystyczne wykrzykniki z dużą kropką albo znaki zapytania. W *Iluzjach demitologizacji* Kołakowski przy okazji omawiania koncepcji Rudolfa Bultmanna wspominał o „egzystencjalnej» wymianie między tekstem a czytelnikiem”, która jest żywym, ewoluującym procesem. Innymi słowy, moje osobiste doświadczenie sprawiło, że zmienił się charakter powinowactwa. Ćwierć wieku później wielu idoli mojej akademickiej młodości, hołubiących takie wytrychy, jak dekonstrukcja, subwersja i performatywność, wydaje

mi się niestrawną i pozbawioną głębi akademicką ramotą, a wiara w realizację utopijnych wizji nostalgicznym wspomnieniem młodości. Jak pisał Kołakowski: „Rozpacz jest pospolitą formą upadku tych, którzy kiedyś wierzyli w rozwiązania ostatecznie i doskonałe, i utracili tę pewność” (*Szukanie barbarzyńcy. Złudzenia uniwersalizmu kulturalnego*), i bez wątpienia doświadczyłam tych bolesnych konsekwencji głębokiego rozczarowania. Lekarstwem sprawdzonym, nawet jeśli niedoskonałym, jest Kołakowskiego „sceptycyzm niekonsekwentny”, czyli nieodbierający mowy, choć pozbawiający raz na zawsze młodzieńczego entuzjazmu i nadziei, i to zarówno na to, że będzie cudownie, jak i na to, że cudownie kiedyś już było i możemy wrócić do opuszczonego raju.

Najbardziej interesujące w *Cywilizacji na ławie oskarżonych* Kołakowskiego są dla mnie te fragmenty, które pominęłam dwadzieścia pięć lat temu, a podkreśliłabym teraz, dostrzegając ich proroczy charakter. W kontekście ekologii i dyskusji o elektrowniach nuklearnych Kołakowski, krytykując „gargantuiczną naszą żarłoczność”, pisał w 1979 roku: „Należy raczej powiedzieć jasno: «Jesteśmy gotowi mieć mniej niż mamy, mniej podróży, ogrzewania, wszystkiego»” (*Wież utracona*). Część z nas, niewielka, ale rosnąca, jak staram się wierzyć, a przynajmniej formułować taką nadzieję publicznie, prywatnie wątpiąc w rozpacz, coraz głębiej doświadcza potrzeby zminimalizowania obżarstwa we wszystkich sferach życia. Ten trend, który odczuwam i realizuję dopiero od dekady, oznaczający mniej podróży, mniej rzeczy, wolniejsze tempo, w czasie, gdy po raz pierwszy czytałam tekst Kołakowskiego, nie mógł trafić na podatny grunt. Głód świata nagle otwartego był właśnie — gargantuiczny. Podobnie odległe wydawały mi się wówczas prognozy „imaginacyjnej, cerebralnej namiastki” (*Wież utracona*), w jaką ewoluują więzi ludzkie.

Tymczasem ta hipoteza, sformułowana przez filozofa w czasach sprzed Internetu i mediów społecznościowych, które doprowadziły do perfekcji wirtualne uczestnictwo w życiu, pozbawione odpowiedzialności, powierzchowne i ekstatyczne, dające uzależniającą chwilową przyjemność, okazała się prorocza. Utrata bezpośredniej komunikacji ze wspólnotą, która nawet jeśli jako rajski ideał zawsze była fantazją, to jednak bardziej wyobrażalną w świecie bez awatarów i lajków, sprzyja pragnieniu doświadczenia „czegoś autentycznego”. Wykorzystywane jest ono przez barbarzyńskie fundamentalizmy szerzące nienawiść, ale także przez utopie równości w różnorodności, dające niebezpieczną ułudę rozwiązania wszelkich konfliktów. Z tych drugich łatwiej wyrosnąć, bo od zawsze pragnąc różnorodności, w pewnym momencie zdajemy sobie sprawę, że już ją w pewnym sensie mamy. Jest bowiem istotą natury ludzkiej i ludzkiej cywilizacji opartej na racjonalności i jej zaprzeczeniu, świeckim rozumie naukowym i wierze w rzeczy, których nie da się udowodnić, na *libido dominandi* i poszukiwaniu sensu. Skazani jesteśmy więc na wieczne niepokodzenie, tysiące sprzeczności, które są istotą człowieczeństwa — niepokodzeni z samymi sobą, z naturą, innymi ludźmi i bogami, niezaspokojeni, rozdarci.

Z tego nieusuwalnego pęknięcia w ludzkim świecie wyskakuje diabeł i przekonanie Kołakowskiego o istnieniu metafizycznego zła odbieram dziś jako najgłębsze duchowe powinowactwo. Czy da się wykorzenieć zło? Nie. Czy mimo to ma sens walka z nim, a my jesteśmy w stanie znaleźć do niej siłę? Tak. Czy w swojej słabości jesteśmy na tyle silni, że możemy walczyć ze złem, nie żywiąc doń nienawiści? Tu również pada odpowiedź twierdząca. Nienawiść to „duchowe samobójstwo”, które pozbawia człowieka godności, lekcja z Kołakowskiego, która powinna być uwzględniona w programach

szkolnych. W rozprawie o *Wychowaniu do nienawiści, wychowaniu do godności* z 1977 roku Kołakowski dowodził, że nienawiść nigdy nie jest uzasadniona, nigdy nie jest dobra, a wyrzeczenie się jej nie oznacza wyrzeczenia się walki. Co więcej, walka wydaje się sensowna nawet wtedy, gdy pogodzimy się z tym, że zło jest istotową, a więc nieusuwalną częścią ludzkiego świata. Pogódźmy się — ta choroba jest nieuleczalna. Zło to wirus, na który nie ma i nie będzie szczepionki. Nie oznacza to jednak, że nie da się wykorzenia zła tego czy owego, tego tuż obok, za drzwiami sąsiada, który katuje dziecko, albo jeszcze bliżej — w naszej niepokodzonej z klęską, chorej duszy, trawionej złością i zawiścią. Nawet jeśli nie jest w naszej mocy, by stwierdzić, jaka „ludzka nędra” ma trwały charakter, a jaka podlega dostępnej nam mocy leczenia, musimy próbować i próbujemy. Uznanie, że życie jest coś warte, mimo iż jest porażką, wymaga *sacrum* — obecności porządku transcendentnego, który uprawomocnia to staranie. Jego zniszczenie jest tragedią, bo w miejscu mitu pojawiają się karykatury i barbarzyńskie substytuty, jak np. nacjonalizm.

Nawet jeśli nadal bliższa jest mi intelektualnie Freudowska wykładnia radykalnego pęknięcia w człowieczym losie od chrześcijańskiej koncepcji „grzechu pierworodnego”, na którą powołuje się Kołakowski, zgoda na własną niedoskonałość i niemożność naprawienia świata, codzienny ból i wątplenie, wydaje mi się dziś jedyną drogą. Mit pozwalający na kontakt z transcendencją, o jakim pisał Kołakowski, pozwala cywilizacji wytwarzać w walce z toczącymi ją wirusami przeciwciała, a jednym z takowych jest — jego zdaniem — krytyka filozoficzna i artystyczna, które rozumie jako „samoobronny organ naszej cywilizacji”, przypominając, że przeciwciała — cóż za poręczna metafora w pandemicznym roku 2020 — mogą też zabić organizm. Autor *Cywilizacji na ławie oskarżonych* wątpił w leczniczą

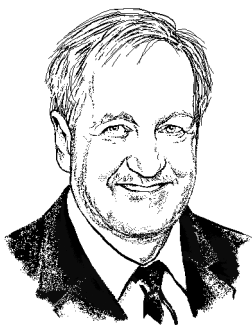
moc filozofii. Dlatego mogę tylko wyrazić sceptyczny optymizm, że wprawdzie filozofowie nie mają pewnie wpływu na to, „jak mit żyje”, ale mają go pisarze. Naszą rolą jest pytanie i kwestionowanie, nawet jeśli skazujemy się na wieczny niepokój i także zwątpienie.

Wszystkie cytaty pochodzą z książki: L. Kołakowski, *Cywilizacja na ławie oskarżonych*, Res Publica, Warszawa 1990.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez wsparcia i zaangażowania wielu osób. Szczególne podziękowania należą się prof. Markowi Zaleskiemu, który od początku wspierał prace koncepcyjne zespołu redakcyjnego. Ponadto dziękujemy również licznym konsultantom: prof. Magdzie Heydel, prof. Agnieszce Zalewskiej, prof. Andrzejowi Górskiemu, Markowi Regulskiemu, prof. Adamowi Skalskiemu, dr. Piotrowi Karwowskiemu, a także prof. Jackowi Soszyńskiemu wraz z kadrą Instytutu Historii Nauki PAN, w tym w szczególności: prof. Iwoni Arabas, dr Danucie Ciesielskiej, prof. Michałowi Kokowskiemu, prof. Janowi Piskurewiczowi, prof. Joannie Schiller-Walickiej, prof. Janowi Szumskiemu, prof. Zbigniewowi Tucholskiemu, prof. Bożenie Urbanek, prof. Jarosławowi Włodarczykowi, prof. Adamowi Wójcikowi, prof. Robertowi Zaborowskiemu i prof. Leszkowi Zasztowtowi oraz prof. Bogdanowi Cichockiemu, prof. Pawłowi Kozłowskiemu, dr Magdalenie Muskale i prof. Wiesławowi Wójcikowi, którzy wraz z kadrą IHN PAN wspierali powstanie biogramów postaci nauki.

Dodatkowe podziękowania kierujemy do sponsorów, którzy finansowo wsparli wydanie tej książki. Są to: Program L'Oréal Dla Kobiet i Nauki oraz Zakład Ubezpieczeń Społecznych.



KONCEPCJA, REDAKCJA: **Jerzy Duszyński**

Prezes Polskiej Akademii Nauk, biochemik, od 1971 r. związany z Instytutem Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, gdzie prowadził badania w zakresie chorób mitochondrialnych i neurodegeneracyjnych oraz starzenia się. W latach 2008–2009 był wiceministrem w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Przewodniczący Interdyscyplinarnego Zespołu Doradczego ds. COVID-19.

KONCEPCJA, REDAKTOR PROWADZĄCA:

Anna Plater-Zyberk



Z wykształcenia językoznawczyni i antropolożka. Ekspertka w dziedzinie współpracy międzynarodowej w nauce, stworzyła zespół i pierwsze międzynarodowe programy Narodowego Centrum Nauki. Od 2017 r. koordynuje współpracę z zagranicą w Polskiej Akademii Nauk. Doktorat z teorii metafory pojęciowej realizowała na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz w Metaphor Lab w Amsterdamie. Członkini zespołu ds. COVID-19 przy PAN.

REDAKCJA: **Eliza Kącka**



Adiunktka na Wydziale Polonistyki UW. Opublikowała książki akademickie: *Stanisław Brzozowski wobec Cypriana Norwida* oraz *Lektura jako spotkanie. Brzozowski – tekst – metoda*, oraz książki prozatorskie *Elizje* i *Po drugiej stronie siebie*. Współredaktorka antologii *Poeci i poetki przekraczają granice*, redaktorka wyborów poezji mniej współczesnej. Członkini Zarządu Głównego TLiAM i kapituły Nagrody Literackiej Gdynia.

ILUSTRACJE: **Agata „Endo” Nowicka**



Ilustratorka i rysownicza, autorka plakatów i okładek do książek. Rysuje m.in.: dla „Wysokich Obcasów”, „Zwierciadła”, a także dla „New Yorker”, „Time” i „New York Times”. Jej prace były prezentowane w American Illustration Book, Communication Arts Annual, Digital Arts i Taschen *Ilustracja Now!*. Współpracowała jako kuratorka przy tworzeniu wystaw: *Ilustracja PL* 2010 i 2012, *Where I Come From* i *Malarze ilustracji*.
www.agatanowicka.com

PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD: **Anna Piwowar**



Absolwentka ASP. Laureatka licznych konkursów, w tym nagrody Dobry wzór i konkursu Najpiękniejsza Książka Roku. Za publikację *Zofia Chomętowska. Albumy fotografii* otrzymała nagrodę Fotograficznej publikacji roku. Katalog *Wojciech Zamecznik. Foto-graficznie* został nagrodzony w konkursie Paris Photo Aperture Foundation Photo-Book Award. W 2018 r. zdobyła wyróżnienie w konkursie Polish Graphic Design Award za projekt graficzny publikacji z serii *Plany Warszawy*. www.siostrypiwowar.pl

KONCEPCJA: Jerzy Duszyński, Anna Plater-Zyberk

REDAKTOR PROWADZĄCA: Anna Plater-Zyberk

REDAKCJA: Jerzy Duszyński, Eliza Kącka, Anna Plater-Zyberk

ILUSTRACJE: Agata „Endo” Nowicka

PROJEKT GRAFICZNY, SKŁAD I PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Anna Piwowar

KOREKTA: Katarzyna Majewska

COPYRIGHT ©: Polska Akademia Nauk

NAKŁAD: 1000 egz.

ISBN: 978-83-66847-08-8

WYDAWCA: Polska Akademia Nauk, www.pan.pl

Warszawa 2022

